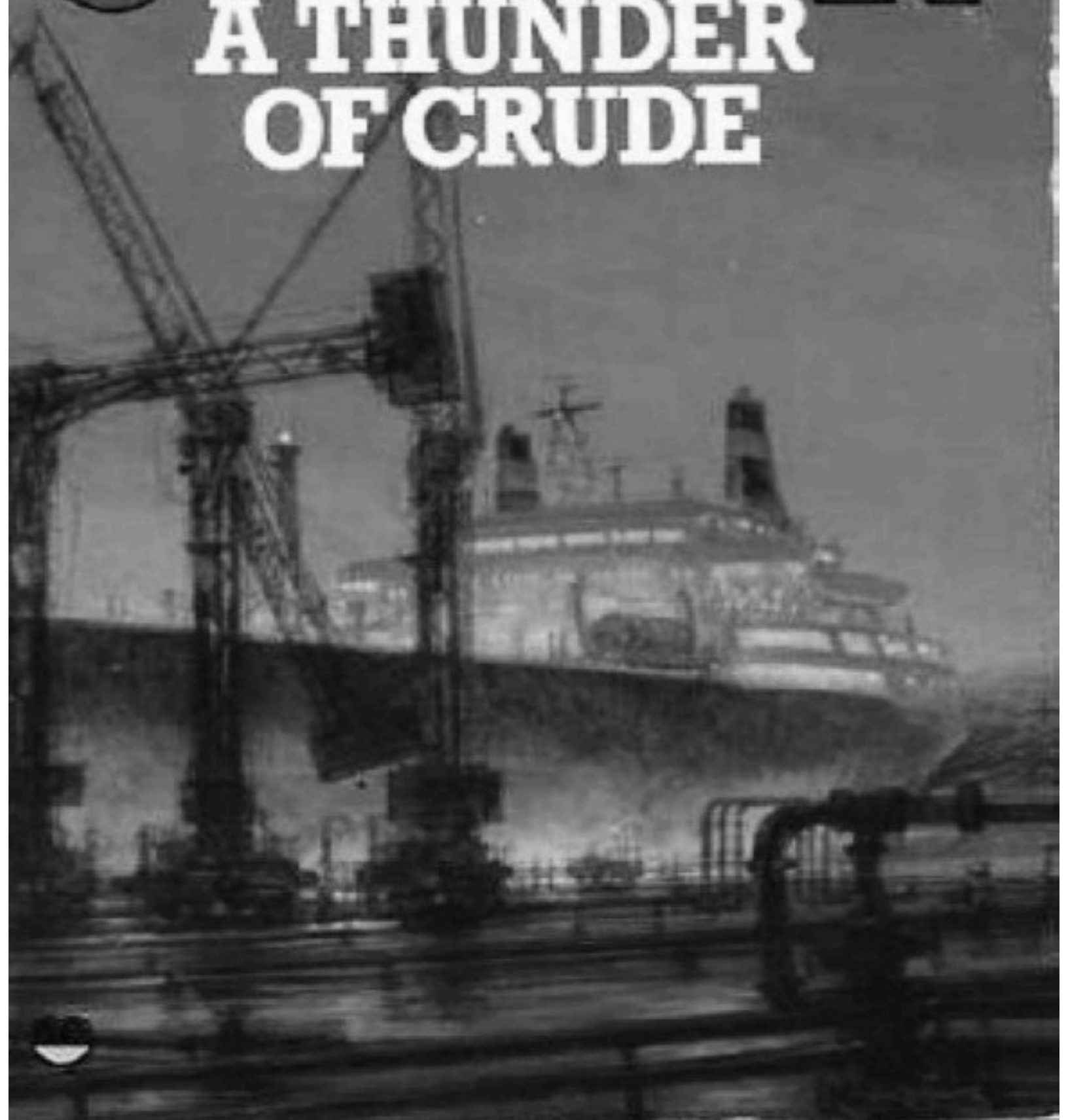


BRIAN
CALLISON
A THUNDER
OF CRUDE



Brian Callison

Zagłada Calaurii
(A Thunder of Crude)

Przełożyła Karolina Sokołowska

Na statku

Kiedy pojawił się po raz pierwszy w zatoce, mógł przypominać widmo lewiatana. Wyłonił się bezgłośnie z zimowej mgły, kryjącej linię horyzontu na zachód od szczytu Sgeir Garth. Wytwór wyobraźni, urojony potwór wypływający powoli ze splotów pajęczyny, poszarzały, niewyraźny, migocący w oddali.

Nie był urojeniem. I chociaż jego budząca grozę masa mogłaby wydawać się skromna w porównaniu z innymi, nowszymi i nowocześniejszymi statkami, to ten stopniowo nabierający realności cień, nieodwołalnie zbliżający się do lądu, był jedną z większych ruchomych konstrukcji stworzonych przez człowieka:

Wystarczająco długi, aby pomieścić dwa boiska do gry w piłkę nożną wraz z miejscem na ekscesy dla co bardziej zaciekłych kibiców. Szerszy niż dziesięciopasmowa autostrada. Wyższy niż siedmiopiętrowy biurowiec. W czeluściach jego stalowego brzucha spoczywało siedemdziesiąt sześć tysięcy ton arabskiej lekkiej i kolejne czterdzieści jeden tysięcy ton arabskiej ciężkiej. Ropy naftowej, oczywiście, wydobytej w pocie czoła z piasków pustyni i przetransportowanej aż z Mina al-Ahmadi w Zatoce Perskiej. Po opuszczeniu rafinerii mogłaby ona napełniać bak typowego samochodu osobowego przez pięćdziesiąt pięć tysięcy lat. Albo też umożliwić jazdę pięćdziesięciu pięciu tysiącom samochodów przez rok.

Nadano mu imię *Calauria*. Gdy przybliżył się i widmo przybrało rzeczywiste kształty, nawet największy ignorant w dziedzinie marynarki musiałby zauważyć, że ten morski kolos może być tylko czymś w rodzaju supertankowca. Był też nim w istocie.

Jednakże marynarze, których zwyczajem jest używanie bardziej dosadnych, a zarazem mniej romantycznych zwrotów, określiliby go po prostu jako VLCC – Very Large Crude Carrier.* [* VLCC – Bardzo Duży Przewoźnik Ropy, co, jak się wydaje, stanowi świetną charakterystykę supertankowca. Tak też będziemy go i my nazywać (*przyp. tłum.*).]

Żaden jednak obserwator – czy to człowiek spędzający swe życie na lądzie, czy też pływający po morzach – patrząc, jak ostrożnie wpływa do portu, jak przesuwa się w kierunku swojego stanowiska na nabrzeżu, nie mógł przewidzieć, jak potworną tragedię niesie ze sobą ta masa zardzewiałej stali.

Nikt też nie przypuszczał, że potencjalne niebezpieczeństwo, czyhające w tym stalowym kolosie, zaczęło nabierać realnych kształtów. Nikt, rzecz jasna, nie zdawał sobie sprawy, że jest właśnie świadkiem ostatniego cumowania *Calaurii*.

Ani że *Calauria* wraz z załogą, zatoka Quarsdale oraz jej podwodne magazyny ropy i zbiorniki znajdujące się w miejscu znanym jako Sróine Rora, mogą znaleźć się na czołówkach jutrzejszych gazet.

Nie mówiąc już o dwóch tysiącach mieszkańców cichego szkockiego miasteczka Vaila – o ludziach, którzy wiedli spokojne życie, cieszyli się, kochali, czasami – jak to bywa – zazdrościli sobie nawzajem różnych rzeczy. O ludziach, którzy, jak większość z nas, nigdy nie dopuszczali do siebie myśli, że jakieś naprawdę wstrząsające wydarzenie zaważy na ich zwyczajnym życiu.

Cóż, ludzie z reguły unikają myślenia o czymś niewyobrażalnym. Dopóki, bez ostrzeżenia, nie stanie się ono rzeczywistością.

Rozdział I

Piątek: późne popołudnie

Wolno wstecz, kapitanie. Ster prawo dwadzieścia – rzucił ostrożnie komendę pilot portowy. A może była to prośba? Istnieje ta subtelna, dyplomatyczna granica pomiędzy rozkazami a wskazówkami w sytuacji, kiedy to mistrz nerwowo drepcze na swoim mostku, a zupełnie obcy człowiek przejmuje dowództwo nad jego statkiem. Ale też na obcych wodach mistrz może pochwalić się jedynie znajomością swego statku, podczas gdy pilot zna lokalne niebezpieczeństwa: wie, co może grozić powierzonej mu chwilowo jednostce, nie mówiąc o prądach morskich, wzburzonych falach i całym tym asortymencie morskich plag, mogących spowodować rychły koniec tankowca.

– Maszyny wstecz. Ster prawo dwadzieścia – Bisaglia szorstko przekazał tłumaczenie komend z ogromnego mostka kapitańskiego. Następnie wychylił się przez burtę i marszcząc czoło spojrział siedemdziesiąt stóp w dół – prosto w zimną, czarną i nieruchomą już prawie wodę dzielącą statek od przystani. Ot, takie sprawdzenie, czy pilot McDonald robi z *Calaurią* dokładnie to, co zrobiłby on sam.

Pierwszy oficer Spedini potwierdzał komendy kapitana płynnie i niewymuszenie. Posługiwał się w końcu ojczystym językiem. Towarzyszył im klekot telegrafu.

– Ster dwadzieścia w prawo, sir – uzupełnił Forlani informację o położeniu statku.

Jego wygląd i brzmienie głosu zdradzały śmiertelne znudzenie zawodem. Tak też było. Jednakże obecność Forlaniego przy sterze – szczególnie podczas manewrowania – zawsze dodawała kapitanowi otuchy. Był znudzony, ale kompetentny.

Zniszczona poręcz mostka zaczęła powoli wibrować i nawet z tej przeraźliwej wysokości kapitan Bisaglia mógł dojrzeć białą, spienioną, wirującą wodę, odwracającą dziób statku.

– Maszyny stop.

– Zatrzymaj go, Spedini!

– Maszyny stop... Maszyny zatrzymane, sir.

Od tego momentu wszelkie ruchy statku sterowane były z lądu. On sam zaś spoczywał bezwładnie w niewielkiej odległości od nadbrzeża.

– Ciągłe wieje z południowego zachodu, Jimmie – podał McDonald przez VHF* [* VHF (Very High Frequency) – bardzo wysoka częstotliwość (*przyp. tłum.*)] radio, po czym oparł się wygodnie o parapet i rzucił okiem w kierunku głównego holownika o nazwie *William Wallace*, który przycupnął tuż za dziobem statku. Rufą VLCC miał zająć się drugi z holowników należących do kompanii – *Robert The Bruce*. Dwa inne holowniki, z dziwacznymi, obitymi miękkim materiałem dziobami, wtuliły się już w burty *Calaurii*, gotowe pchnąć kolosa na miejsce postoju.

Nie miał znaczenia fakt, że ten delikatny manewr będzie kontrolowany nie tylko przez ludzi, ale

także przez system elektroniczny ulokowany na przystani, dzięki któremu pilot McDonald informowany był o położeniu statku.

Nie pomagało to wcale Bisaglii, który mógł odetchnąć z ulgą dopiero wtedy, gdy usłyszał ostatnią komendę pilota. Oznaczało to przywrócenie mu pełnej władzy nad statkiem.

No, rusz się, McDonald. Spuść do diabła tę cholerną linę – nieśmiało ponaglał w myślach kapitan, doskonale wiedząc, że taki manewr mógł mu w tej chwili zapewnić jedynie komfort psychiczny. Pojedyncza lina mogła trzasnąć w mgnieniu oka, jeśli *Calauria* poddałaby się działaniu ostrego szkockiego wiatru, szalejącego w zatoce Quarsdale. Wiatru zupełnie obcego gorącej, śródziemnomorskiej naturze Bisaglii.

Trwało to już trzy godziny. Prawie dwie od momentu wejścia do zatoki. To drażnienie się, przymilanie, perswadowanie niezdarnemu VLCC, aby raczył usadowić się na swoim miejscu. Pozorna flegmatyczność kapitana była raczej wynikiem dużej samokontroli niż zadowolenia z siebie. Podobnie jak większość dowódców dużych statków, Bisaglia czuł się bardziej spięty w pobliżu lądu niż w obliczu olbrzymich fal, tworzących się zwykle przy przylądku Agulhas, które zwartym szeregiem i z przerażającą siłą nacierały na jego cherlawego nagle goliata. Był też w pełni świadom, że chociaż ogrom *Calaurii* może zapierać dech w piersiach laikom, to przecież większość jej masy pozostawała ukryta. Widoczne było tylko dwadzieścia procent kolosa. Wielkość ładunku powodowała, że pozostałe osiemdziesiąt procent znajdowało się pod powierzchnią wody. A pozwól stu tysiącom ton dryfować, nawet z szybkością paru centymetrów na godzinę, to zatrzymanie tej masy okaże się cholerną robotą. Jedna niebaczną komenda może spowodować zamieszanie, którego nie da się opanować w ciągu dziesięciu minut.

– No – McDonald odetchnął z zadowoleniem, widząc, że światła nawigacyjne holownika zabłyśły wreszcie pod dziobem. – Przez moment bałem się, czy będę w stanie uruchomić na nowo ten zaszary silnik.

– A ja się zastanawiałem, czy nie zakotwiczyć tu czasem i nie poczekać, aż się towarzystwo łaskawie pozbiera do kupy – odciął się Bisaglia, po czym szybko wysilił się na uśmiech, aby zniwelować uszczypliwość swojej wypowiedzi. Był z natury człowiekiem pogodnym i szybko zorientował się, że ma do czynienia ze specyficznym angielskim humorem. Pilot po prostu żartował.

Podstarzały steward Gioia wgramolił się po wydeptanych schodkach na mostek i tuż za krzesłem kapitana ostrożnie postawił tacę z dwoma porcelanowymi kubkami, dzbankiem kawy, śmietanką i cukrem. Z miną służbisty, którą dobrze uzupełniał jego biały mundur, skłonił się nisko i zniknął.

Gioia był niegdyś kelnerem w rzymskim hotelu „Ambasciatori Palace”. Odpowiedzialność za dwunastkę dzieci, ustawiczne narzekania żony i możliwość lepszego zarobku na morzu ułatwiły decyzję. Teraz starał się utrzymać pewien styl – tak jak sam kapitan, kiedy mógł sobie na to pozwolić. Faktycznie: w chwilach zadumy Bisaglia myślał o Gioii i o sobie jak o dwóch staroświeckich panach na równie podstarzałym statku, zmuszonych okolicznościami do służby komuś, komu w przeszłości, u szczytu zawodowej kariery, wybredny kapitan Bisaglia mógł spokojnie odmówić. Kiedyś można było gardzić propozycjami armatorów drugiej kategorii, których zresztą nie byłoby stać na taki statek.

Nowa *Calauria* była niegdyś dumą wspaniałej brytyjskiej floty tankowców. Ale koszty utrzymania jej na poziomie wymaganym przez Brytyjczyków ciągle rosły. Nadwerężyło to handlową sprawność statku. Księgowi byli bezduszni – miejsce *Calaurii* zajął nowy i lepszy statek. Ją natomiast wepchnięto w obce ręce za śmiesznie małe pieniądze.

I natychmiast puszczono w morze, nie wydając nawet jednego franka szwajcarskiego na jej potrzeby. Morski mamut – wyparty przez technologię supertankowiec.

Większość załogi była w sytuacji podobnej, jak kapitan i steward. Czyż nie woleliby pływać pod własną, włoską banderą?

Choć, być może, i tak powinni uważać się za szczęśliwców, bo dzięki kontraktom z genueńskiej agencji użerali się ze swoimi rodakami, a nie z Grekami, Azjatami czy innymi bezrobotnymi włóczęgami.

Rynek należał do pracodawców. Zastój w żegludze spowodował, że i najlepiej wykwalifikowani oficerowie, najbardziej butni żeglarze, najzdolniejsi mechanicy musieli się głęboko zastanowić, zanim zrezygnowali z byle jakiej nawet koi.

Mając lat sześćdziesiąt siedem, kapitan stracił swoją dumę – niezależnie od recesji.

– *Grazie*, Nino! – Dowódca wskazał na tacę. – *Per favore*, pilocie. Proszę się częstować!

Zaczęto właśnie przeciągać na brzeg linę z rufy statku. Zaroilo się na nabrzeżu. W blasku reflektorów, których żółć pochłonęła resztki światła dziennego, można było dojrzeć ludzi czyhających na moment, w którym uda im się wyrwać hak z tego cumującego delfina.

Padalo nieprzerwanie; dżdżysty, chłodny szkocki wieczór.

Archie McDonald znowu nadawał coś przez swoją krótkofalówkę – tym razem tak szybko, że Bisaglia za nim nie nadążał – po czym skinął głową w kierunku dzbanka z kawą.

– Wielkie dzięki, kapitanie. Także za zniesienie bariery językowej.

– To zapobiega nieporozumieniom. Chociaż i tak zrozumieliby pana; większość marynarzy zna angielskie komendy wydawane podczas manewrowania: *midships*, *port thirty degrees* i tak dalej... Mój pierwszy oficer, *signore* Spedini, posługuje się nimi całkiem dobrze. Tak samo jak główny mechanik Borga.

– Nie pilotował pan tankowców pływających pod banderą japońską – powiedział McDonald. – Albo koreańską. Proszę mi wierzyć, nie wszyscy są w tym tak dobrzy.

Dowódca *Calaurii* uśmiechnął się. A raczej wykrzywił twarz w czymś, co miało być uśmiechem. Pilotowi wydawało się, że można w tym grymasie dopatrzeć się także ironii.

– Zapewne mam nad nimi jakąś przewagę. Spędziłem kiedyś... trochę czasu w pańskim kraju. Wiele lat temu.

Z autobusu w Fort Williams wysiadła dziewczyna. No, tak naprawdę była to już raczej kobieta. Tak, stanowczo była kobietą – stwierdził Duggan, kiedy autobus wreszcie odjechał i mógł się jej dobrze przyjrzeć przez okno jeepa. Stała chwilę przed sklepem McKaya, gdzie znajdował się przystanek autobusowy Vaila Cross. Wysoka, długie ciemne włosy opadające na skórzany płaszcz. Niezłe nogi – do diabła – fantastyczne nogi! Postawiła walizkę i w zapadającej ciemności spojrzała niepewnie w jego kierunku. Uśmiechnął się niewyraźnie i włączył silnik. Zamierzał odjechać i wrócić na przystanek, kiedy autobus przywiezie następnych pasażerów. Podeszła do niego niepewnym krokiem.

– „Panoco Oil”? Pan Duggan?

Mimowolnie wykrzyknął:

– Chryste, nie nazywasz się chyba Herschell, co?

Wyglądała na rozdrażnioną. Czyniło ją to nawet bardziej atrakcyjną.

– Domyślam się, że twoje szowinistyczne wyobrażenie o prasie wywodzi się z filmów Bogarta

z lat czterdziestych?

Duggan zażenowany wyskoczył z jeepa i podał jej dłoń.

– Kurczę, przepraszam. Słuchaj, ja tu tylko odwalam robotę. Mój szef dowodzi tym wszystkim: główny inspektor terminalu. Ale wezwali Charliego na konferencję do Stanów, więc myślę, iż jako jego zastępca mogę spieprzyć co nieco po swojemu.

Uśmiechnęła się kpiąco:

– Jeden z przywilejów stanowiska.

Chłopak wciąż wyglądał na zmartwionego.

– Chodzi o to, że zostawił mi tylko notatkę: Spotkaj F. Herschell. *Obywatel Północy*. Nie było tam mowy o płci.

– Jestem kobietą. I tak się złożyło, że zamężną.

Jego różowe policzki zrobiły się purpurowe.

– Niech pani posłucha, pani Herschell, może wczolgam się z powrotem do samochodu, zrobię rundkę, po czym wrócę i zaczniemy od początku?

Podala mu walizkę.

– Mów do mnie Fran. W końcu jestem naprawdę F. Herschell, nieustraszony mistrz reportażu z *Obywatela*.

Duggan zaczął mówić:

– Myślałem, że wysyłają swojego morskiego korespon... – urwał, kiedy zauważył jej spojrzenie.

– Masz mi zamiar właśnie powiedzieć, że to ty jesteś tym korespondentem, prawda?

– Tak, panie Duggan – odpowiedziała i zaczęła chichotać.

– Chciałbym się zapaść pod ziemię – wymamrotał żałośnie.

– Nie rób tego – reporterka imieniem Fran zaczęła go pocieszać. – Mam również zaszczyt być ich ekspertem od kuchni, psychologiem dla zrozpaczonych oraz reporterką zajmującą się przestępczością i miejscowymi ploteczkami z życia wyższych sfer. Nie jesteśmy dużą gazetą...

Wskazała ręką w kierunku jeepa, na którym widniała nazwa *Panoco Oil Terminals (U.K.) P.L.C.*

– żółte litery na szarym tle.

– Czy możemy już jechać? Leje i jest zimno.

– O rany, pewno... hm, gdzie najpierw? Masz rezerwację w hotelu „Meall Ness”. Należy do pani McAllister. Nie jest to „Holiday Inn”, ale będzie ci tam wygodnie i będziesz miała zwałający z nóg widok na zatokę.

– Chciałabym się trochę odświeżyć. Może potem mogłabym popatrzeć na demonstrację?

– Mówisz o tym jak o wiecu na rzecz rozbrowienia nuklearnego – rzekł Duggan. – To tylko nic nie znaczący protest.

Popatrzyła na niego z boku, wspinając się do jeepa.

– To dlaczego „Panoco” tak bardzo stara się narzucić wszystkim swój punkt widzenia, panie Duggan?

Ruszył i skierował się na północ, robiąc po drodze porządek z zaparowanymi szybami. Jechali wąską główną ulicą miasteczka.

– Mam nadzieję, że twój artykuł odzwierciedli nasze szczególne zainteresowanie opinią mniejszości. A także naszą troskę o środowisko, które jest podobno zagrożone istnieniem terminalu.

– Jesteś pewny, że to tylko opinia mniejszości? Zebrali wystarczającą liczbę podpisów w samym Vaila, aby zmusić szkockiego sekretarza stanu do wszczęcia dochodzenia, zanim zezwolą na istnienie

terminalu w tym miejscu.

– On istnieje. I nie zapominaj o tym, że lokalne władze to zaakceptowały. Także odpowiednia miejscowa komisja planowania.

– Musieli rozważyć sprawę szerzej: dobro ogółu. Potrzebny jest im dochód, jaki przynosi port, potrzebne oferowane przez was miejsca pracy. Ta część kraju umiera powoli z powodu zastoju gospodarczego.

Wzruszył ramionami.

– No, i masz odpowiedź.

– Niezupełnie – powiedziała spokojnie Fran. – Szczególnie jeśli zdarzyłoby mi się mieszkać w Vaila... – Jechali przez chwilę w zupełnej ciszy, którą przerwała pytaniem: – Jest pan Amerykaninem, prawda, panie Duggan?

– Kanadyjczykiem. Mów do mnie po prostu Duggan. Tak jak wszyscy.

– Nie masz imienia?

Znowu się zaczerwienił. Czasami wyglądał bardziej na uczniaka niż na zastępcę szefa wielkiego terminalu.

– Aloysius.

– Będę mówiła do ciebie Duggan – powiedziała z powagą w głosie. Właśnie wyjechali poza zabudowania i zatoka Quarsdale ukazała się ich oczom w całej okazałości. – Możemy się zatrzymać na chwilę?

Zaparkował przy krawężniku i gdy odwróciła głowę spoglądając na terminal, rzucił ukradkowe spojrzenie na jej nogi.

Ogromny super tankowiec spoczywał wśród jarzących się świateł nadbrzeża. Wydawał się wypełniać sobą cały horyzont.

– Właśnie cumuje – w głosie Fran można było wyczuć zadumę.

Duggan wyszczerzył zęby w uśmiechu:

– Skąd wiesz, że właśnie nie odjeżdża?

– Byłby lekki albo obciążony balastem. Ten jest zanurzony do granic możliwości. A tak na marginesie: statki nie odjeżdżają, tylko wypływają.

– Znaczy, jesteś morskim korespondentem.

– I żoną marynarza. John ma niedługo wrócić. W tej chwili jest gdzieś koło Singapuru: dowódca transportowca *Highlander* z Glasgow.

– Szczęściarz z niego – wymknęło się Dugganowi.

– To prawda. W dzisiejszych czasach niewiele jest stanowisk do objęcia w brytyjskiej flocie handlowej.

Duggan nie był pewny: nie zrozumiała, czego dotyczył jego komplement, czy też udawała idiotkę?

– Liberyjski – zadumała się, patrząc na postrzępioną flagę w biało-czerwone poprzeczne paski z przybrudzoną białą gwiazdą, ledwo widoczną na granatowym tle.

– To *Calauria*. Chińscy armatorzy, szwajcarskie kierownictwo, włoska załoga, o ile mi wiadomo.

Nic nie powiedziała, ale nietrudno było zgadnąć, jakie myśli chodziły jej po głowie. Pod banderami liberyjską i panamską pływały najczęściej statki, których armatorom zależało wyłącznie na dochodach. „Bandery wygodnictwa” – tak o nich mówiono. Wygodne były w tym sensie, że przeprowadzano na nich minimalną liczbę przeglądów technicznych, co wyraźnie obniżało poziom

bezpieczeństwa, oficerom wydawano nie sprawdzone licencje, zatrudniano jak najmniej liczne, wielonarodowościowe załogi i płacono im psie pieniądze.

– Wiem, o czym myślisz. Ale te wielkie kadłuby przyplływające tu są stuprocentowo bezpieczne. Rejestrowane są w Liberii albo Panamie tylko ze względu na podatki – pośpieszył z wyjaśnieniem Duggan. – Spełniają wszystkie warunki stawiane przez największe firmy ubezpieczeniowe: Lloyd'a i Bureau Veritas.

– Żaden VLCC nie jest bezpieczny w stu procentach, taka już ich natura – odcięła się Fran. – W ogóle żaden tankowiec nie jest bezpieczny.

– Żaden statek jakiegokolwiek typu nie jest bezpieczny. Jeśli rozważymy zagadnienie obiektywnie. – Duggan wzruszył ramionami lekko rozdrażniony. – Ale można to samo powiedzieć o pociągu, samochodzie albo o rowerku dzieciennym. Poruszanie się z zasady zawiera w sobie pewien stopień ryzyka.

Puściła to mimo uszu, przyglądając się wciąż liberyjskiemu tankowcowi.

– Tak w ogóle, to skąd on jest?

– Z Zatoki Perskiej: Mina al-Ahmadi i Kharg. Z arabską ropą.

– Ciężką czy lekką?

Spojrzał na nią z niechętnym, ale rosnącym szacunkiem.

– Jedną i drugą.

– Dużo tego jest?

Duggan domyślał się, co kryje się za tym obojętnym z pozoru pytaniem: w jakim stopniu, na przykład, mały wyciek mógłby zniszczyć kamieniste plaże i skalne wybrzeże otaczające zatokę Quarsdale, a także łowiska małży i innych morskich przysmaków? Pochylił się, by włączyć silnik jeepa.

– Sto siedemnaście tysięcy ton – powiedział krótko.

Ciekawe, ale teraz, jadąc wzdłuż wybrzeża w kierunku hotelu „Meall Ness”, Duggan spojrzał na *Calaurię* trochę inaczej.

Bo była inna. Jakby nieco starsza, z wyraźnie widocznymi w zimnych i bezlitosnych światłach reflektorów odrapaniami: sterana życiem. Górowała złowieszczo, zachwycając swoim ogromem, ponad przystanią w miejscu zwanym Sróine Rora.

Właśnie na pokładzie tego trochę zmęczonego lewiatana pierwszy oficer Mario Spedini zadumał się również nad rozmiarami *Calaurii*. Porównywał jej wielkość do rzeczy stworzonych przez naturę. Nic dziwnego: od dwóch godzin przyglądał się ze swego stanowiska surowemu majestatowi szkockiego wybrzeża.

Stosunkowo młody jak na pierwszego oficera – miał trzydzieści dwa lata – nigdy jeszcze nie odwiedził północno-zachodniego wybrzeża Brytanii. Dotychczasowe doświadczenie zdobył pływając pomiędzy Zatoką Perską a większymi kontynentalnymi portami naftowymi: Europoort, Algeciras, Le Verdon przy ujściu Gironde. Parę razy był w Falmouth i Milford Haven. Raz tylko, jako drugi oficer, znalazł się w rejonie szkockich nizin.

Nigdy więc nie miał okazji przyglądać się górom, które – jak w teatralnej scenerii – wynurzały się z Atlantyku i otaczały smaganą wiatrem zatokę Quarsdale; czarne sylwetki sięgające chmur, spoza których ukazywały się chwilami ośnieżone szczyty, ginące w tajemniczej poświacie zapadającego zmroku. *Calauria*, przytłoczona ogromem tego masywu, nie wydawała się już Spediniemu tak

imponująca. To jasne – rodowitemu Lombardczykowi bliższe były słoneczne równiny Włoch.

Na brzegu widać było skupisko żółtych świateł, dobywających się z okien domów w Vaila. Połyskiwały również wzdłuż całego wybrzeża, znacząc mniejsze wioski i stojące na uboczu domostwa. Sprawiały wrażenie bliskości, ale Spedini, jak każdy członek załogi tankowca, wiedział, że są bardzo odległe. Konstrukcja *Calaurii* sprawiała, że nie mogła ona stać na płytkich wodach. Dlatego przystań, przy której miała zacumować, była stworzoną przez człowieka wyspą oddaloną o jakieś ćwierć mili od lądu. Wystarczyło spojrzeć na plan, aby zorientować się, że nie ma ani mostu, ani grobli, ani w ogóle żadnego połączenia z lądem, na którym znajdowały się zbiorniki „Panoco”. Tak jak w większości portów naftowych tego oszczędnego i obawiającego się terrorystów świata. Znaczyło to, iż podczas przepompowywania ropy podwodnymi rurociągami zarówno załoga, jak i pracujący przy rozładunku będą musieli wyczekiwać na prom mogący dowieźć ich na stały ląd.

Nękany tą myślą i wizją czterdziestu ośmiu godzin potrzebnych na wyładunek, pierwszy oficer nie tracił nadziei, iż uda mu się znaleźć trochę czasu na podróż promem i wizytę w miejscowych sklepach. Matka nakazała mu kupno jakiegoś oryginalnego szkockiego materiału, w kratkę, oczywiście. Jego najmłodsza, rozpuszczona i całkowicie obrzydliwa siostra zagroziła, że wywoła potworną rodzinną awanturę, jeśli nie postara się przynajmniej o celtycką lalkę.

Gdy statek spoczywał pod kontrolą holowników, Spedini wykorzystał moment uśpienia silników, aby zbadać krajobraz i miasto za pomocą lornetki.

Szare domy z kamienia, kościół z przysadzistą wieżą, paru przechodniów – wszystko wyjątkowo bezbarwne nawet jak na zimowy sezon. Szkocja w styczniu nie była wesołym miejscem. Nieliczne pojazdy przesuwały się wzdłuż mokrej głównej ulicy: żuki o świecących żółtych oczach, sprawiające wrażenie, że jest jakieś ciepłe i zapraszające miejsce, wygodne zacisze domowe, do którego właśnie zdążają. Uczuciem, jakiego często doświadczał Spedini patrząc ze statku na cudzy kraj, była samotność, poczucie narzucania się i braku przynależności...

Jakiś ruch przyciągnął jego uwagę. Biały kwadrat – znak czy plakat? – łopotał nad bramą terminalu. Czy ci ludzie, ściśnięci w zwartą grupę, chcieli zablokować drogę?

Brytyjski pilot mijając Spediniego w drodze do maszynowni źle odczytał jego zainteresowanie.

– Racja, panie oficerze. Nie jest to Wybrzeże Atrakcji, ta nasza miejscina Vaila.

Spedini zmarszczył czoło. Wobec obcego, szkockiego dialektu jego ograniczona znajomość angielskiego okazała się zupełnie niewystarczająca.

– Co takiego, *signore*? Macie jakieś zamieszki w mieście, prawda?

– Tylko cztery razy w roku: kiedy poczta dostarcza rachunki za elektryczność. – McDonald spojrzął za wzrokiem Spediniego i skrzywił się. – Och, ma pan na myśli protest?

– *Si*, to zgromadzenie przy bramie. Nazywacie to protestem?

– Osobiście nazwałbym to kompletną stratą czasu. Proszę jednak pamiętać, że nie jestem obiektywny: pracuję dla „Panoco” – odrzekł enigmatycznie McDonald i oddalił się w stronę burty ze swoją krótkofalówką w dłoni.

Zostawił Spediniego głęboko zadumanego. Nie tyle nad przyczynami tego dziwnego zamieszania na lądzie, ile nad... Co, u diabła, mogło być „Wybrzeżem Atrakcji” dla Szkota?

W odległości jakichś stu stóp, kuląc się w strugach deszczu, oparty o burtę trwał kapitan. Tak jak Spedini, i on zastanawiał się nad uwagą pilota o jego biegu w angielskim. Bardziej jednak ważył w myślach swoją własną odpowiedź na jego pytanie:

– Spędziłem kiedyś... trochę czasu w pańskim kraju. Wiele lat temu.

Nic więcej nie wyjaśnił. Tyle lat minęło od 1940 roku, od czasu niechlubnego morskiego starcia przy przylądku Matapan, kiedy to dostał się do niewoli brytyjskiej.

Tyle lat, a wciąż dręczyły go koszmarne sny. Czuł niewielki ból w prawej nodze, kontuzjowanej podczas eksplozji pierwszych pocisków tuż obok jego stanowiska bojowego. Doświadczał stale tego samego uczucia oszołomienia, pomieszanego z niedowierzaniem, jak w momencie tragicznej wywrotki krążownika. Słyszał krzyki uwięzionych pod pokładem towarzyszy.

Okręt poszedł na dno, a on, *Guardia Marina* Tommaso Bisaglia, dwa miesiące po ukończeniu z honorami włoskiego Instytutu Marynarki w Livorno, pozostał na powierzchni, aby dać się haniebnie wyciągnąć z mętnego od ropy morza przez jeden ze zwycięskich niszczycieli admirała Cunninghama.

W tej pierwszej, ostatniej i niesłychanie tragicznej dla Bisaglii akcji włoska marynarka wojenna straciła jeszcze dwa krążowniki i dwa niszczyciele. Ucierpiała też poważnie dumą marynarki – *Vittorio Veneto*. Przez resztę drugiej wojny światowej już nigdy nie opuścił on portu, by stawić czoło Marynarce Królewskiej.

Kapitan strzepnął wodę z czapki i ponownie skoncentrował się na położeniu statku. Przygotowywano już dwa rozwidlone przewody, które będą podłączone do zbiorników *Calaurii* – przez nie popłynie cały ładunek statku. Jakiś człowiek o wyglądzie byłego żeglarza, ubrany w biały kombinezon, żółtą ochronną kurtkę „Panoco” i hełm, stał obok zwoju kabla uziemiającego. Prawdopodobnie po to, by nadzorować podłączenie go do statku. Miało to zapobiec ewentualnemu zagrażającemu życiu nagromadzeniu się ładunków elektrycznych. Bisaglia domyślił się, że jest to PCO* [* PCO – Pollution Control Officer (*przyp. tłum.*)] – inspektor kontroli zanieczyszczenia, a więc człowiek odpowiedzialny za bezpieczne przeprowadzenie wstępnej fazy wyładunku.

Bisaglia popatrzył na niego uważnie. PCO wyglądał na wystarczająco czujnego; nawet teraz przyglądał się ledwo widocznemu na głównym pokładzie bosmanowi Edigiemu, skrzętnie zeszkrobującemu farbę z kawałka burty VLCC.

Kapitan uświadomił sobie nagle, że widok PCO wzbudza w nim niecodzienną reakcję. Zdał sobie sprawę, iż usiłuje przekonać samego siebie, że ten właśnie człowiek okaże się... no, powiedzmy, biegły w tym, co robi.

Bisaglia zmarszczył brwi zde gustowany, zły na siebie i lekko wstrząśnięty. Przed objęciem dowództwa nad *Calaurią*, niecały rok temu, nie przyszłoby mu nawet do głowy szukać tego rodzaju pociechy. Fakt, że potrzebował jej teraz, był niepokojący. Właściwie żaden z pracujących na tankowcu ludzi nie negowałby potrzeby zachowania ostrożności czy też faktu, że przedsięwzięcie było wielce ryzykowne. Transport stu siedemnastu tysięcy ton łatwo palnego ładunku ze statku na brzeg nie był codziennością. Z drugiej strony – w dzisiejszym uprzemysłowionym świecie obsługa tankowców stała się rutyną. Chociażby dlatego, że można dokładnie przewidzieć wszelkie niebezpieczeństwa. Podejmuje się przecież znane ogólnie środki ostrożności, obowiązujące i opracowywane przez dziesięciolecia – od momentu kiedy to w roku 1861 żaglowiec *Elizabeth Watts* po raz pierwszy przetransportował baryłki z ropą przez ocean. Owe środki bezpieczeństwa dawały gwarancję, że ludzie typu anonimowego PCO byli zawodowcami, wyczulonymi na niebezpieczeństwa i umięającymi je minimalizować.

Jednocześnie międzynarodowy system kontroli istnieje także po to, by gwarantować kompetencje dowódcy statku i oficerów, w rzeczywistości kierujących tymi ogromnymi przewoźnikami ropy i ponoszących największą odpowiedzialność za statek.

Jednakże w wypadku VLCC rzeczywistość była czymś zawieszonym pomiędzy ideałem a niemiłym faktem. Wszyscy byli świadomi, że ten teoretycznie szczelny system wydawania międzynarodowych zaświadczeń, potwierdzających umiejętności i wiedzę, nie zawsze dobrze działał.

Czyż kapitan Tommaso Bisaglia nie miał powodu, by myśleć o wyjątkach od wyidealizowanej reguły? Właśnie ta świadomość tak go niepokoiła. Niepokoiła, a nawet powodowała nieustanny wzrost poczucia winy.

Bisaglia podszedł do końca skrzydła i spojrzał na całą długość tego niezaprzeczalnie zdegenerowanego monstrum. Co prawda czasy, kiedy wypływanie w morze było nieskomplikowane i przyjemne, należały do przeszłości, ale tak dziwnego niepokoju jak teraz nie odczuwał od dawna. Od chwili gdy wraz z wieloma innymi, gdzieś koło przylądka Matapan, oczekiwał w tę ponurą noc 1940 roku nadejścia Brytyjczyków.

Ironią było, że młodszy oficer marynarki Tommaso Bisaglia wziął udział w tym starciu – w jedynej morskiej bitwie znanej w historii z tego, że żaden ze statków zwycięzców nie odniósł najmniejszych strat. Znaczyło to, że kapitan Bisaglia był już uczestnikiem jednej morskiej katastrofy. Przynajmniej do tej pory.

Do momentu przybycia *Calaurii* do zatoki Quarsdale.

Na statku

Przez jakiś czas stał tak bez ruchu, dopóki nie wzmocniono ogniów łączących go z tymczasowym legowiskiem. Potem miał być pchnięty jeszcze kawałek, ustawiony w odpowiedniej pozycji i przed pompowaniem z niego zawartości, która stanowiła sens jego istnienia, dokładnie umocowany.

Zdarza się to takim molochom każdego dnia na całym świecie.

To fakt, że dowódcę tego statku niepokoiły nie całkiem bezpodstawne obawy. Ale przecież nie można wykluczyć, że źródłem tego niepokoju była nieufność starzejącego się człowieka do własnej osoby. Nie przyszłoby mu do głowy podejrzewać, iż statek, którym dowodził, może przedstawiać zagrożenie większe, niż to bywa normalnie. Kapitan pływał na wielu statkach starszych i słabszych niż jego potężna *Calauria*. Wszystkie wyszły cało z różnych opresji, w jakich można znaleźć się na morzu. Nie dało się też zaprzeczyć, iż Bisaglia, który spędził swe dotychczasowe życie na statkach, wciąż był żywy; że kochał każdy ze swoich statków i one wysoko go za tę miłość nagradzały. To prawdopodobnie wyjaśniało, dlaczego kapitan Tommaso Bisaglia, mając za sobą doświadczenie kończącej się już kariery, nie kwestionowałby pewności swojego statku w stopniu większym, niż mógł kwestionować własny honor.

To było nie do pomyślenia. A jednak, w tym konkretnym przypadku, niewyobrażalne już stało się całkiem możliwe. Kapitan pływał starszymi statkami, to prawda, i żył do dziś. Jednakże oceniając stan statku nie należy upatrywać jego starzenia się jedynie w upływie lat. Należy wziąć pod uwagę jego jakość, liczbę odbytych rejsów, opiekę, jaką go otaczano, i uwagę, jaką mu poświęcano. To bardzo istotne.

Bardzo istotne dla przewoźników ropy. Absolutnie podstawowe w przypadku Bardzo Dużego Przewoźnika Ropy – *Calaurii*.

A to dlatego, że wskutek pewnych zaniedbań statek ten – tak jak i jego kapitan – pod złudnie imponującą powierzchownością ukrywał delikatnie postępujący rozkład.

Ciąg wydarzeń, z których część miała swój początek wiele miesięcy wcześniej w odległych częściach świata, zbliżał się nieubłaganie do finału.

Wszystkie nakładające się na siebie niedopatrzienia i zaniedbania tworzyły łańcuch przyczyn i skutków. W momencie kiedy statek Bisaglii wyłaniał się z deszczu zalewającego szkockie wybrzeże, katastrofa wisiała po prostu na włosku.

Mogła przyjąć różną formę – ludzkiej pomyłki, dopuszczalnej w innych warunkach, błahej i zdarzającej się niesprawności maszyn, nawet zwyczajnego biegu wypadków. Żaden z tych trafów nie byłby jednak niebezpieczny sam w sobie, bez połączenia z innymi.

Kiedy zaistnieje szansa, że wystąpią wspólnie – możliwe natychmiast przeradza się w nieuniknione. Końcowy wynik nietrudno przewidzieć: podyktują go stałe prawa chemii fizycznej, a wobec istnienia wielu słabych punktów w takiej mieszance niepowodzeń musi stać się coś przerażającego. Skądś z czeluści statku narasta potworny pomruk, potem grzmienie...

Mówiąc bez ogródek: mimo swego ogromu i potęgi, w momencie cumowania u wybrzeży Vaila, ten, wydawałoby się, niezniszczalny behemot *Calauria* miał wielkie szanse po temu, by... Tak, by nagle przestać istnieć.

Rozdział II

Piątek: wczesny wieczór

Kiedy zamyślony kapitan Bisaglia wspólnie z pilotem McDonaldem nadzorował ostateczne cumowanie swojego supertankowca *Calauria* wraz ze stu siedemnastu tysiącami ton arabskiej ropy, reporterka Fran Herschell, po ciepłym powitaniu przez właścicielkę, wprowadzała się do małego, porządnego pokoju w hotelu „Meall Ness”. W tym samym czasie jej przewodnik po „Panoco”, zastępca szefa terminalu, Duggan, popijał piwo w barze na dole. Rozmyślał o nadciągającej burzy w atmosferze międzyludzkiej, którą zasygnalizowała jego atrakcyjna, ale dziwnie niepokojąca podopieczna. Inni na wybrzeżu zatoki Quarsdale zajmowali się swoimi codziennymi sprawami.

Rozważmy teraz podstawową przyczynę wizyty Fran Herschell: zamieszki zaobserwowane przez pierwszego oficera Spediniego.

Był to w rzeczywistości początek protestu Związku Rybaków z Quarsdale – twardzieli łowiących w zatoce na długo przed przybyciem wielkich tankowców – przeciwko zagrożeniu, jakie od siedmiu lat przedstawiała dla ich życia sztuczna wyspa – przystań. Ten protest popierała większość mieszkańców miasteczka. Ale ta większość mieszkańców, w odróżnieniu od pilota Archie McDonalda, nie pracowała dla „Panoco”. Cynik mógłby więc stwierdzić, że stosunek człowieka do środowiska, w którym żyje, zależy od źródła jego dochodów.

Trzeba jednak przyznać, że kampanię protestacyjną prowadzili nie tylko rybacy. Jeśli bowiem zdarzały się publiczne debaty o interesach Vaila, to wśród głosów dopominających się o miejscowe prawa najczęściej słychać było panią McLeish z wielkiego domu na Fariskay, miejscową radną.

Oprócz nieco piskliwego głosu pani McLeish miała również reputację kobiety, z której należy brać przykład. Dlatego też, jak każdego dnia przez cały poprzedni tydzień, stała twardo wraz z siedmioma innymi dobrymi kobietami z Quarsdale Women’s Action Now Committee* [* Dosłownie: Kobiety Komitet do Bezzwłocznej Akcji. Aby jednak nie odbierać komitetowi powagi, nazwijmy go Komitetem Pań Zaangażowanych (*przyp. tłum.*).] na środku drogi prowadzącej do terminalu „Panoco”. A raczej, mówiąc obrazowo, na środku drogi i dokładnie między sztandarem głoszącym: *Chrońcie nasze łowiska* a bramą główną. Tą samą, która wiodła nie tylko do zbiorników, ale również do miejsca zbiórki wszystkich pracowników odpływających na sztuczną wyspę, przy której właśnie cumowały tankowce.

Miały zamiar tak stać, aż ich mężczyźni, przez cały dzień zajęci łowieniem ryb, zjedzą, ubiorą się odpowiednio na zimową noc i przyjdą pod terminal, aby swoim zdecydowanym protestem zmusić kogoś z rządu do zajęcia się tą sprawą.

Albo chociaż – jak oceniali umiarkowani optymiści – zwrócić ich cholerną uwagę na to, co się dzieje.

Naczelnik policji już zwrócił uwagę. Dlatego podjęto pewne środki ostrożności – jak zwykle gdy demonstranci nie chcą zrezygnować z demonstrowania, a to może przeszkodzić innym w ich legalnych interesach. Czy naczelnik policji podzielał zdanie protestujących, czy też nie – nie miało znaczenia.

Dlatego dwudziestojedynoltni policjant Hamish Lawson z Highland Police Force trwał równie zdecydowanie jak pozostali między wspomnianą już radną McLeish a bramą terminalu. Jego świętym obowiązkiem była ochrona niezaangażowanych obywateli i wszystkich mających coś wspólnego z miastem Vaila – nie mówiąc o multimilionowej inwestycji amerykańskiej korporacji „Panoco Oil” – przed jakąkolwiek groźbą wojny, rozruchów, zamieszek, łobuzerskich praktyk czy innych okropności, których w każdym momencie mogła dostarczyć pani McLeish.

No... pani McLeish i siedem innych pań stanowiących awangardę dziennej zmiany pikietujących na rzecz środowiska.

Przede wszystkim Hamish musiał dopilnować, aby radna McLeish nie upierała się tkwić na środku drogi, gdyby ciężarówka lub inny pojazd chciał wjechać lub wyjechać z terminalu. Nie trzeba dodawać, że pani McLeish nie zamierzała się narażać, ponieważ – po pierwsze – nie o to chodziło w tym proteście, a po drugie – Hamish był synem jej siostry Mary i do głowy by jej nie przyszło sprawić mu kłopot. Nawet w celu uzyskania przewagi politycznej.

Jedyną niesprawiedliwością tego układu był fakt, że pani McLeish i jej towarzyszki chroniły się, całkiem sensownie zresztą, pod parasolkami, podczas gdy policjantowi Lawsonowi – przedstawicielowi prawa obciążonemu przez naczelnika policji tak poważną odpowiedzialnością – nie pozwolono parasolki używać.

– Ach, idź i napij się kawy, Hamish – zasugerowała pani McLeish, zmartwiona z powodu deszczu przeciekającego przez krótką policyjną kurtkę siostrzeńca i skapującego z czubka jego czapki. – Zaziębisz się na śmierć. Obiecujemy nie szturmować tej bastylii wandali przed twoim powrotem.

Ze strony, w której zgromadzone były ekologiczne oddziały operacyjne Vaila, dał się słyszeć zbiorowy pomruk niepokoju. Ich członkowie nie tylko znali Hamisha od czasów, gdy był w wieku uprawniającym do podkradania jabłek, ale również nie mieli ochoty odpowiadać za śmierć policjanta z powodu zapalenia płuc.

Hamish jednak, milcząc jak kamień, patrzył tylko przez strugi deszczu i trwał uparcie na swoim posterunku. Chronił niezaangażowanych, i tak dalej, od trzeciej cholernej godziny tego cholernego popołudnia. A teraz zbliżała się siódma. Od kiedy zaczął pracę, nie przestało padać ani na moment, a jego zmiana kończyła się dopiero o jedenastej. Poza wymyślaniem różnych rzeczy, które chciałby powiedzieć naczelnikowi policji (gdyby się tylko ośmielił), rozkoszował się wizją tego, co powie wujowi McLeish o cioci Jesse przy najbliższej okazji wlepiania mu mandatu za parkowanie w miejscu niedozwolonym.

Po kryjomu jednak wciąż solidaryzował się z demonstrantami, chociaż oficjalna funkcja zmuszała go, wzorem naczelnika policji, do neutralności.

Były już dwa wypadki wycieku ropy w terminalu „Panoco”. Dyskretnie zatuszowane, bez angażowania środków przekazu. Nikt z miasteczka nie zadzwonił wtedy do odpowiednich osób.

Kiedy zdarzył się pierwszy, gorszy wyciek, Hamish chodził jeszcze do szkoły. Wraz z resztą uczniów spędził na plażach wiele poranków, zbierając pokryte ropą ptaki i pomagając przedstawicielom RSPB* [* RSPB (Royal Society for the Protection of Birds) – Królewskie Towarzystwo Ochrony Ptaków (*przyp. tłum.*)] czyścić biedne stworzenia. A potem patrzył, jak setki z nich i tak umierały – poparzone, z rozpuszczoną pod działaniem arabskiej ropy błoną na nogach.

Łowiska homarów i małży nie ucierpiały wtedy tak bardzo. Podobnie jak za drugim razem, kiedy nastąpił mniejszy wyciek paliwa. Rybacy, których niepewny żywot zależał od zimnych wód Quarsdale, mieli więc szczęście.

Mieli szczęście aż do tej pory.

Podczas gdy policjant Lawson mókł na deszczu, marynarz pokładowy Wullie Gibb pobrzękiwał pokrywką czajnika w miniaturowej kuchni holownika *William Wallace*. Na tacy ustawił sześć kubków, karton mleka i aluminiową miskę z cukrem pokrytym brązową skorupą, co było efektem kontaktów z mokrymi łyżkami poprzednich pokoleń. Ostrożnie i zręcznie pokonując drogę, znalazł się w przyćmionym, wąskim przejściu przy prawej burcie.

Mechanik Burns czuł w maszynowni jakieś napięcie. Jako dodatek do brudnego kombinezonu miał na sobie, jak zwykle, swoją wyświechtaną czapkę i czerwoną przepoconą chustę. Roztaczał wokół siebie atmosferę dnia sądu ostatecznego. Wullie balansował z tacą, a mechanik nalał sobie herbaty i wsypał do kubka pięć czubatych łyżek cukru.

– Może jeszcze cukru – zachęcał Wullie.

– Źle mi robi. Zatyka mi arterie – ponuro odmówił Burns.

– To nienasycone tłuszcze tak robią. W każdym razie ma to znaczenie dla twojego dygotania w sercu – rozsądnie zauważył Wullie. – I dla żylaków, i migreny, i marskości wątroby, i wszystkich innych przypadłości, których się już doliczyłeś, Tam.

Lina holownicza z dzioba VLCC otarła się, skrzypiąc o obracający się holownik.

– Jedna iskra! – krakał mechanik Burns złowieszczo. – Potrzeba tylko jednej małej iskry i wylatujemy w powietrze!

Trzeba wiedzieć, że Tam Burns przewidywał zagładę i kataklizm od siedmiu lat. Za każdym razem, kiedy VLCC przypląwał do terminalu.

– Ten jest wyjątkowo do niczego. – Melancholijny marynarz ogarnął wzrokiem tysiąc stóp długości *Calaurii* kryjącej się już w mroku. – Stary, zapuszczony i zżarty przez rdzę we wszystkich widocznych miejscach. Zapamiętaj moje słowa, chłopcze, patrzysz na katastrofę szukającą sobie miejsca, gdzie mogłaby się zdarzyć!

Wullie Gibb wiedział jednak, że Burns powtarzał to samo od siedmiu lat.

Poza tym, czy Tam nie wiedział, że przepisy kompanii były specjalnie ustalone po to, by zapobiegać tak bezsensownym wypadkom?

Salata i pomidory na wieczór? – zdziwiła się Ella. – A może miałbyś ochotę na wołowinę z korniszonem?

– Na polędwicę! – rzucił złośliwie Reg Blair. – Do tego zielona fasolka i torba frytek.

– Salata i pomidory – westchnęła z rezygnacją Ella. Wyszła z kuchni wycierając ręce. – Zauważ, mógłbyś ugotować sobie gorący posiłek. Albo chociaż coś podgrzać. Mogę zawsze zrobić pieczeń do odgrzania, Reg. Tam, gdzie pracujesz, jest kuchenka.

– Mówiłem ci już, siedzę sam na stanowisku kontrolnym przez większość nocy. Wystarczająco ciężko walczy się ze snem o czwartej rano; pełny brzuch mi w tym nie pomoże. Szczególnie gdy w terminalu nic się nie dzieje, bo rozładowują na morzu.

– Chciałabym, żebyś nie musiał pracować na nocne zmiany – powiedziała. – Brakuje mi ciebie.

– Do czego? Większość czasu i tak spędzasz w łóżku.

Ella skrzywiła się.

– O to właśnie chodzi. I doskonale wiesz, do czego mi jesteś potrzebny.

Blair przeniósł wzrok z telewizora na żonę. Ciągle jeszcze była ładna: po dwudziestu siedmiu latach małżeństwa wciąż wyglądała atrakcyjnie. Poczul w środku rosnącą falę przyjemnego ciepła – a więc ciągle coś do niego czuła.

– Wygadałaś się, co? Mąż spędza połowę życia w Marynarce, a ty nigdy ani słowa o tym, że czegoś ci brakuje! To kto ci towarzyszył w łóżku, kiedy ja zabawiałem się z flotą, co?

Nie rozśmieszyło jej to.

– Chłopcy byli wtedy młodzi.

– Wciąż są. Ken to dopiero siedemnastolatek, a Billy też nie jest staruszką. Ma dopiero dwadzieścia lat.

– To nie to samo. Nie wymagają już tyle uwagi. A życie też było inne, kiedy wypływałeś na krótko. Gib, Pompeje, Singapur... Wtedy ciągle zmienialiśmy dom.

– A teraz osiedliśmy w Vaila. W Szkocji.

– Właśnie!

Odpowiedziała krótko. Niepokojąco krótko. Blair wyczuwał, co teraz nastąpi – już nieraz prowadzili podobną rozmowę. Spojrzał na nią uważnie.

– Ekspedytor terminalu to dobra robota. Dobrze płatna. „Panoco” to niezła kompania... przeważnie.

– A ty jesteś byłym podoficerem Marynarki Królewskiej. I nie ma zbyt dobrej roboty dla byłych dowódców baterii... – mówiła z przekąsem.

– Jakbym siebie słyszał!

– Cytuję cię! Powiedziałeś dokładnie to samo, kiedy zaoferowano ci pierwszą pracę w Arabii Saudyjskiej.

– Przestań, Ella. Vaila to nie Arabia Saudyjska!

Popatrzyła w okno. Deszcz gnany wiatrem opryskał je całkowicie: srebrne, błyszczące łyzy zawieszono w czerni. To niezła pointa.

– To prawda, Reg. Tam nie leje bez przerwy.

Zaczął go to irytować.

– O co ci chodzi właściwie?

Ella wzruszyła ramionami.

– Nic, tylko... Och, nie wiem, może po prostu nie lubię, gdy grzebie się mnie żywem.

– Nie! Tylko nie to! Jezu Chryste, Ella, czego ty chcesz? Nie budują terminali dla cholernych VLCC w Londynie na West Endzie.

– Wcale nie proszę cię, żebyśmy mieszkali na Oxford Street – zalała go potokiem słów. – Ale nie chcę spędzić reszty życia jako wiejska dziewczyna. Gadać ciągle z tymi samymi ludźmi, robić zakupy w tych samych sklepach i spacerować pół mili w tym zimnie, Reg, tylko po to, by spacerować.

Wstał, wznosząc do góry ręce.

– Jezu Chryste!

Wiedziała, że zanoszą się na awanturę, i próbowała załagodzić sprawę.

– To nieważne. Zrobię ci kanapki.

– Chrzanię kanapki! – wrzasnął Blair. – Wyjaśnij mi, gdzie mamy znaleźć to wytworne, dobre życie, którego tak pragniesz, Ella; gdzie są te oferty pracy w wielkich metropoliach i stojące za nimi

wystarczające do życia pieniądze, a ja jutro wręczone Dugganowi wymówienie, dobra?

– Nie musisz przeklinać. Sałata i pomidory, tak?

– Jezu Chryste! – Reg wrzasnął po raz trzeci i zwałił się na kanapę, wlepiając wzrok w telewizor.

Nie minęło nawet pięć minut, kiedy przyszedł do kuchni zakłopotany i niepewny; zaczął dłubać w pokrojonych pomidorach i bawić się liśćmi sałaty.

Po prostu wciąż ją kochał.

– Słuchaj – wymamrotał wreszcie. – Jest coś, o czym powinnaś wiedzieć.

Kiedy skończył mówić, poczuła, że musi usiąść.

– Jezu Chryste, Reg! – wyszeptała zamyślona Ella Blair.

Zamyślona i niepomiernie niespokojna.

Kiedy w cieniu *Calaurii* Wullie Gibb podawał szyprowi McFadyenowi należny mu kubek herbaty, policjant Lawson gotował się ze złości, a Ella Blair trawiła wiadomość, która w najlepszym razie mogła spowodować kryzys w życiu jej męża. W barze „Stag” – w miejscu zebrań towarzyskich młodszego pokolenia Vaila – szykowało się spotkanie.

Peter Caird rejestrował pytające spojrzenia. Czekają na niego czterech rówieśników: kolegów z klasy, obecnie dziewiętnastoletnich młodych ludzi, którzy wierzyli – tak jak wielu młodych z ich i ze wszystkich poprzednich pokoleń – że to właśnie oni i tylko oni potrafią docenić wagę światowych problemów. Że umieją wybrać najprostsze rozwiązanie. Jednocześnie ich też uczucie gwałtownej niecierpliwości wobec starszych wiekiem, tak irytująco zadowolonych z siebie.

– No i?

Syn doktora wydawał się zadowolony ze swojego nowego statusu. Kiedyś był po prostu niczym się nie wyróżniającym dzieciakiem na placu zabaw. Ale teraz jest inaczej. Fakt, że dostał się na uniwersytet St Andrews (przez co miał przynajmniej perspektywy na zawodową karierę), sprawił, iż jego koledzy z ławy szkolnej zaczęli go szanować. Nawet najbardziej ograniczony nastolatek nie mógł nie zauważyć, jak trudno wieść satysfakcjonujące życie w jednym z odleglejszych zakątków Szkocji. Chyba że ktoś był wyjątkowo zdolny albo gotów pozostać wiecznie bezrobotnym. Dla pozostałej czwórki wybór był jasny: albo będą mieli szczęście i znajdą zatrudnienie na miejscu, albo będą zmuszeni opuścić dom i ruszyć w świat w poszukiwaniu pracy.

– To duży ładunek – wyszeptał konspiracyjnie Peter. – Będzie tu przynajmniej przez czterdzieści osiem godzin.

John McLean, którego ojciec był właścicielem łódki *The Vian* łowiącej homary, stwierdził z delikatnie podkreśloną obojętnością:

– Tak? A więc robimy to dziś w nocy, chłopie.

Specjalnie starał się przybrać niedbały ton. Nie tylko po to, by zaimponować Janey Menzies i Shonie Simpson szybką decyzją. Chciał także podkreślić swoją pogardę dla ewentualnych konsekwencji. Było to więc bardziej stwierdzenie niż odpowiedź. Poza tym McLeana szczególnie dotykało wywyższanie się Cairda, zdecydowany był więc osiągnąć przywództwo w tej grupie. Nie lubił takich historii. Tym razem zrobił wyjątek i pozwolił rozdmuchać sprawę do rozmiarów działań wojennych. Sprawę, która do tej pory przybierała jedynie formę niezadowolenia ostrożnie wyrażanego przez panią McLeish i nie mających nadziei rybaków. Takich, jak jego ojciec.

Tak naprawdę, to cholernie obawiał się reperkusji, jakie mógł przynieść plan Petera Cairda.

Problem leżał w tym, że skoro sam zaczął tę całą zabawę, to nie bardzo mógł się przyznać do ogarniających go wątpliwości. Czyż nie tak? Był przecież prawdziwym McLeanem.

– Ale nie możemy... – zaprotestował Alec Bell, patrząc przejmująco zza grubych szkieł okularów.

– Czego nie możemy? – W pytaniu McLeana można było wyczuć złość. Wyzwanie ze strony Cairda to co innego. Nie zniesie natomiast buntu jakiegoś Bella.

– Nie możemy zrobić, no... tego! Nie dziś w nocy, John.

– A czemuż to?

– W kościele jest dyskoteka, dlatego.

– Święty Jezu Chryste! – zdenerwował się McLean. – Chcesz mi powiedzieć, że pieprzona dyskoteka jest ważniej...

– W każdym razie ja nie zrezygnuję z piątkowych wyglupów i już – wtrąciła Shona Simpson. – Tak samo, jak Janey. Prawda, Janey?

– Ja naprawdę nie... – wymamrotała Janey. Od paru lat szaleńczo zakochana w Johnie McLeanie, nie chciała, by wiadano, że jest po jego stronie. Ale jeszcze bardziej bała się obrazić Shonę Simpson, która rozzłoszczona potrafiła być ohydny babskiem.

– No, widzicie? – triumfująco rzekła Shona.

– Słuchajcie, może być jutrzejsza noc – rozsądził ostatecznie Peter, czym zniszczył kompletnie efekt, jaki miała wywołać szybka decyzja McLeana.

– Możemy to zrobić jutro w nocy. Nie ma problemu.

Na jego twarzy pojawił się wyraz, który poważnie zaniepokoił młodego McLeana.

– No, ale wtedy im pokażemy... – powiedział. – Tym wszystkim grubym rybom, nieodpowiedzialnym chłopaczkom z Dallas rządzącym „Panoco”.

Na pokładzie *Calaurii* pilot McDonald patrzył, jak hydrauliczne bufory przystaniowych zderzaków wgięły się lekko, zatrzymując ostatecznie ruch czternastu tysięcy ton. Cumowanie poszło jak trzeba. Odwrócił się do kapitana Bisaglii. Na jego twarzy malowała się ulga.

– Witamy w Szkocji, kapitanie.

Przystań zawałona była zwojami przewodów i lin. Liny przednie, liny tylne, boczne... Pięćdziesiąt minut później mamut zaległ na przystani ku zadowoleniu zarówno kapitana, jak i pilota. Wyglądał teraz jak bezwolny Guliwer związany przez Liliputów.

Dochodziła dziewiętnasta i było już całkiem ciemno. Bisaglia spojrzął w kierunku czerwonego światła, dobywającego się ze sterowni, gdzie pierwszy oficer Mario Spedini sporządzał notatkę: *Lewa burta zabezpieczona. Stanowisko zachodnie, przystań Rora, zakończoną skrótem F.W.E.** [* Finished With Engine – maszyny zatrzymane (*przyp. tłum.*).]

Maszyny zatrzymane.

– *Grazie, signore!* – Kapitan skłonił się nisko w kierunku młodego zastępcy, po czym odwrócił się do McDonald. – Podziękowania dla pana, pilocie. Pozwoli pan, że mój steward Nino zaprowadzi pana teraz do jego kajuty, dopóki nie zostaną sprawdzone wszelkie zabezpieczenia i nie będziemy gotowi do rozładunku?

Bisaglia obserwował, jak dokładny Gioia wskazywał pilotowi drogę z mostka. Archibald McDonald pozostanie na pokładzie *Calaurii* przez cały okres rozładunku. A właściwie opuści ją dopiero po wyprowadzeniu kolosa z zatoki na otwarty ocean.

Kapitanowi Bisaglii nie przeszkadzało to, co inni dowódcy z niechęcią nazywali wtrącaniem się

kompanii naftowych. Przeciwnie – czuł jedynie wdzięczność dla tych dodatkowych pracowników. W czasie pobytu na pokładzie McDonald będzie spełniać wiele funkcji. Już wykonał zadanie pilota wprowadzając statek do portu. Teraz, dzięki swojemu radiu, będzie głównym łącznikiem pomiędzy statkiem i lądem. Razem z oficerem Spedinim i PCO będzie nadzorował wykonanie rozładunku według ustalonego planu. Będzie służył jako dodatkowy strażnik bezpieczeństwa, konsultant, kopalnia niezbędnych informacji i – jeśli zajdzie taka potrzeba – mediator między załogą a personelem terminalu.

Dwie najbliższe noce kapitan McDonald miał spędzić w specjalnie dla niego przygotowanej kajucie, jeśli, oczywiście, zdarzyłaby się możliwość przespania się. Z dwudziestu czterech godzin dwadzieścia cztery należy spędzić na posterunku i nieustannie czuwać nad bezpieczeństwem.

Och, kapitan Tommaso Bisaglia czuł głęboką wdzięczność za obecność na pokładzie takiego człowieka jak Archie McDonald.

No, ale Bisaglia miał więcej niż inni powodów, aby cieszyć się z wszelkiej pomocy. I nie chodziło tu o całkowicie zrozumiałą troskę o parę bilionów lirów zainwestowanych w statek przez właścicieli, lecz o coś znacznie więcej...

Kapitan Bisaglia zaakceptował też wreszcie brutalną prawdę, że nie miał już kwalifikacji pozwalających mu chociażby być na mostku w czasie tego manewru. Z powodu jego wieku żadna szanująca się kompania nie zaoferowałaby mu dowództwa nad statkiem pod banderą europejską. A tym bardziej nad włoskim VLCC.

Podejrzewaliby słusznie, że kontrola, jaką był w stanie sprawować nad urządzeniem zajmującym przestrzeń trzystu metrów przed nim, stała się technicznie niewystarczająca. Tego właśnie obawiał się sam Bisaglia.

Co gorsza, urządzenie miało to do siebie, że gdyby podczas rozładunku dowódca popełnił jeden mały błąd czy też nie zdołał zapobiec omyłkom innych, wtedy ten Bardzo Duży Przewoźnik Ropy *Calauria* mógłby natychmiast przeistoczyć się w nic innego tylko... Aby wyrazić to plastycznie, powiedzmy: w Bardzo Duży Dryfujący Wulkan.

Na statku

Rozładunek miał się rozpocząć tuż po tym, jak oficer kontroli zanieczyszczenia, były dowódca tankowca Michael Trelawney (człowiek w białym kombinezonie dostrzeżony wcześniej przez Bisaglię), dokona wymaganej kontroli urządzeń zabezpieczających.

Prace zaplanowane zostały przez pierwszego oficera Mario Spediniego jeszcze przed przybyciem *Calaurii* do portu. Był to czas próby dla młodego Spediniego. Dowódca ponosi ogólną odpowiedzialność, na barkach pierwszego oficera spoczywa zaś obowiązek kierowania działaniami związanymi z wyładunkiem i składowaniem.

Dlatego też szczegółowe opracowanie procedury załadunku i rozładunku jest sprawą zasadniczą. Krótko mówiąc, VLCC pomimo swojej ogromnej masy jest prostą konstrukcją, stanowiącą nie tyle statek, co wydłużone stalowe pudło z czubkiem z jednej strony i silnikiem z drugiej. Pudło to jest poprzecznie podzielone na olbrzymie przedziały czy też zbiorniki, w których transportuje się ropę. Każdy zbiornik może być opróżniony za pomocą znajdujących się na statku pomp – pojedynczo lub równocześnie z innymi.

Niezależnie od tego, VLCC ciągle pozostaje obiektem stworzonym do pływania po wodzie i jako taki podlega podstawowym prawom fizyki. Z powodu ogromnej masy ładunku podczas opróżniania statku powstać mogą napięcia, jakich statek nie jest w stanie wytrzymać. Wyporność, na przykład, powoduje, iż pusty przedział unosi się ku górze, natomiast załadowany opada, ciągnięty w dół siłą ciężenia. Jeśli opróżni się dwa końce statku, a środek zostawi pełen, to kadłub ulegnie wygięciu jak monstrualny banan. W sytuacji odwrotnej, gdy wypompuje się ładunek ze środka VLCC, a zostawi załadowany przód i tył, trzeba będzie radzić sobie z inną niebezpieczną sytuacją. Dziób i rufa toną, natomiast środek unosi się na wodzie niby balonik. Marynarze określają ten alarmujący stan „jeżeniem grzbietu”.

Pozbywanie się połowy ładunku ropy – z lewej lub prawej burty, a pozostawienie drugiej strony pełnej, marynarze nazywają delikatnie głupotą. Ktoś, kto to robi, nie nazwie tego nijak, ponieważ zostanie przywalony stu tysiącami ton wywróconego Bardzo Dużego Przewoźnika Ropy.

Jednym słowem pochopne decyzje są wykluczone. Wszystko, co ma być zrobione, musi być dużo wcześniej dokładnie rozważone. Używając dobrze opracowanych matematycznych formułek, należy na długo przed rozpoczęciem wypompowywania wykalkulować, jaki efekt będą miały te napięcia, naprężenia i zaburzenia równowagi.

Pierwszy oficer Mario Spedini szczerze ufał, iż właśnie to zrobił. I miał nadzieję, że otrzyma od PCO pozwolenie na rozpoczęcie działań jeszcze przed północą. zaproponował, aby na wstępie wyładować przesyłkę o masie siedemdziesięciu sześciu

tysięcy ton – paczkę, jak nazywali to pracujący na tankowcu – zawierającą ciężką arabską ropę. Potem zapełnić środek balastem – nie tylko po to, by zniwelować nierównowagę, ale także, by uchronić kadłub o wiele lżejszego tankowca przed zbyt dużym wynurzeniem się nad powierzchnię wody. Narażony byłby wtedy na silne działanie wiatru i istniałoby ryzyko, że liny, którymi był zabezpieczony, mogą nie wytrzymać. Końcową fazą, według planu Spediniego, miało być wypompowanie na brzeg czterdziestu jeden tysięcy ton arabskiej lekkiej.

Przewidywał, że faza pierwsza, czyli rozładunek ciężkiej ropy za pomocą dwóch parowych pomp *Calaurii*, zajmie jakieś dziewiętnaście godzin.

Niestety, pierwszy oficer Mario Spedini ciągle miał powód do niepokoju...

Nie był całkowicie pewien – nie w stu procentach – że jego plan rozładunku jest dobry.

Rozdział III

Piątek: późny wieczór

W hotelu „Meall Ness”, usytuowanym na wprost odizolowanej przystani *Calaurii*, reporterka Fran Herschell skończyła rozpakowywanie bagażu po długiej i uciążliwej podróży pociągiem i autobusem z Glasgow. To górskie safari było koniecznością, ponieważ jej antyczny samochód odmówił posłuszeństwa. Dokładniej mówiąc, wysiadł wał korbowy, który nie mógł dłużej znosić tego, co robiła z nim Fran.

Tak więc jej antyk nawalił, a szef odmówił pożyczania swojego samochodu. Wydawca *Obywatela* pozwolił jej co prawda raz przejechać się swoim ukochanym BMW. Towarzyszył jej w tej dramatycznej i króciutkiej randce z maszyną, której możliwości Fran usiłowała wykorzystać zupełnie niezgodnie z zaleceniami producenta.

Dochodziła ósma, kiedy Duggan podwiózł wreszcie Fran do bram terminalu. Było ciemno i ciągle lało. Panie z Komitetu radnej McLeish porozchodziły się do domów, zastąpione przez mężów i synów. Ci, ubrani w żółte rybackie kombinezony, zdecydowani byli czekać tu aż do wyjaśnienia sprawy. Ustalili oczywiście zmiany w dyżurowaniu: podczas gdy jedna część Związku protestowała swoją obecnością, druga wspierała ich duchowo w barze „Stag”.

Kiedy Duggan parkował jeepa, zaczęli pojawiać się inni ludzie. Niektórzy już ubrani w kombinezony „Panoco”, z hełmami na głowach. Ten konflikt między dwiema lokalnymi grupami miał cechy nieporozumienia w granicach wzajemnej tolerancji.

– To nocna zmiana – powiedział Duggan. – Pracujemy po dwanaście godzin: od ósmej do ósmej. To odpowiada chłopakom, mają więcej czasu na odpoczynek.

– Ilu?

– Na nocnej zmianie? Zwykle jedenastu. Inspektor kontroli zanieczyszczenia i pięciu innych na wyspie. Natomiast na terenie terminalu ekspedytor, facet od pomp, portier, dwóch strażników. Administracja i konserwatorzy pracują w dzień. Chyba że jest jakiś naglący problem.

– Ekspedytor? To brzmi trochę złowieszczo.

Duggan uśmiechnął się.

– Niektóre kompanie naftowe nazywają go wysyłkowym; wywołuje to chyba jeszcze dziwniejsze skojarzenia. W rzeczywistości to odpowiedzialny facet, który siedzi w pomieszczeniu kontrolnym terminalu i trzyma rękę na pulsie. On i PCO to tak naprawdę najważniejsi ludzie.

– A co z załogami holowników i ludźmi, którzy dowożą personel na wyspę?

– Przeważnie są wynajęci. Pracują poza portem Neackie, parę mil na północ. To najlepsze miejsce na pływające zakłady przemysłowe. – Duggan podniósł rękę i w świetle padającym z bramy terminalu spojrzął na zegarek. – Słuchaj, co myślisz o tym, żebym ci wyjaśnił działalność „Panoco”,

bez technicznych detali oczywiście, przy kolacji w „Meall Ness”?

– Czy zdajesz sobie sprawę, że właśnie usiłowałeś przekupić dziennikarkę? – spytała żartobliwie Fran. – Z powodzeniem zresztą. Zupełnie zapomniałam o jedzeniu! Ale co z panią McAllister? Czy nie jest za późno, żeby zawracać jej głowę?

– Wszystko ustalone. Ma nam zostawić coś zimnego. To chyba lepsze niż jedzenie palcami ryby z frytkami w samochodzie.

Fran otworzyła drzwi i wysiadła, podnosząc wysoko kołnierz.

– Odbierzesz mnie stąd?

– Koło dziewiątej? Chciałbym skoczyć do tankowca pogadać z Archie McDonałdem i PCO o planie pracy na noc. Na razie zostawiam cię sam na sam z panią McLeish. To ona, stoi tam: postać ze sztandarem. Ciągłe tutaj o tej porze. Uczy wszystkich mężczyzn, jak należy demonstrować.

Fran spojrzała poprzez padający deszcz. W tej kobiecie, którą wskazał Duggan, było coś, co spowodowało, że poczuła się bardziej wojennym niż morskim korespondentem.

– O rany!

– Właśnie. – Duggan zrobił minę mówiącą: no cóż, sama tego chciałaś. Uruchomił jeepa. Krępy mężczyzna w średnim wieku minął go na rowerze, kierując się w stronę terminalu.

– Wstrętna noc, panie Duggan.

– Dobry wieczór, Reg – zawołał Duggan, po czym przechylił się w stronę drugiego okna. – Ekspedytor – wyszeptał tajemniczo przez złożone w trąbkę ręce.

Uśmiechając się, Fran patrzyła, jak jeep, żegnany przez stojącego przy bramie potwornie znudzonego policjanta, zniknął w oddali. Duggan był miły. Może troszkę niedojrzały, trochę za bardzo okazujący zainteresowanie jej osobą, ale miły. I trudno go winić za zdecydowanie w przedstawianiu „Panoco” w jak najlepszym świetle. Płacono mu za to.

Uśmiech zniknął z jej twarzy. Poczowała się winna, że nie wtajemniczyła Duggana we wszystko. Nie miała zamiaru usprawiedliwiać się, bo przecież to nie jej wina, iż szef terminalu, bardziej podejrzliwy w stosunku do prasy, został wezwany do Stanów. I że zostawił młodego zastępcę, aby radził sobie z naświetleniem stosunków międzyludzkich jakiejś dziennikarce z małej prowincjonalnej gazety. I że było to zadanie tylko z pozoru rutynowe. Ostatecznie cała ta sytuacja mogła się dla niej okazać korzystna.

Bo tak naprawdę nie chodziło wcale o rutynę. Duggan niczego nie podejrzewał, ale za tą wizytą kryło się coś poważniejszego. Znacznie poważniejszego.

Och, szlag by go trafił za tę uprzejmość i naiwność – stwierdziła Fran, zła na siebie za to uczucie słabości. W końcu Duggan sam, z powodu swojej naiwności, naraził się na krytykę szefa. Już podczas ich pierwszego spotkania zdradził swój szowinistyczny stosunek do niej jako reportera, zakładając, że nie była w stanie zajmować się dochodzeniami czy sprawami technicznymi. Nawet jego zaproszenie na kolację było dowodem, że wciąż zakłada, iż Fran zbiera po prostu materiały na drugą stronę gazety. Typowe dla klasycznych artykułów zapełniających kobiecie pisma: małe miasto kontra chroniony przez państwo moloch.

No cóż, Duggan – i „Panoco” – mogą pewnego dnia spojrzeć w gazetę i odkryć, że obecność Fran Herschell w Vaila była spowodowana czymś więcej niż zwykłym zainteresowaniem małomiasteczkowymi waśniami.

Zaczęła iść w kierunku malej grupy demonstrantów do tego stopnia zaangażowanych w sprawę, by znosić przyjemności zimy przez całą noc po nie mniej ciężkim dniu.

Zastanawiała się, kto z nich jest tym naprawdę przestraszonym autorem anonimu do *Obywatela*. Przestraszonym tym czymś, co według niego – czy też niej – działo się za zamkniętymi drzwiami potencjalnie wybuchowego terminalu tankowców.

Na głównym pokładzie *Calaurii* inspektor kontroli zanieczyszczenia Trelawney, w towarzystwie wyraźnie zajętego pierwszego oficera Spediniiego i trochę agresywnego bosmana Egidiego, rozpoczął kontrolę, która musiała być przeprowadzona, zanim popłynie pierwsza kropla ropy.

Antystatyczny kabel był rzeczywiście podłączony prawidłowo, Trelawney pomógł więc w ustawieniu jednego z siedmiu przeciwpożarowych urządzeń – wodnej armatki *Calaurii* – w pobliżu zbiorczego rurociągu, przez który miał popłynąć cały ładunek. Sprawdził także, czy odpowiednia liczba gaśnic znajdowała się w zasięgu ręki. Zadowolił się też widokiem węży strażackich podłączonych już do głównej rozdzielni statku. Zauważył, że węże są brudne, ale postanowił nie zajmować się nimi dokładniej, bo żadne poważne ślady zużycia nie były widoczne na powierzchni pokrywającego je płótna.

Brakowało metalowej uszczelki przy jednym z zaworów. Pokazał to Spediniemu, który wzruszył ramionami, wyraźnie bardziej zajęty własnymi myślami. Poinformował więc o tym bosmana Egidiego, który, mrucząc coś pod nosem, wyruszył na poszukiwanie brakującej części.

Nie było to całkiem nowe doświadczenie dla PCO. Jako inspektor spotykał się już z różnymi reakcjami pracowników tankowców: począwszy od agresji Greków, a skończywszy na totalnej obojętności Koreańczyków.

Kontynuowano kontrolę i wprawne oko Trelawneya badało stan VLCC. Statek, ogólnie biorąc, był zaniedbany: zardzewiałe pokłady, burty skorodowane pod symboliczną warstwą farby, wszelkie jaśniejsze kolory wyblakłe i poszarzałe. Innymi słowy, „bandera wygodnictwa” w najgorszej formie. Wszystko to wyglądało dobrze z daleka, ale z bliska, po dokładnym przyjrzeniu się, widać było rozkład spowodowany brakiem odpowiedniej konserwacji i nieodpowiednią eksploatacją. Najprawdopodobniej nie była to wina zastępcy kapitana. Wydawał się bystry pomimo swojego obecnego zaabsorbowania nie wiadomo czym. Poza tym był za młody. Nie mógł sprawować funkcji pierwszego oficera wystarczająco długo, aby mogło to mieć jakiegokolwiek znaczenie dla kondycji giganta. Trudno było oczekiwać cudów od niego, skoro armatorzy nie raczyli dostarczyć koniecznego sprzętu i większej liczby rąk do pracy.

Twarde zasady dotyczące konserwacji statku i kosztowna wymiana nawalających części stawały się tym ważniejsze, im starszy był statek. To tylko właściciele Mickey Mouse mogli sobie pozwolić na krótkowzroczność cechującą hazardzistów; nic ich nie obchodziło, nie inwestowali swoich dochodów z myślą o bezpieczeństwie innych.

Weźmy na przykład pierwszą generację supertankowców, starszych od *Calaurii*. Budowane były przez poważane kompanie w okresie bumu naftowego na początku lat sześćdziesiątych z założeniem, że będą przynosiły dochód przez najwyżej dziesięć lat. PCO widział jednak nieraz, jak sprzedawano kolejno te starzejące się oryginały coraz mniejszym i coraz bardziej podejrzanym syndykatom. I wciąż pływały – nawet dwadzieścia lat później.

Jednakże supertankowiec będący w użyciu tracił rocznie z powodu korozji około dwóch procent metalu. To jak, u diabła, udało się światu do tej pory doświadczyć tylko paru katastrof?!

– Ten statek – Trelawney zwrócił się do Spediniiego, wspinając się po drabinie – ile ma lat?

– Dziesięć – odpowiedział zastępca kapitana, po czym spojrzał zaniepokojony. – Ale jesteśmy

zalegalizowani, prawda? Był sprawdzany rok temu w Korei.

Och, wspaniale – pomyślał cynicznie Trelawney. Wiedział, na czym polegają te liberyjskie kontrole. Zapytał jedynie z ciekawości. Jego obowiązki były ściśle określone przez „Panoco”. Jeśli *Calauria* była odpowiednio wyposażona, aby dostarczać ropę, i miała wymagane zabezpieczenia, to wynik kontroli musiał być pozytywny. Nie był na tyle wykwalifikowany, aby przeprowadzać szczegółowe badanie i wcale tego od niego nie oczekiwano. Mógł jednak formułować własne opinie i mieć osobiste zdanie na ten temat. Nie zawsze pozytywne.

– Czy na dziobie i rufie macie zainstalowane liny przeciwpożarowe, oficerze?

– Jakie liny?

– Przeciwpożarowe – PCO powtórzył cierpliwie. – Ciężkie liny muszą być zainstalowane na zewnętrznych stronach burt, nie więcej niż metr nad poziomem morza.

– *Si, si* – przytaknął Spedini z nagłym entuzjazmem. – W razie niebezpieczeństwa, tak? Żeby wasze holowniki mogły nas wyciągnąć z przystani? Spójrz przed siebie!

Trelawney spojrzał. Lina ciągnąca się od polera była stara i zjedzona przez rdzę. Postrzępione kawałki sterczały na wszystkie strony jak igły. To było wbrew wszelkim przepisom. To oczywiste, że pięknie, skoro tylko się ją napnie.

– Proszę, aby pan ją wymienił, oficerze. Na inną, w lepszym stanie – zażądał inspektor. – Kategorycznie.

Peter Caird nie bawił się dobrze na kościelnej dyskotecie.

Trzeba wiedzieć, że po szalonej nocy, jaką urządzili sobie z kolegami w St Andrews, podrygiwanie w takt muzyki z płyt żony pastora nadających się głównie do ćwiczenia aerobiku nie było wielką rozrywką. Szczególnie że pastor, porwany całkowicie przez rytm, z uporem maniaka włączał i wyłączał światło, starając się stworzyć atmosferę bardziej zwariowaną, niż to zwykle bywa w normalnych dyskotekach.

Cała ta szopka miała jednak swoje dobre strony. Chodziło głównie o zachowanie Shony Simpson, która w szkolnych czasach nie zwracała uwagi na Petera, ale teraz, skoro stał się ich przywódcą, zaczęła okazywać mu swoje zainteresowanie.

Zauważył to także McLean. Nieprzyjazne spojrzenia, jakie syn rybaka rzucał w ich kierunku, zamiast martwić Petera, schlebiali mu wielce. Rok temu byłoby inaczej: wtedy nikt nie odważyłby się rzucić wyzwania McLeanowi.

Jednakże jutrzejszej nocy terminal stanie się polem do popisu: odbędzie się tam prawdziwa walka o przywództwo. Oczywiście Caird był pewny, że ją wygra. Miał przecież psychologiczną przewagę nad nimi wszystkimi – był w końcu studentem, prawda? Ludzie zaakceptowali fakt, że studenci, z zasady, mieli kontrowersyjne opinie i podejmowali spontaniczne, czasami niezbyt przemyślane działania. Jeśli więc student „zdobył” szyld pubu i wywiesił go na drzwiach domu Armii Zbawienia albo zainstalował czajnik na czubku najwyższej wieży w mieście, kładziono to na karb wybujałej pomysłowości i energii życiowej. Jeśli pracujący młody człowiek – syn rybaka, taki jak McLean – zrobił dokładnie to samo, potępiano go natychmiast i traktowano jak kretyńskiego dowcipnisa.

Ale to był problem McLeana. W każdym razie za dwadzieścia cztery godziny okaże się raz na zawsze, czy McLean gotowy jest podjąć ryzyko, czy też było to czeze gadanie.

I jeszcze jedno: to był plan Petera Cairda. Dlatego też Caird zamierzał zrobić wszystko, aby to

właśnie jemu przypadło w udziale wykonanie najważniejszej części operacji. To on podpłył łódką do tankowca. Syn rybaka czy nie, McLean będzie musiał zadowolić się rolą na lądzie.

Nikt wtedy o tym nie myślał, ale – jak się potem okazało – źle się złożyło, że Shona potrafiła być na tyle ohydna, by okazać swój podziw dla rywala, który w opinii gotującego się ze złości McLeana był niczym więcej, jak tylko pretensjonalnym, zarozumiałym, zadzierającym nosa pieprzonym mądralą. Znaczyło to bowiem, że coś, co było jedynie dziecinnyim wybrykiem ze strony panny Simpson, będzie pierwszym, najokrutniejszym i niepotrzebnym punktem na drodze do nadchodzącej katastrofy.

Kiedy Fran zbliżyła się do grupy stojącej pod bramami „Panoco”, przekonała się, że, tak jak przewidział Duggan, pani McLeish ciągle tam była, organizując i ustawiając zebranych.

Wystarczyło chwilę posłuchać, by znaleźć potwierdzenie tego faktu.

Oczywiście policjant Lawson także był tam ciągle. Policjanci jednak mają tendencję do pozostawiania bezosobowymi figurami i nie interesują się zbyt prasą. No, chyba że atakują lub są atakowani *en masse*, dokonują jakiegoś bohaterskiego czynu albo, co lepsze, rozwiązują zagmatwane zagadki kryminalne.

Fran zauważyła bez specjalnego zainteresowania, że po prostu był tam jakiś policjant. Hamish trwał na posterunku ze stoickim spokojem. Ciągle chroniąc niez zaangażowanych (i tak dalej), ciągle wypełniając swój obowiązek wobec prawa i przemakając coraz bardziej. A wszystko bez najmniejszej szansy na ujrzenie swojego nazwiska w gazetach.

Nie tak szybko w każdym razie.

– Radna McLeish? – niezobowiązująco spytała Fran.

Kobieta odwróciła się od swojej nieco znudzonej publiczności, składającej się z żółtych oddziałów ćwiczebnych. Z zadowoleniem przyjęto ten manewr. Swoją obecnością tutaj rybacy mieli dać do zrozumienia władzom terminalu, że nie są zadowoleni. Nie przyszli tu wysłuchiwać, jak Jesse McLeish nawija o strategii niczym generał Eisenhower przed cholernym D-Day.

Padło krótkie i ostre:

– Tak?

– Nazywam się Herschell. Z *Obywatela Północy*.

– Ach tak? A dlaczego nie jesteś z *Daily Express*?

Fran zamrugnęła.

– Ja naprawdę nie...

– Albo chociaż z *Sunday Times* – pani McLeish dodała rozdrażniona. – O wiele więcej osób czyta *The Times* niż *Obywatela*.

– Wiele tematów trafia do prasy ogólnokrajowej za pośrednictwem lokalnych gazet. Może i tamci przyślą do pani reporterza... – Fran mówiła słabym głosem. – Szczególnie jeśli zechciałaby pani wyjaśnić swoje, to znaczy protestujących, stanowisko w tej kwestii.

Pani McLeish wyprostowała się i znajdujący się nad jej głową sztandar z napisem *Action Now* załopotał z oburzeniem. Miała wąsko zaciśnięte usta.

– Trudno to nazywać „kwestią”. To jest skandaliczne i nieodpowiedzialne nadużywanie władzy przez dominowany przez Anglików rząd.

O mój Boże – pomyślała Fran – do tego wszystkiego jest jeszcze szkocką nacjonalistką! Zaraz przedstawi argument, że ropa Morza Północnego należy do Szkocji.

– Tak jak nasza ropa z Północnego Morza, pani Hirsel – wtrąciła właśnie pani McLeish. – Jakakolwiek analiza danych geograficznych czy history...

– Proszę o zarzuty w stosunku do Rora Terminal, pani McLeish – powiedziała Fran bardziej stanowczo. – Jestem tu po to, by przyjrzeć się obu stronom medalu. Jeśli nie jest pani wygodnie rozmawiać teraz, to może zadzwoniłabym do pani jutro? A poza tym nazywam się Herschell.

– Niezła z ciebie dziewczyna – powiedziała pani McLeish, nieco zakłopotana. Odwróciła się i potrząsnęła sztandarem w stronę rybaków. – Niech któryś to weźmie. I uważajcie, aby był cały czas w widocznym miejscu. A ty, Jamie Kennerty, nie uciekaj do bazy, jak tylko się odwrócę.

Wszyscy zaczęli się śmiać z małego człowieka, który zacerwienił się z zażenowania. Radna McLeish natomiast wzięła Fran pod rękę i odciągnęła ją na bok. Już przestała wydawać się taka straszna.

– To ten młody chłopak, zastępca szefa, Duggan, jest twoim gospodarzem z ramienia kompanii naftowej?

Fran przytaknęła.

– Tak? To niech pani wysłucha najpierw jego oficjalnych argumentów, pani Herschell. A potem może przyszlaby pani na Fariskay na filiżankę herbaty. Powiedzmy, jutro po południu? Wtedy opowiem pani całą prawdę. Wszystko, o czym ludzie powinni wiedzieć.

W tym momencie Fran Herschell wyczuła, że była to poważna sprawa.

– To bardzo miło z pani strony, pani McLeish. Przyjdę z przyjemnością.

– Do tego czasu jednak – powiedziała radna McLeish – powinna pani wiedzieć o kilku ważnych sprawach...

I tak radnej McLeish zawdzięczać należy, że kiedy Duggan wrócił, by zabrać reporterkę Herschell, zorientował się, że idzie na kolację z wielce zamyśloną młodą damą.

W wielkim i z lekka zniszczonym apartamencie dowódcy na pokładzie *Calaurii* kapitan Bisaglia wyzwolił się z ociekającego wodą kombinezonu i stanął przed lustrem w łazience, przyglądając się swojemu odbiciu.

Zobaczył małego, krępego człowieka o śniadej cerze i niebieskich oczach. Zauważył z kwaśną miną, że jego siwe włosy, lekko rzednące na opalonych skroniach, wyglądały jak pozbawione połysku siano. Kiedyś, kiedy po raz pierwszy ujrzał Szkocję, były kruczoczarne. Takie błyszczące i mocne. Takie południowe.

Tak cholernie dawno temu.

Zaraz potem jak wyciągnęli go z pokrytego szczątkami statków morza przy przylądku Matapan, ówczesny *Guardia Marina* Bisaglia spędził cztery lata w niewoli w obozowym baraku na północ od Perth.

Nauczył się tam angielskiego, a także – co z początku wydawało się poniżające dla przyszłego oficera marynarki, lecz w końcu okazało się dziwnie satysfakcjonujące – jak należy orać, doić krowy czy nawet być położną przy narodzinach prosiaków. Na początku pracował wraz z towarzyszami niewoli pod lufami karabinów. Potem zaczęto im ufać. Właśnie wtedy Mussolini zaczął izolować się coraz bardziej od swojego narodu i pozwolił nazistom na oficjalną dominację nad krajem młodego Bisaglii. Włochy były już nie tyle partnerem układu, co okupowanym i godnym pogardy poddanym.

Ogólnie rzecz biorąc, zdobywcy byli dla Bisaglii całkiem mili. Uważali, że jest to pozbawiony zarozumiałości, chętny do współpracy młodziak, który wyraźnie znalazł się nie tam, gdzie powinien.

Nie nauczył się nienawidzić Brytyjczyków; nawet za to, co Cunningham zrobił ze wspaniałą ongiś włoską flotą. Z tym że Tommaso Bisaglia nigdy nie był faszystą z przekonania. Był tylko dzieckiem, które strasznie chciało pływać po morzach.

Teraz natomiast widział w lustrze twarz starego człowieka albo przynajmniej człowieka zbyt starego, by bezpiecznie i pewnie dowodzić takim statkiem, jak *Calauria*. Sprawiało mu coraz większą trudność nadążanie za nowinkami i postępem w dziedzinie specjalistycznego morskiego transportu: masywne zbiornikowce, które przewoziły więcej ładunku na samym pokładzie, niż mógł pomieścić jego pierwszy frachtowiec; dwukadłubowe przewoźniki ciekłego gazu; transportowce zwierząt; statki OBO, statki LASH, statki BACAT; VLCC – tak zwane supertankowce. Właśnie takie, jak podupadający gigant, który tak bardzo ciążył mu teraz na sumieniu.

Jeszcze gorsza była – i niech go święta Madonna broni przed ofertami dowodzenia czymś takim na zakończenie kariery – najnowsza generacja tankowców. Molochy unoszące pół miliona ton i więcej, ULCC* [* ULCC – Ultra Large Crude Carriers (*przyp. tłum.*)] – ekstremalnie wielkie przewoźniki ropy. Były to kompletnie zautomatyzowane statki, które każdego dnia przewoziły przez wody oceanów ogromny ładunek. Ropa z jednego takiego statku mogłaby zniszczyć pięćset mil wybrzeża, pokrywając je żrącym szlamem, sięgającym człowiekowi do kostek.

Błędem więc byłoby sądzić, że to rozmiary *Calaurii* były powodem zmartwienia kapitana. W końcu to tylko statek i Tommaso Bisaglia, jako naprawdę dobry marynarz, potrafił utrzymać go na powierzchni wody. Ocean był dla niego jak siostra, matka, brat. Był nawet jego spowiednikiem. Doświadczał niespotykanej radości przeżywania wraz z tym wodnym żywiołem jego najtkliwszych nastrojów. Przeżył też jego wybuchy wściekłości, akceptując je spokojnie jako pokutę – zapłatę, słusznie wymaganą przez łaskawego Boga za pozostawienie go przy życiu i obdarowanie przywilejem wykonywania zawodu przez cztery dalsze dziesięciolecia.

Nie: dostarczenie statku z punktu A do punktu B nie było problemem dla kapitana Bisaglii. Wciąż drzemało w nim nieśmiałe przekonanie, że pozostanie kompetentnym marynarzem tak długo, jak jego starzejące się ciało oraz Bóg na to pozwolą. Wierzył, że w czasie tych cennych lat, jakie mu pozostały, będzie dowodził statkami niezależnie od ich rozmiaru, zachowując margines bezpieczeństwa nie mniejszy od tego, który stworzyłby młodszy dowódca. A wszystko dzięki intuicji, mądrości i zdobytemu w czasie długich lat żeglugi doświadczeniu. Dlaczego więc był tak niespokojny, w rzeczywistości prawie przerażony?

Odpowiedź była jasna. Tommaso Bisaglia spojrział prawdzie w oczy. Kapitan, człowiek prosty i uczciwy, pogodził się z bolesnym faktem, że nie nadawał się już do tego, co robił. Zaakceptował prawdę, iż niezależnie od tego, czy miał licencję, czy też nie, nie miał już prawa przypisywać sobie sprawności w czymś, co stało się zawodem nie tylko nader ryzykownym, ale i wymagającym znajomości wysoce nowoczesnej technologii. Poleganie na sztuce żeglarskiej i wiedzy o oceanie przestało być wystarczające. Właściwie stwarzał poważne zagrożenie, trzymając się kurczowo stanowiska dowódcy statku tak wyszukanego i potencjalnie śmiertelnie niebezpiecznego, jak VLCC.

Kapitan Bisaglia uświadomił sobie ostatecznie, że jego umysł, tak bystry, gdy był młodszym oficerem pokładowym na frachtowcach włoskiej marynarki handlowej, a następnie dowódcą konwencjonalnych tankowców, nie był już w stanie radzić sobie z naporem technologii. Coraz częściej zmuszony był polegać na sądach młodszych i lepiej wykształconych członków załogi. Na przykład obecnego pierwszego oficera, Spediniego.

Dzięki Ci, Boże, że dałeś mi przynajmniej Spediniego – pomyślał kapitan, patrząc na swoje

odbicie w lustrze. – Dzięki Ci za tak niezawodnego pomocnika.

To żałosna pociecha dla człowieka, który kiedyś był królem wśród żeglarzy. A co gorsza, krył się w niej element mający dać początek tragedii. Była w tym wręcz ironia.

W tym samym bowiem czasie na głównym pokładzie *Calaurii* ów niezawodny pomocnik wciąż włóczył się za inspektorem „Panoco” Trelawneyem, mówiąc w myślach do siebie: Dzięki Ci, Boże, że pozwoliłeś mi służyć u kapitana Bisaglii... Dzięki za tak fachowego opiekuna, który poprawi moje błędy wynikające z braku doświadczenia.

Czyż bowiem Spedini nie był ogarnięty trwogą podobnie jak kapitan? W jego wypadku jednak powody do obaw były zupełnie inne.

I trudno się temu dziwić. Ich ziarno zasiane zostało parę miesięcy wcześniej. Stało się to, gdy agencja w Genui, po znalezieniu dowódcy gotowego zgodzić się na żałosne zarobki, zmuszona została do wyszukania pierwszego oficera, by wypełnić wszystkie warunki kontraktu podpisanego z niecierpliwym armatorem *Calaurii*. Okazało się wtedy, że niezależnie od recesji nie dysponowali żadnym oficerem doświadczonym w pracy na VLCC.

Dopóki, oczywiście, Mario Spedini – naiwny – nie wkroczył do ich jaskini w poszukiwaniu pracy.

Tak więc Spedini, uważany za bystrego młodego człowieka posiadającego wspaniałe referencje od poprzednich pracodawców, dostał ofertę pracy. Mimo szczerego wyznania, że pływał jedynie parę lat jako drugi oficer pod banderami europejskimi na bardzo pilnie nadzorowanych VLCC. Przedtem zaś służył głównie jako wachtowy na pokładach mniejszych, konwencjonalnych tankowców.

Nie trzeba zaznaczać, że Spedini skorzystał z tej wspaniałej okazji, by podwyższyć swój status. Był wszak nie tylko bystry, ale również bardzo podatny na pochlebstwa. Kierowała nim zrozumiała nadmierna pewność siebie. Poza tym każdemu ambitnemu młodemu człowiekowi trudno byłoby oprzeć się pokusie posiadania trzech kółek na epoletach. Nawet jeśli ich złoty blask przyćmiewała nieco świadomość, że zaproponowana pensja równa była zarobkom trzeciego oficera na pokładzie włoskiego statku.

Formalności okazały się mało skomplikowane. Liberyjską licencję, świadczącą o jego kompetencji, zdobyto w ten sam sposób, w jaki, według cyników, zdobywano wszelkie zaświadczenia dla ludzi pływających pod „banderą wygodnictwa”. Po prostu ją kupiono.

Teraz jednak, gdy jego druga podróż na *Calaurii* dobiegała końca, przykra rzeczywistość zaczęła zagłuszać początkową euforię. Pierwszy oficer Spedini zdał sobie nagle sprawę ze swojego braku doświadczenia. Stał twarzą w twarz z technicznymi problemami związanymi z rozładunkiem dwóch różnych rodzajów ropy, a ponieważ nie można było dopuścić do zanieczyszczenia jednego rodzaju drugim, były to w sumie dwie oddzielne operacje.

Co więcej – młody pierwszy oficer był w pełni świadomy faktu, iż kapitan Bisaglia, nie wspominając nawet o właścicielach statku, byłby wielce niezadowolony z powodu niepotrzebnych opóźnień. Każda stracona godzina w czasie postoju VLCC oznaczała mniejsze zyski i naganę dla oficera. Groźba ta była powodem wielu bezsennych nocy w czasie rejsu z Mina al-Ahmadi, podczas których Spedini nie mało się nagłowił, by opracować najefektywniejszy i wymagający jak najmniej czasu plan rozładunku.

A mimo to Spedini wciąż zachowywał pewność siebie i prawie arogancką wiarę w swoje

możliwości. Gdy wreszcie opracował cały program, był pewien, że zrobił to prawidłowo, chociaż nigdy przedtem niczego równie skomplikowanego nie robił. W każdym razie od momentu ukończenia szkoły morskiej. Ale wtedy była to tylko teoria. Dręczący go niepokój brał się stąd, że w tej szczególnej sytuacji nie było możliwości wypróbowania jego planu.

Komputer – pomocnik, na którym polegają prawie wszyscy oficerowie dzisiejszych supertankowców (a już na pewno ci mniej doświadczeni jak Mario Spedini), przestał się liczyć. Zaprogramowana magiczna moc elektroniki zawiodła... I nikt na pokładzie, z elektrykiem włącznie, nie był w stanie mu jej przywrócić.

Na statku

Gdyby unieść te parę tysięcy ton, na które składał się pokład główny wraz ze wszystkim, co się na nim znajdowało, i spojrzeć z lotu ptaka na to, co zostało, odnieśliśmy wrażenie, iż patrzymy na coś przypominającego prostokątny pojemnik do jajek. Przyznać trzeba: ogromny, prostokątny pojemnik do jajek.

Przedziały z ładunkiem tego unoszącego się na wodzie prawie pudełka stworzono za pomocą dziewięciu stalowych zapór biegnących w poprzek kadłuba. Roposzczelne, poprzeczne przegrody, jak nazywali je ludzie pracujący na tankowcu. Stworzona w ten sposób trójkątna przestrzeń w miejscu dzioba zwana była przednim czubkiem. Następny podział – od dzioba do rufy – tworzył połowy, które z powodów zrozumiałych dla marynarzy i budowniczych statków znane były jako lewo – i prawoburtowe zbiorniki. Kolejne sześć poprzecznych przedziałów nazywano po prostu zbiornikami: zbiornik numer jeden, numer dwa, trzy... i tak dalej. Każdy z tych sześciu właściwych zbiorników był następnie dalej podzielony podłużnymi przegrodami na trzy części. Rząd środkowy stworzonych w ten sposób podzbiorników był zwany... zbiornikami środkowymi. Środek numer dwa, numer trzy i tak dalej. Natomiast zbiorniki boczne nazywano „skrzydłowymi” – piąty prawoburtowy skrzydłowy, szósty lewoburtowy skrzydłowy i tym podobnie.

Dziewiąta pieczara – zajmująca większość końcówki *Calaurii* – rozciągała się od burty do burty i była przedziałem największym ze wszystkich. Załoga określała ją jako „maszynownię”. Księgowi zaś nazywali ją „cholernym marnowaniem powierzchni”. No, ale byli to ci sami księgowi, którzy gotowi są skazać statek na śmierć, skoro tylko podatki za niego płacone zaczynają niebezpiecznie wzrastać. Zupełnie jakby nie miał serca i niepowtarzalnej osobowości. A przecież każdy statek ją posiada. Księgowym nie udało się jeszcze wymyślić, jak wypełnić maszynownię VLCC przynoszącym dochody ładunkiem ropy przy jednoczesnym wykorzystaniu jej jako siły napędowej, pchającej statek z miejsca załadunku do płacącego gotówkę portu. Można przypuszczać, że pracują nad tym. Jak również nad projektami specjalnych kombinezonów, które umożliwiłyby mechanikom obsługę silników zatopionych w ropie.

Na końcu rufy znajdował się jeszcze jeden mały zbiornik. Znaczyło to, że *Calauria* składała się w sumie z dwudziestu czterech oddzielnych stalowych pudełek, które mogły, przynajmniej teoretycznie, przewozić ropę naftową.

W wypadku *Calaurii*, podobnie jak wszystkich innych VLCC, należy jednak wyraźnie rozdzielić teorię od praktyki.

Każdy duży statek musi zachować minimalne obciążenie, aby nie wywrócić się na bok – tak jak to się dzieje z korkiem unoszącym się na powierzchni, gdy nie dołączymy

dodatkowego ciężaru do jego podstawy. Musi mieć odpowiednią ilość balastu (w tym wypadku morskiej wody), kiedy zbiorniki na ropę są puste. Nawet przy najłagodniejszej pogodzie. Jeśli jednak, tak jak to się dzieje w supertankowcu, zbiorniki przeznaczone do transportu ropy są jedynymi pojemnikami, które można zapełnić tym niedochodowym, ale niezwykle istotnym balastem, to system pomp przystosowany do przetaczania ropy musi zostać wykorzystany, przynajmniej przez część postoju statku, do załadunku i rozładunku bezwartościowej morskiej wody.

Pierwszy oficer Mario Spedini bardzo się denerwował, świadom, iż czas na zajmowanie się bezpieczeństwem jest nieodżałowaną stratą dla niektórych właścicieli, którzy (jak wyżej wspomniani księgowi) nie musieli pływać statkami.

Przedziały przeznaczone na balast zarezerwowane są jako przestrzenie nie nadające się na przewóz ładunku handlowego. Pierwszy oficer powinien się nimi posługiwać w taki sposób, który umożliwi ciągły rozładunek ropy bez naruszenia równowagi statku.

W przypadku VLCC *Calauria* skrzydłowe zbiorniki prawo – i lewoburtowe oznaczone numerem czwartym – usytuowane mniej więcej w połowie statku, po obu jego stronach – podzielone były poprzecznie na dwie części. Ta znajdująca się w tyle przeznaczona była, tak jak reszta zbiorników, do przewozu ropy. W przedniej zaś nigdy nie przewożono żadnego ładunku.

Zbiorniki znajdujące się tam nazywano stałymi zbiornikami balastu, w skrócie PBT.* [* PBT – Permanent' Ballast Tanks (*przyp. tłum.*).] W połączeniu z przestrzeniami na przemie i w tyle statku ten liberyjski goliat mógł utrzymać jakieś osiemnaście tysięcy ton balastu bez narażania na szwank wydajności zbiorników z ropą.

PBT miały się okazać szczególnie znaczące w przypadku *Calaurii*.

Puste, kiedy statek wpłynął do portu dostatecznie obciążony arabskim ładunkiem, zawierały jednakże coś, co w razie popełnienia błędu skazałoby statek na pewną zagładę.

Rozdział IV

Piątek: późny wieczór

Po przejściu stanowiska ekspedytora po Billu Thomsonie, pracującym na dzienną zmianę, Reg Blair zasiadł przy konsoli kontrolnej i zagłębił się w treść dziennika.

Dowiedział się, że VLCC przygotowywany właśnie do rozładunku to *Calauria*; że przycumowała do sztucznej wyspy w zatoce dokładnie o osiemnastej pięćdziesiąt sześć. Inspektorem pełniącym służbę był Mike Trelawney, który po przekazaniu raportu udał się na pokład statku. Holowniki powróciły do portu Neackie, odprawione przez pilota McDonalda o dziewiętnastej sześć. Holownik *William Wallace*, który miał kłopoty z liną dziobową tankowca, potwierdził później, że zakotwiczył i ustawiony jest przodem do morza – tak, jak wymaga tego regulamin „Panoco”. Nie rozpoczęły się jeszcze żadne operacje rozładunkowe.

Kolejnego przyływu w zatoce spodziewano się o godzinie pierwszej czternaście w nocy. Prognoza pogody na następne dwanaście godzin przewidywała duże zachmurzenie, cztery do sześciu stopni ciepła, opady ograniczające widoczność do piętnastu kilometrów oraz północno-zachodni wiatr. Obniżające się i tak już niskie ciśnienie sugerowało, że warunki się nie poprawią. Co najwyżej mogą się pogorszyć.

Blair wpisał do dziennika godzinę rozpoczęcia służby, skontaktował się przez radio z szyprem McFadyenem na pokładzie holownika *Wallace*, by upewnić się, że tamten otrzymał komunikat o pogodzie, po czym usiadł wygodnie i zaczął gapić się w okno. Było całkowicie zapryskane deszczem. Zupełnie jak okna w domu.

Widok ten sprawił, iż zaczął myśleć o Elli i jej rosnącym niezadowoleniu. Nie rozwodziła się nad tym zbyt, przeważnie skrywała to w sobie, jednakże krótkie spięcie dzisiejszego wieczoru wystarczyło, aby przypomnieć Blairowi, że jego żona nie przyzwyczała się jeszcze do życia w Vaila. Urodzona w Londynie, nigdy nie zamierzała zamienić się w wiejską dziewczynę. Jej niezadowolenie mogło się z czasem pogłębić.

Jeśli tego czasu zostało im dużo. Bo gdy „Panoco” odkryje, co zrobił, problemem dręczącym Ellę i jego nie będą już nocne zmiany, lecz bezrobocie...

Downie, jeden z dwóch dyżurujących strażników, wszedł do pokoju i zaczął grzebać w szufladach.

– Widziałeś gdzieś nowe baterie do latarki, Reg?

– W tamtej szafce. Chyba na górze z prawej strony.

– Cholerna pogoda – mamrotał Downie, przetrząsając wnętrze szafki. Deszcz ściekał z jego kurtki na obleczone w żółty kombinezon nogi.

– Kto jest z tobą na zmianie? – zapytał Blair. Tylko po to, by podtrzymać rozmowę. Mógł to

przecież sprawdzić w dzienniku.

– Auld Phimister jest przy bramie. Duggan dał mi nowego człowieka, McLeoda. Wydaje się wystarczająco radosny.

– Będzie musiał być radosny, skoro ma spacerować po porcie w dzisiejszą noc.

Strażnik znalazł baterie i zaczął instalować je w swojej latarce. Była to jedna ze specjalnych, nie iskrzących się latarok przeznaczonych do użytku na sztucznej wyspie.

– Szkoda tych biednych rybaków pikietujących przy bramie – powiedział. – W końcu nie muszą tego robić. To i tak strata czasu.

Blair spojrział na niego.

– Dlaczego?

– Dlaczego: co?

– Dlaczego to strata czasu?

Downie zmarszczył brwi.

– A bo ja wiem?... OK, no kto będzie ich teraz wysłuchiwał? Po ilu to już? Po siedmiu latach działalności.

– Na początek mogłaby to zrobić kompania.

Strażnik skrzywił się.

– To by było cholernie w porządku. – Podeszedł do Rega i przyjrzał się tablicy rozdzielczej. Kropla deszczu spadła z czubka jego nosa i rozbiła się na małe błyszczące gwiazdki na dzienniku Rega.

– Co tam się teraz dzieje?

– Niewiele. Kontrola Trelawneya ciągle w toku.

Downie wyjrzał przez okno. Oświetlony VLCC wydawał się wypełniać sobą cały krajobraz, chociaż w rzeczywistości był oddalony o ćwierć mili.

– Wygląda, że wszystko w porządku.

Reg Blair zaczął ostrzyć ołówek, już znudzony.

– Prawdopodobnie mówili to samo o *Titanicu*.

Downie wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Widziałeś kiedyś ten rysunek? Tłum płaczących krewnych tłoczy się dookoła tablicy informacyjnej na zewnątrz biura towarzystwa linii oceanicznych „Biała Gwiazda”. Ulotka głosi: Katastrofa – najświeższe wiadomości. Przez tłum przedziera się zdenerwowany niedźwiedź polarny i wrzeszczy: „Pieprzyć statek! A co z moją górą lodową?”

Nocny ekspedytor „Panoco” zaśmiał się automatycznie, starając się wytrzeć chusteczką mokrą plamę na dzienniku. Downie natomiast wyszedł, by rozpocząć swój obchód.

Dokładny zapis dokonany przez poprzednika Rega o osiemnastej pięćdziesiąt sześć zaczął rozmazywać się mokrą plamą. Tekst zanikał stopniowo, rozlewając się w kółka o kolorze tuszu.

Szczególnie jedno słowo. Człowiek obdarzony większą wyobraźnią, mniej zajęty myślami o zbliżającym się kryzysie rodzinnym, mógłby z łatwością wyobrazić sobie, jak litery imienia *Calauria* wybuchają powoli, formując małe czarne oleiste fale.

To nie kropla deszczu spowodowała w ten piątkowy wieczór przed kolacją zamęt na pokładzie holownika *William Wallace*. Eck Dawson, który przetoczył się przez kuchnię około dwudziestej pierwszej, strząsnął ze swojego kombinezonu resztki morskiej wody prosto na patelnię radośnie

smażących się kielbasek.

Wokół patelni eksplodowały z głośnym trzaskiem mięsne pociski w takt kołysania się holownika. Ciągłe wybuchające gorące krople oleju, iskrzące się, dymiące i skwierczące tworzyły pole walki dla Wulliego Gibba, który wykazał niesamowitą odwagę przedzierając się przez kłęby pary, aby rzucić pokrywką w kierunku patelni.

– Ty głupi gnojku! – zaryczał Wullie, co trudno nazwać właściwym sposobem zwracania się do pierwszego oficera statku, na którym się pracuje. Było to jednak w porządku, jeśli tym oficerem był Eck Dawson. Chłopcy z Neackie uzgodnili wspólnie, że ten Wielki Idiota jest głupim gnojkiem. Poza tym oficer zalecał się do siostry Gibba od mniej więcej dziewięciu miesięcy i bardzo liczył na wsparcie Wulliego na froncie domowym.

– Jesteśmy zakotwiczeni – obojętnie stwierdził Eck, walcząc z zapięciami przy szyi. – Masz jakąś herbatę, Wullie?

– Jestem wykwalifikowanym pokładowym, nie szefem „cordon bleu” na zawołanie! – warknął rozdrażniony Wullie. Jego głos zamienił się w jęśliwe skamlanie. – Masz herbatkę, Wullie? Masz jakiś dżem, Wullie? Co dzisiaj na obiad, Wullie? Najwyższy czas, żebyście zdali sobie sprawę, że na pokładzie tych suszarek, które nazywają holownikami, nie ma żadnego pieprzonego kucharza...

Oficer ostrożnie podniósł pokrywkę z patelni, która natychmiast opluła go ze zdwojoną energią. Kielbaski leżały zatopione w tłuszczu: czarne, chrupiące i niejadalne.

– To jest pewne – potwierdził z głębokim przekonaniem. – Może masz jakąś gorącą zupę, Wullie?

Rozłoszczony Gibby wepchnął obie zaciśnięte pięści w usta, wrzasnął i zaczął tupać – wszystko w tym samym czasie.

Mechanik Burns, wyglądający jakby przed chwilą wystrzelił z szybu naftowego, wcisnął się do kuchni i powiedział posępnym głosem:

– Masz jakiś chleb na...

– Nie rób tego, Tam – poradził oficer holownika *William Wallace*. – Nie prosz go o nic w tej chwili. Chyba że chcesz chrupiącą, smażoną głowę.

– Wygląda mi to na nadciśnienie – postawił diagnozę Burns, nawiązując do swojego ulubionego tematu. – Jezu, przez moje nadciśnienie mam te wszystkie wrzody na żołądku.

Holownik zakołysał się potężnie pod wpływem fali większej od pozostałych i otarł się całym swoim ciężarem o linę kotwicy. Tłuszcz wyprysnął z patelni, zaskwierczał na gorącej płycie i zastygł w postaci czarnej, błyszczącej grudki.

– Kolacja gotowa – zaanonsował Wullie, któremu wyraźnie wrócił dobry humor.

– Płonące kielbaski z ziemniakami – powiedział sardonicznie oficer. Następna fala uderzyła w holownik, przez co aluminiowy garnek pełen ugotowanych ziemniaków podskoczył i z wdziękiem wylądował na pokładzie. Wullie Gibb klęknął i używając dłoni zaczął perswadować rozpadającym się białym kulom, by raczyły wejść z powrotem do garnka.

– Poprawka... z tłuczonymi ziemniakami.

– Wydawało się, że jakiś doświadczony marynarz powiedział przed chwilą, że jesteśmy bezpiecznie zakotwiczeni? – zadrwił Wullie.

– Nie wrócimy do Neackie, chyba że pogoda się pogorszy – zawyrokował z namaszczeniem mechanik Burns. – Będziemy tu tkwić, niszcząc nasze ciała przez całą noc, poddając je szaleństwu grawitacji nie znanym jeszcze żadnej ludzkiej istocie.

– Mieści się to wam w głowach? Budować terminal naftowy na nie osłoniętym końcu trzymilowego powietrznego tunelu? – zauważył Eck Dawson.

– Pomogliście pozierać ten obiad z podłogi – wtrącił nie zainteresowany tematem Wullie.

W sumie nie było nic niezwykłego w uwadze oficera. Nie dziwił go brak umiejętności przewidywania, jakim wykazali się projektanci. Wszyscy tutejsi – wszyscy rybacy, wszyscy chłopcy zatrudnieni w porcie Neackie powtarzali to samo od lat. Nie mogli nadziwić się, że eksperci byli w stanie wydać bilion dolarów na urządzenie w Vaila kompleksu dla VLCC, a nie umieli przewidzieć, że podczas notorycznych zimowych zawiei towarzyszący tankowcom statek może nie być w stanie zakotwiczyć po nawietrznej stronie przystani. Niezależnie od wymogów stawianych w przepisach. Nie zauważyli, że z powodu ukształtowania dna i efektu przewodu wentylacyjnego stworzonego przez otaczające góry, jedynym bezpiecznym miejscem dla statku tak małego jak holownik byłaby strona zawietrzna falochronu Neackie. Ponad dwie morskie mile od miejsca, w którym właśnie się znajdowali.

Jednakże prognoza pogody przekazana przez ekspedytora Blaira przewidywała jedynie północno-zachodnie wiatry. Wystarczająco silne, by zrujnować kolację i dostarczyć mechanikowi Burnsowi masochistycznej satysfakcji. Ale nie dość silne, by zmusić holownik do wycofania się i pozabawienia *Calaurii* ochrony przeciwpożarowej.

W każdym razie nie o dwudziestą drugą piętnaście w ten piątkowy wieczór.

Peter Caird rozczarował się kościelną dyskoteką dużo wcześniej.

Miał pewne powody. Cały wieczór diabli wzięli z powodu uwag typu: „cholerni, utrzymywani przez państwo studenci” lub „importowane supermózgi” – wygłaszanych przez Johna McLeana, który siedział z kwaśną miną i ani razu nie zatańczył. Nawet Shona nie była w stanie go udobruchać. W żaden sposób. No, nie próbowała zbyt usilnie, powiedzmy sobie. Caird, potworny egocentryk (by nie powiedzieć więcej), odniósł wrażenie, że Shona rzeczywiście ma na niego ochotę. Choć drażniły go różne braki w życiu towarzyskim Vaila, to akurat to wyraźnie mu się podobało.

Nie przyszło mu do głowy, że jest, być może, wykorzystywany. Że kobieca intuicja Shony podpowiedziała jej, iż najlepszym sposobem na zachowanie uczucia McLeana było zniszczenie jego zadowolenia z siebie. Wzniecić niepokój i zdobywać; przeciwstawić sobie dwóch konkurentów i użyć ich zazdrości jako sprzymierzeńca.

Peter wreszcie wstał i oświadczył znudzony:

– Och, to dla dzieciaków, nie dla myślących dorosłych.

Wtedy Shona zerwała się razem z nim.

– Idziesz prosto do domu?

– Chyba trochę pospaceruję.

Wzięła go pod ramię, celowo ignorując Johna McLeana.

– Kup mi trochę frytek i przejdę się z tobą... To towarzystwo jest dla mnie trochę za dziecinne.

McLean wrzasnął:

– Święty Jezu Chryste! – Potem odskoczył od stołu, za nim zaś Janey Menzies, która aż do tej chwili nie była w stanie zdecydować, po czyjej jest stronie.

Alec Bell, siedząc samotnie i tuląc puszkę coca-coli, mrugnął niepewnie: trochę z ulgą, trochę z rozczarowaniem malującym się we wzroku ukrytym za grubymi jak dno butelki szklami.

– Domyślam się, że wszystko odwołujemy?

– Co odwołujemy?

– Jutrzejszą noc. Jest potwornie wściekły.

Caird zawahał się, mając przed sobą wspaniałą możliwość wycofania się z honorem. Może rzeczywiście dał się zbyt ponieść własnej pyszałkowatości, kiedy po raz pierwszy przedstawiał im swój pomysł. Nie mówiąc o tym, że później, podczas planowania całego przedsięwzięcia, zapędził się nawet dalej, walcząc o przywództwo. Niewątpliwie po tym, jak Vaila obudzi się w szarym świetle niedzielnego poranka i spojrzy w kierunku terminalu, czekało go piekło, niezależnie od tego, czy jest studentem, czy nie...

– Albo szuka jakiejś wymówki, żeby się z tego wycofać – rzuciła kwaśno Shona zirytowana tym, że John McLean nie starał się zbyt zdobyć na nowo jej względów.

Moment, jaki wybrała na wygłoszenie tego zdania, był idealny.

Po pierwsze, udało się jej zagłuszyć wszelkie wątpliwości, które mogły nachodzić Petera w związku z całą sprawą. Po drugie, ten nieopierzony młody człowiek zdał sobie sprawę z bliskości dziewczyny, nieoczekiwanie przyklejonej do jego ramienia. Jej obfite piersi podziałały stymulująco na jego ambicję i poczuł, że nadszedł czas, by urzeczywistnić swoje fantazje – doświadczyć zmysłowych rozkoszy z Shoną Simpson!

Wzruszył ramionami z dezaprobatą, wiedząc, że Alec zajmie się Johnem, gdy tylko wyjdą, i przypomni mu o niezadowoleniu Shony. Widoczny niepokój McLeana, postawionego w obliczu wyzwania, miał mu przynieść szczególną satysfakcję.

– No tak... prawdopodobnie jest zbyt wystraszony, by zrobić cokolwiek. Tak już jest z tymi, co za dużo mówią. Tylko paru z nas ma nerwy, by trwać przy swoich postanowieniach.

Alec zniknął gdzieś w poszukiwaniu Johna. Peter Caird i Shona zabrali swoje płaszcze od deszczu i wyszli na ulicę cichego, pogrążonego w ciemnościach Vaila. Było zimno i mokro. Deszcz zamieniał się powoli w deszcz ze śniegiem, padając bezustannie z ołowianocznego nieba.

Po zakupieniu frytek w „Golden Fry” ruszyli powoli główną ulicą, mijając starannie zasłonięte okna, zza których wydobywały się przyćmione światła. Aż oczom ich ukazał się terminal.

Latarnie przy bramie rzucały kręgi pomarańczowego światła na czterech rybaków, którzy musieli chwilowo zapomnieć o przyjemnościach baru „Stag” i wzmocnić protestującą grupę radnej McLeish. Brama była szczelnie zamknięta; widać było jednego strażnika. Policjant Hamish Lawson oddalił się, aby zażyć gorącej kąpieli i wysuszyć kompletnie przemoczone buty. Jakiś starszy policjant, którego ani Pater, ani Shona nie mogli rozpoznać, przechadzał się spokojnie środkiem drogi.

– Prawdopodobnie jest z Oban – skrzywił się Peter. – Przysyłają rezerwy, aby zapobiec totalnemu rozkładowi prawa i porządku w Vaila.

Shona miała wątpliwości co do totalnego rozkładu.

– Przecież jest ich tylko czterech. Mały Kennerty i reszta.

Otworzył usta, szykując się do wygłoszenia własnego zdania na ten temat, po czym przypomniał sobie, co myślał o piersiach Shony, i roześmiał się pobłaźliwie. Peter pogodził się z faktem, że są, być może, podstawy do nadziei na połączenie ich ciał. Jednakże jakiegokolwiek spotkanie umysłów nie wchodziło w rachubę.

– No, chodź już – powiedział przybierając szelmowski wyraz twarzy. Chciał ją ośmielić.

Zachichotała, kiedy skręcił w prawo, kierując się w stronę punktu zwanego Sróine Rora. Kiedyś, zanim nafciarze przybyli do Quarsdale, był to dziki, uroczy zakątek. Teraz jego duża część była zamknięta i w większości zawalona stałą. Student poruszał się szybko, z chłopcą bezmyślnością,

dziewczyna zaś podskakiwała w tyle, wykrzywiając sobie nogi z powodu bardzo wysokich obcasów. Starła się iść wzdłuż połączonego łańcuchami ogrodzenia, wyznaczającego rzadko uczęszczaną ścieżkę, która nagle przestała istnieć, zamieniając się w mokry trawnik. Wciąż jeszcze było to dyskretne miejsce, istniejące za pobłażliwym przyzwoleniem władz miejskich. Odwiedzane w lecie przez młodych ludzi płci obojga, zimą natomiast przez króliki i parę innych stworzeń. Oczywiście, było tam oświetlenie ciągnące się aż do samego wybrzeża zatoki, jednakże reflektory skierowane były na skład „Panoco” i oślepiały każdego znajdującego się tam człowieka, który chciałby wyrzeć poza ogrodzenie.

Może sprawiła to atmosfera stalagu stworzona przez wysokie ogrodzenie z drutu lub też surowe oświetlenie przemysłowej potęgi, kontrastujące z mroczną scenerią dookoła. W każdym razie Caird poczuł się bardzo podekscytowany jutrzejszymi planami. Urzekło go nie tyle ciało Shony Simpson, co jawiące się mu celuloidowe obrazy członków SAS w akcji. Ludzi o wysportowanych sylwetkach – wyglądających zadziwiająco podobnie do niego – przemykających, jak żądne zemsty cienie, wskroś nieprzyjemnej nocy.

Przeszli koło ogrodzenia otaczającego sieć rur, zawory i olbrzymie pojemniki na ropę. Każdy z nich błyszczał szarością, na której tle malowały się żółte litery nazwy „Panoco”. Świeciły w ciemności, okazując swoje aroganckie lekceważenie dla środowiska, które nie zmieniło się prawie od stu tysięcy lat. Dotarli wreszcie do miejsca, gdzie otwierał się widok na zatokę Quarsdale. W ciemności wydawała się niewielka i znikła po trzech milach w kierunku oceanu. Widoczne były jedynie czarne sylwetki gór otaczających z obu stron jej ujście. Była to ostatnia romantyczna panorama, jaką udawało się dostrzec potajemnym kochankom z Vaila na chwilę przedtem, zanim bicie ich serc dochodziło do zenitu, a długie trawy zamykały się nad nimi, kołysząc rytmicznie.

Gdy przemoczona i lekko umorusana Shona dogoniła Petera, zauważyła, dysząc ciężko, iż cała jego uwaga skupiona była na czymś znajdującym się zupełnie blisko.

Światła małego statku – holownika lub czegoś w tym rodzaju – zataczały ekscentryczne kółka na zatoce, wyznaczając drogę, po której to coś poruszało się niepewnie w kierunku morza. Trochę bliżej, wciąż jednak dość daleko od ich wietrznego obserwatorium na plaży, spoczywał gigantyczny tankowiec, przycumowany do konstrukcji z pali, tworzącej sztuczną wyspę. Masa żółtego światła zdawała się wisieć w przestrzeni. W rzeczywistości zaś reflektory zawieszane były wysoko na maszcie tankowca. Po dokładniejszym przyjrzeniu się można było dostrzec ciemny kadłub, wciąż zanurzony głęboko w wodzie, gdzieniegdzie tylko oświetlony bladym płomieniem lamp.

Pomiędzy tankowcem a terminalem odbijające się w falach zielone i białe światła nawigacyjne znaczyły trasę łodzi przewożącej personel „Panoco” z wyspy do stacji zbiorników na lądzie.

Peter Caird widział, jak światła te unosiły się, obracały, wirowały wściekle pod naporem morskich fal. Pomyślał o jutrzejszym dniu i przez moment zaczął żałować swej butności, pewności siebie i uporu, by wykonać ten niebezpieczny plan.

Jednakże Caird, jak wielu młodych ludzi z Vaila, spędził mnóstwo czasu żeglując w najdalsze zakątki zatoki Quarsdale. Odrzucił więc prędko wątpliwości i na nowo przybrał wyraz pewności siebie i odwagi.

Dziewczyna szturchnęła go w żebra, przypominając o swojej obecności.

– No i co teraz? Bo ja już jestem cholernie przemoczona – rzuciła oskarżająco.

Odwrócił wzrok od tankowca. Nawet w ciemności wyczuwała jego nerwowość, jego rosnące podniecenie.

– Boże, jestem teraz gotowy na wszystko, Shona – wyszeptał Peter i wziął ją za rękę. – Proszę... ta stara chałupa jest jeszcze kawałek dalej.

Shona wiedziała, że kiedy uda się jej wreszcie dotrzeć do domu, to matka ją zabije za to, co zrobiła ze sobą i swoimi najlepszymi ciuchami. Ale pogodziła się z tym faktem i pozwoliła ciągnąć się po plaży, potykając się o fałdy piachu i stąpając ostrożnie pomiędzy kamieniami na wysokich obcasach. McLean będzie podejrzewał najgorsze, niezależnie od tego, co mu powie. A jeśli nie będzie, to powinna dać mu do zrozumienia, iż powinien. Tak podpowiadała jej intuicja. Peter Caird wyraźnie przygotowywał coś szalonego. Niezależnie od tego, że był synem doktora (przez co posiadał jakiś lam status w społeczeństwie), był całkiem atrakcyjnym chłopcem także z fizycznego punktu widzenia.

W każdym razie, oprócz skłonności do różnorodnych występków, Shona Simpson była zawsze stanowcza. Wierzyła, że jeśli ma ją spotkać kara, to powinna przynajmniej na nią zasłużyć.

Ostatni ze starych rybaków Vaila zastawiających sieci na łososie opuścił chatę jakieś pół wieku przed przybyciem nafciarzy do Quarsdale. Teraz zostało z niej tylko pół dachu i trzy czwarte podłogi, ale wciąż oferowała wygodne miejsce parom szukającym kryjówki.

Dziewczyna czuła podniecenie Petera i jej samej serce zaczęło bić szybciej, kiedy układała siano zgromadzone w rogu chaty. Przysunęła się bliżej i opierając ręce na jego ramionach zanurzyła palce w jego gęstych, czarnych włosach. Chciała się upewnić, że rozumie jej intencje.

Peter zamruczał z zadowoleniem, po czym wstał z latarką w ręce. Jedną z tych, które ukrył w sianie poprzedniego dnia razem ze wszystkimi innymi rzeczami. W żółtym kręgu światła ukazały się nożyce do cięcia metalu, kartony pełne pojemników z białą i czerwoną farbą, czarna pasta do butów, którą mieli pomalować sobie twarze, oraz skręcony w tubę plan terminalu.

– Powiedziałem ci, że jestem gotowy na wszystko! – z dumą konspiratora oznajmił Caird.

Nie mógł pojąć, dlaczego Shona nazwała go „zasranym półgłówkiem”, zanim wybiegła z chaty, zostawiając go w stanie osłupienia.

I nie pojął. Aż do momentu, kiedy przyszło mu umrzeć.

Fran Herschell czekała pod bramą terminalu, chociaż minęła już godzina, o której Duggan miał zakończyć swoją wizytę na *Calaurii*. Nie przeszkadzało jej to jednak. Miała okazję, by przejść się kawałek główną ulicą i pomyśleć. Czuła na twarzy ostry górski wiatr. Vaila, ze swoimi granitowymi domami usytuowanymi od wieków u podnóża gór, z ciszą przerywaną jedynie odległymi dźwiękami muzyki dochodzącej gdzieś z okolic kościoła, wydawała się wciąż obojętna na zmieniający się obraz świata.

Ale to nie była prawda. Już nie teraz. Dwudziesty wiek odkrył Quarsdale i postanowił to wykorzystać. Najpierw przysłano techników i projektantów, potem załogi budowlane i wreszcie gigantyczne statki z ich trującym ładunkiem. Fran poczuła smutek, ponieważ wiedziała, że tak już zostanie na zawsze, niezależnie od tego, jak głośnie będą protesty ludzi. Przemysł dyktował warunki. Ropa była życiodajnym płynem dla tego przemysłu. Dlatego też terminal Rora reprezentował poważną inwestycję w Wielkiej Brytanii: wszczepiony w strukturę władzy, niezbędny dla jej istnienia organ.

Radna McLeish i paru rybaków nie mogli mieć nadziei na wygraną z takim przeciwnikiem. Nie mogli mieć większej nadziei niż króliki, górskie jelenie czy morskie ptaki, których setki już poświęcono. Jediną rzeczą, jaką można było osiągnąć poprzez ten protest, było zapewnienie, że

nieustannie będzie się poprawiać wszelkie zabezpieczenia, że jak najskuteczniej będzie się chronić mieszkających tu ludzi przed niebezpieczeństwem, że pozwoli się rybom i wszystkim stworzeniom żyjącym w morzu przetrwać tę chemiczną epokę w ilościach umożliwiających odradzenie się następnym pokoleniom. Wszak to dzikie i piękne dziedzictwo starsze jest niż ropa naftowa.

Fran Herschell mogła przynajmniej pomóc tej akcji. Jeśli udałoby się jej potwierdzić, iż to, co podejrzewała, dzieje się – a raczej nie dzieje się poza wysokim ogrodzeniem kompleksu „Panoco” – to może mogłaby przekonać prasę brytyjską do kampanii na tyle głośniejszej, by zmusić rząd do podjęcia działań.

To było dziwne, jak – począwszy od tej chwili – obawa, a nie nadzieja kierowała jej konkretnym zwykle umysłem. Dręczyła ją rosnąca troska o tych ludzi spokojnie żyjących w Vaila. I odczuwała to długo jeszcze po tym, jak skruszony i nieco mokry Duggan zabrał ją z powrotem do przytulnego hotelu pani McAllister.

Nawet podczas tej sympatycznej kolacji, składającej się z zimnej dziczyzny i świeżego łososia (smakującego nawet lepiej, gdy wiedziało się, że złowiono go nielegalnie w jakiejś górskiej rzece), jej niepokój wciąż wzrastał. Słuchała mimochodem, jak Duggan objaśniał stosunki panujące w „Panoco”. Utrzymywał, że wielkie międzynarodowe korporacje mają na względzie jedynie dobro lokalnej ludności, że środowisko naturalne Szkocji znaczy ogromnie dużo dla szefostwa żyjącego w Dallas i że dochody są nieważne w porównaniu z absolutnym bezpieczeństwem operacji.

Docierały do niej nieporadne komplementy Duggana: jak cudownie było spotkać kogoś takiego jak Fran na przystanku w Vaila; jakie to wspaniałe odkrycie, że reporter może wyglądać tak jak ona. A te aluzje, zresztą bardzo nieśmiałe (trzeba to przyznać Dugganowi), jak samotnie czuje się mężczyzna pozbawiony... no, wyrafinowanego życia, tkwiący tutaj w centrum szkockiego folkloru. Och, a może miałyby ochotę na jeszcze jednego drinka, zanim... no, pójdzie do swojego pokoju?

Fran odpierała to wszystko z właściwą sobie gracją. Pytania na temat rzeczywistego stanu bezpieczeństwa Rory zostawi sobie na jutro, jak już uporządkuje zebrane wiadomości i sprawdzi inne źródła najdokładniej jak potrafi. Trochę krępujące próby odformalizowania ich znajomości też zostawiła sobie na potem...

Sypiała z innymi mężczyznami, zanim poznała Johna Herschella. Były to epizody z czasów, kiedy nie była jeszcze zakochana. Szybko pojęła, że nie miały wielkiego znaczenia. Ale Fran pamiętała, że podobały się jej wtedy tamte przygody i pokusa przeżycia czegoś podobnego była bardzo silna. Zaakceptowała więc niechętnie swoją podatność na pochlebstwa Duggana, zaintrygowana jego chłopięcym entuzjazmem, jego niemalże naiwnym pragnieniem sprawiania jej przyjemności. Podejrzewała, że te właśnie cechy znajdą swoje odzwierciedlenie w jego podejściu do seksu.

Fran nie chciała, by stało się to tej nocy; odczuwała zbyt duży niepokój. Nie posądzała siebie o posiadanie magicznych właściwości, jakiegoś szóstego zmysłu czy też umiejętności przewidywania przyszłości. Dlaczego więc nie mogła pozbyć się myśli, że jeśli ten list wysłany przez, wydawałoby się, dobrze poinformowanego mieszkańca Vaila zawiera w sobie choć ziarno prawdy, to okoliczności, w jakich znajdował się ten wielki, zalany światłem tankowiec, mogły doprowadzić do niewyobrażalnej tragedii? Że trudno wykluczyć, iż katastrofa jest tuż-tuż?

Inspektor kontroli zanieczyszczenia, kapitan Mike Trelawney, wydał uspokojonemu pierwszemu oficerowi Spediniemu zezwolenie na rozpoczęcie przetaczania stu siedemnastu tysięcy ton arabskiej ropy tuż przed godziną dwudziestą trzecią dwadzieścia.

Po zawiadomieniu o tym pilota McDonalda i brygadzysty załogi sztucznej wyspy, przekazał przez radio wiadomość holownikowi *William Wallace* i ekspedytorowi Blairowi w pomieszczeniu kontrolnym terminalu Rora.

Reg Blair z kolei powiadomił będących na służbie strażników i Olliego, odpowiedzialnego za pracę pomp na brzegu. Po czym pochylił się nad konsolą, aby obserwować rejestrowaną dokładnie pracę przyrządów pomiarowych.

W końcu wyciągnął dziennik ze szczerzącym się do niego kleksem w miejscu imienia superstatku i dokonał zapisu:

23.28: Rozładunek arabskiej ciężkiej rozpoczęty.

Większość mieszkańców Vaila właśnie kładła się spać.

Na statku

Katastrofa, w wypadku *Calaurii*, była jak kłębek wydarzeń, który musiał się rozplątać, stwarzając konkretną sytuację w konkretnym czasie i w konkretnych warunkach.

Wiele z tych incydentów spowodowanych będzie mało istotnymi zdarzeniami. Wszystkie zbiegną się w czasie przez zwykły przypadek.

Taka na przykład niezaprzeczalnie błaha będzie sprawa zaworów. Nie jest łatwo myśleć o zaworach w ogóle. Zawory jak to zawory, nie są tematem zaprzatającym umysł czy pobudzającym wyobraźnię. Na pewno nie przedstawiają się, gdy spojrzy się na nie oddzielnie, jako składniki przerażających wydarzeń, mających nastąpić na środku czarnej, zimnej szkockiej zatoki.

W rzeczywistości tak ciężko jest pasjonować się zaworami, że – aby uczynić je choć odrobinę ekscytującymi – trzeba im się przyjrzeć w kontekście roli, jaką zagrały w całym dramacie. Aby zrobić to prawidłowo, muszą być wzięci pod uwagę: główny mechanik Moreno Borga i jego drużyna składająca się z sześciu mechaników oraz pięciu marynarzy. Dodać do tego należy problemy nękające ich tej piątkowej nocy, gdy *Calauria* spoczywała bezwolnie przy swojej przystani.

Pierwszym wrażeniem, jakie mógłby odnieść ktoś z zewnątrz po wejściu na pokład, było wrażenie prostoty. Główny układ napędowy liberyjskiego superstatku składał się z jednego silnika, dużego i dobrej marki: był to Burmeister i Wain o mocy dwudziestu trzech tysięcy koni mechanicznych, napędzający jedną gigantyczną śrubę statku. Jednocześnie dostarczał on pary, gdyż gazy spalinowe wydobywające się z niego podgrzewały ogromny, połączony z nim kocioł. Z kolei para ta napędzała główny turboalternator, dostarczający energii koniecznej do użytkowania wielu rzeczy, począwszy od elektrycznej golarki kapitana Bisaglii, a skończywszy na komputerze głównego oficera Spediniego – z tym że to cholerne urządzenie i tak nie działało. Alternator był też odpowiedzialny za klimatyzację, windy towarowe, urządzenia kuchenne i spirale grzewcze ulokowane w wielkich zbiornikach paliwa.

Podstawowa koncepcja pracy Bardzo Dużego Przewoźnika Ropy mogła wydawać się jasna, jednakże założenie, że inne aspekty budowy i obsługi były równie proste, byłoby niesłuszne. Poprzez dostarczenie zwykłemu VLCC jednego tylko źródła siły napędowej projektanci zaoszczędzili armatorom sporego wydatku. Ale równocześnie, w razie poważnej awarii, stworzyli znacznie większe zagrożenie dla innych użytkowników morza czy też tych, co zażywają kąpeli w pobliżu międzykontynentalnych szlaków tankowców. I ciągle jeszcze nie zredukowali pracy mechaników do wykonywania rutynowych

czynności. W VLCC znajdowały się także specjalistyczne systemy wspomaganie. Konieczna była niesamowita ilość różnorodnego, bardzo skomplikowanego sprzętu, aby umożliwić temu gigantycznemu pojemnikowi na jajka wydalenie z siebie ropy, którą w tym właśnie celu przetransportował.

Maszynownia *Calaurii*, starzejąca się już co prawda, wciąż przedstawiała wysoki poziom techniczny. Był to pomysłowo zainstalowany zbiór niezbyt nowoczesnej, mechanicznej, elektrycznej i hydraulicznej maszynerii, która huczała, syczała, jęczała i klekotała, zmuszając nieostrożnych przybyszów do sięgnięcia po zatyczki do uszu, zanim posunęli się o krok dalej.

W tym przypominającym wnętrzu katedry pomieszczeniu główny mechanik Borga – oprócz obsługi silnika głównego – ponosił odpowiedzialność za pracę dwóch opalanych ropą kotłów firmy Foster Wheeler. Zadaniem ich było zaspokajanie zapotrzebowania *Calaurii* na parę w czasie postoju. Nadzorował też pracę dwóch kolejnych dieslowskich alternatorów dostarczających energii w czasie podróży krańcowo obciążonej *Calaurii*. W czasie postoju w porcie wyglądały one jak oświetlone bloki mieszkalne. A był jeszcze alternator awaryjny. To na wypadek, gdyby chłopcy mechanika Borgi popełnili jakiś błąd i nie pracowałyby żaden z innych wytwarzających iskrę mechanizmów. No i wreszcie pompy *Calaurii*. Borga i jego drużyna musieli martwić się o gotowość czterech pomp strażackich, dwóch pomp pianowych, pomp ściekowych, pomp do świeżej wody, pomp olejowych, pomp hydraulicznych, pomp do mycia pokładu, pomp cieplnych, pomp chłodzących, cholernych, obsługiwanych ręcznie pomp ściekowych łodzi ratunkowej...

No i tych najgorszych, pomp rozładunkowych, które nadawały całej tej strukturze sens istnienia. Były to dwa napędzane turbiną parową giganty, będące w stanie przetoczyć cztery tysiące metrów sześciennych arabskiej ropy, pracując z szybkością tysiąca stu dziewięćdziesięciu obrotów na minutę.

Ale nawet po sprawdzeniu tej drgającej i błyszczącej metalowej konstrukcji przedwczesne byłoby przypuszczenie, że Borga i jego spocona kompania mogą odpocząć przez chwilę, skoro wyszli już z tej grzmiącej jaskini na światło dzienne. Pierwszą bowiem rzeczą, jaka ukaże się ich oczom, będą dwa dwudziestotonowe poruszane parą dźwigi, czekające w tyle głównego pokładu, by się nimi zająć. Wystarczy odwrócić się, aby zobaczyć dwa inne dźwigi usytuowane na przodzie głównego pokładu; jeszcze dalej kolejne dwa gigantyczne wyciągi i kołowrót ulokowany na rufie za nimi. Wszystkie wymagały rutynowej konserwacji – jeśli nie naprawy, skądinąd koniecznej w przypadku starzejących się mechanicznych części na niedofinansowanym statku, takim jak *Calauria*.

Należało także zająć się ciągnącymi się milami linami pokładowymi, przewodami parowymi, rurami wylotowymi. Wszystko to spoczywało na barkach głównego mechanika Borgi. Dodajmy jeszcze wszystkie urządzenia nawigacyjne statku: dwa przestarzałe radary, którym nie zdarzało się funkcjonować jednocześnie; echosondę; pilota automatycznego; żyrokompas i automatyczną syrenę; wskaźnik kąta steru; licznik obrotów silnika... Każda z tych rzeczy była częścią niezbędnego wyposażenia, bez którego, szczególnie w cieśninach, poruszanie się olbrzymów takich jak *Calauria* stwarzałoby jeszcze większe niż do tej pory zagrożenie dla innych użytkowników morza. Jednakże utrzymanie tych podstawowych urządzeń w stanie nadającym się do ciągłej

pracy zależało od wątpliwych umiejętności elektryka z liberyjską licencją, niejakiego Gianfranco Priori. Był to młody neapolitańczyk, parający się dawniej naprawą telewizorów. Jak do tej pory, nie udało mu się naprawić komputera Spediniego. Mało tego: wyglądało na to, że ma trudności z wymianą przepalanej żarówki...

Żadne jednak nawigacyjne urządzenie, czy to działające czy nie, nie mogło być uznane podczas tego konkretnego weekendu za istotną przyczynę zbliżania się *Calaurii* do zagłady. Tak długo, jak statek kapitana Bisaglii pozostawał bezpiecznie przywiązany do obiektu tak stabilnego, jak przystań terminalu Rora, strata paru czy nawet wszystkich instrumentów nawigacyjnych nie mogła w żadnym stopniu wpłynąć na szanse jego przetrwania.

Tak samo parę ton – a dokładniej mówiąc, zniknięcie paru ton – zupełnie zwykłego paliwa przeznaczonego do obsługi urządzeń statku trudno byłoby nazwać potencjalnie zgubnym niedoborem. A już na pewno nie przyczyną mającej nastąpić zagłady.

I tu właśnie ten nudny temat zaworów zaczyna nabierać znaczenia.

Wszystko z powodu niezliczonej liczby systemów pomocniczych, które sprawiały, że utrzymanie *Calaurii* było trudnym zadaniem dla nękanego obawami głównego mechanika. Bał się o swoje stanowisko, które dla kogoś w wieku sześćdziesięciu dwóch lat nie było wcale łatwe do zdobycia na innym statku. Można znaleźć analogię między niepokojem Borgi a obawami kapitana Bisaglii i pierwszego oficera Spediniego. Wszyscy trzej świadomi byli konieczności oszczędzania czasu i pieniędzy armatorów, którzy, niezadowoleni, zdolni byli wyrzucić ich bez żadnych skrupułów. Obowiązki głównego mechanika nie kończyły się na obsłudze skomplikowanej maszynierii i sprzętu elektrycznego. W czeluściach swych *Calauria* zawierała sieć połączonych ze sobą rurociągów, potrzebnych do przemieszczania ropy i balastu między zbiornikami. Każde rozgałęzienie miało własny zawór. Za każdym więc razem, kiedy oficer zamierzał przetransportować ładunek z jednego zbiornika do drugiego w celu utrzymania równowagi statku czy też rozpoczęcia rozładunku z innej jego części, wydawał rozkaz otwarcia lub zamknięcia odpowiednich zaworów. A było ich mnóstwo: zawory od wody, zawory od balastu, zawory krzyżowe, zawory ssawne, zawory wypływowe, zawory wolnego przepływu... I każdy z nich wymagał konserwacji oraz obsługi mechanika.

Większość z nich była całkiem prosta, obsługiwana ręcznie z poziomu pokładu. I nie było tam wiele mechanizmów, które mogły nawalić. Niektóre jednak systemy były kontrolowane z pompowni – szczególnie zawory usytuowane na dnie każdego zbiornika, które po otwarciu pozwalały na wolny przepływ ładunku w przedziałach statku. Składały się one z ciężkich metalowych nakładek, przyciśniętych hydraulicznymi dźwigniami w celu zapobieżenia przypadkowemu przemieszczaniu się ładunku w czasie rejsu.

To właśnie te zawory, umieszczone w szóstym środkowym zbiorniku i dwóch zbiornikach skrzydłowych, znajdujących się tuż przy maszynowni, były powodem niepokoju głównego mechanika Borgi.

Doszedł on do wniosku, że połączenia w hydraulicznych przewodach zasilających te konkretne dźwignie musiały przeciekać podczas ostatniej podróży tankowca z Mina al-Ahmadi w Zatoce. Sprawność systemu udało mu się zachować jedynie poprzez ciągłe dolewanie ropy ze skąpej rezerwy paliwa.

Armatorzy będą chcieli wiedzieć, dlaczego tak kosztowne środki zmarnowano bezmyślnie, skoro mechanik mógł dokonać natychmiastowej naprawy dźwigni. Miał nieprzyjemne przeczucie, że jeśli nawet z całym szacunkiem wyjaśni im, iż w czasie rejsu owe dźwignie zanurzone są pod trzema tysiącami ton ładunku i naprawianie ich bez możliwości oddychania przez godzinę lub dwie nie jest łatwe dla mechanika, mającego około dwudziestu metrów cholernej arabskiej ropy ponad poziomem czapki, to i tak go skrytykują. Nie musiał zgadywać – dobrze to wiedział – że armatorzy nie wybaczą mu nigdy, jeśli nie przeprowadzi naprawy, skoro tylko zbiorniki numer sześć zostaną opróżnione i zanim jeszcze napełni się je ponownie balastem na powrotną podróż do Zatoki. Za tak poważne zaniechanie obowiązków wyleciałby natychmiast.

Tak więc główny mechanik Borga zdecydował, że nie ma innego wyboru, jak tylko poprosić pierwszego oficera Spediniego o pozostawienie wszystkich trzech zbiorników, ciągnących się wzdłuż całego statku – środkowego i skrzydłowych numer sześć – pustych, aby umożliwić hydraulikom dostęp do nich, skoro tylko zostaną oczyszczone po wypłynięciu w morze.

Okaże się, że będzie to prośba fatalna w skutkach.

Rozdział V

Sobota: ranek

Noc przeszła raczej spokojnie. W ten sobotni poranek słońce ukazało się na chwilę nad Quarsdale, rozświetlając na czerwono zaśnieżone szczyty gór. Miasto budziło się. Ludzie zmęczeni nocnym czuwaniem przekazywali swoje obowiązki następcom.

Protestujący rybacy zamienili parę życzliwych zdań z powracającymi z pracy pracownikami „Panoco” i oddalili się od bram terminalu. Większość z nich szła prosto do portu, do swoich łódek, ponieważ rybołówstwem, a nie demonstracjami zarabiali na chleb. Ktoś musiał być bardzo leniwy lub bardzo zmęczony, aby ignorować potrzebę zarobienia paru funtów ekstra.

Jutro – w niedzielę – będą odpoczywać. Poleżą sobie długo w łóżkach, zjedzą porządne śniadanie i może, jeśli zajdzie taka potrzeba, naprawią porwaną sieć, kryjąc się przed wzrokiem sąsiadów. Bo żaden człowiek w Quarsdale – z wyjątkiem pastora i ludzi „Panoco” – nie da się przyłapać na pracy w niedzielę.

O ósmej rano nowiutki *Robert The Bruce* szypra Menziesa przejął zabezpieczanie wielkiego statku zacumowanego w przystani, umożliwiając holownikowi *William Wallace* powrót do portu Neackie dla uzupełnienia paliwa i wody na nadchodzącą noc. Wullie Gibb pomógł mechanikowi Burnsowi uporać się z ciężkim węzłem zwisającym z kamiennego falochronu, po czym wy dostał się ze swoich kaloszy i wełnianego swetra, który kiedyś był biały, a teraz przypominał kolorem sweter z Fair Isle, wydziergany przez pijaną babcię z Szetlandów. Wzorek tworzyły resztki kolacji pomieszane z brudnobrązowymi zaciekami rdzy i oleju pochodzącego z urządzeń pokładowych. Wullie poszedł do domu, aby położyć się na chwilę do łóżka, zanim mamusia nie ugotuje obiadu na kuchni, która, jak zauważył pośepnie, nie wpadała w rytm rumbi, gdy się na niej smażyło.

Idąc wzdłuż doków, minął *Blach Watch* i *Seaforth Highlander* – dwa inne strażackie holowniki „Panoco”. Tkwiły spokojnie w szarej wodzie, upoważnione do działania tylko wtedy, gdy VLCC zaplanuje zmianę położenia. Teoretycznie miały piętnaście minut na wejście do akcji w razie niebezpieczeństwa, ale... każdy w Vaila wiedział, jak to było naprawdę.

Złapał autobus, który co godzina kursował do miasta wzdłuż wybrzeża zatoki. Dwadzieścia minut zajęło mu pokonanie drogi do domu, wijącej się pomiędzy wzniesieniami pagórków i występami skalnymi, uformowanymi przez zachłanne wody Quarsdale.

Kiedy Wullie Gibb wgramolił się wreszcie do łóżka, był naprawdę zmęczony. Cieszył się, że dzisiejsza noc będzie ich ostatnią nocą na służbie przed dwutygodniową przerwą. Zima ze swoim burzliwym temperamentem nie ułatwiała pracy załogom holowników. Miał cichą nadzieję, że do czasu, kiedy znajdzie się z powrotem na stanowisku, warunki pogorszą się jeszcze. Wtedy szyper McFadyen byłby zmuszony wrócić do portu Neackie, chociażby na część nocy. Najlepiej

w momencie, kiedy trzeba będzie radzić sobie z tajemniczymi wybuchowymi zdolnościami najlepszych portowych kiełbasek rzeźnika Haiga.

Ekspedytor Blair otrzymał prognozę pogody z godziny ósmej i zapisał ją w dzienniku przed zejściem ze służby. Zapowiadała przejściowe przejaśnienia, po południu widoczność do trzydziestu kilometrów, jednak wiatry miały zmienić się na południowo-zachodnie w skali od pięciu do siedmiu. Temperatura miała dochodzić do ośmiu stopni ciepła. Zatoka niskiego ciśnienia znad Atlantyku wciąż się przybliżała.

Skontaktował się z pilotem McDonaldem na pokładzie tankowca i ostrzegł go.

– Wygląda na to, że czeka nas lekki wstrząs. Przekażę to oficerowi – powiedział Archie.

Blair potarł ręką podbródek. Drażnił go ostry zarost na nie ogolonej twarzy.

– Muszę przekazać informację zmiennikowi. Planujecie najpierw rozładować całą ciężką, czy jednocześnie nabierać balast?

Wyglądając przez okno, zmierzył wzrokiem olbrzymi kształt *Calaurii* odległej o ćwierć mili i wyraźnie widocznej ze swoim pomalowanym na biało kadłubem jaśniejącym w porannym słońcu.

Była znacznie wyżej nad wodą niż wczoraj po przybyciu. Dziób uniesiony, płaski pokład opadający w stronę rufy, aby ułatwić przepływ ładunku przez całą długość statku i zwiększyć wydajność pomp. Zastanawiał się, w którym miejscu tego odległego pokładu znajduje się Archie McDonald. Konwersacje prowadzone przez radio dawały dziwne poczucie bliskości: rozmawiałeś tak, jakbyś siedział obok tej drugiej osoby, jednakże nigdy nie mogłeś uzmysłowić sobie faktycznej pozycji rozmówcy.

– Ustalony plan zakłada rozładunek całej ciężkiej, ale jestem na mostku, nie mam ostatecznych danych – odpowiedział pilot, jak gdyby czytając w myślach Rega. – Ile tego jest już na brzegu?

Reg rzucił okiem na wskaźniki.

– Jakieś trzydzieści dwa tysiące. To nawet nie połowa ciężkiej paczki.

– Poczekaj chwilę. Oficer właśnie wrócił z pompowni.

Nastąpiła krótka przerwa. Po chwili dał się słyszeć ponownie głos Archiego:

– Pierwszy oficer mówi, że chciałby się trzymać pierwotnego planu. Częściowy pobór balastu dopiero po zakończeniu rozładunku ciężkiej. To powinno być około pół do siódmej, powiedzmy koło siódmej wieczorem. Obciążenie będzie więcej niż wystarczające do przeciwstawienia się wiatrowi, nawet jeśli jego siła wzrośnie do ośmiu.

– Przyjąłem. Zmianę przejmuje Thomson. Przekażę mu to i będzie cię informował o wszelkich zmianach pogody.

– OK – z odległego mostka dobiegł radosny głos pilota McDonalda. – No, to do usłyszenia wieczorem, Reg. Śpij dobrze. Pozdrów Ellę, gdy dotrzesz do domu.

– Dobra – powiedział krótko Blair i przełączył radio na odbiór. Siedział i myślał o sobie i Elli, o tym, co mógłby zrobić, aby zmienić jej stosunek do Vaila. Wszedł Thomson i powiedział zdęgowany:

– Dzień dobry, Reg. Chryste, czy wiesz, że ta cholerna baba McLeish stoi już tam pod bramą i pikietuje? Powiedziała mi nawet „dzień dobry, panie Thomson”. Ładnie z jej strony, ale przecież chce nas pozbawić naszej cholernej roboty. Wiesz o tym, prawda? Naszej cholernej roboty!

– Świetnie by sobie razem radziły, dążąc do wspólnego celu – gorzko zauważył Blair, wsiadając na rower i zapominając na chwilę o tym, co sam zrobił, ryzykując utratę pracy. – ...Moja żona i radna

Pierwszy oficer Spedini czuł wzrastającą w nim pewność siebie, gdy o ósmej dziesięć wkroczył do jadalni, aby spożyć śniadanie. Nocny rozładunek odbył się bez kłopotów mimo pewnego opóźnienia spowodowanego spełnianiem zachcianek pozbawionego poczucia humoru inspektora Trelawneya. Poszukiwania innej liny na miejsce przekłętej liny przeciwpożarowej zajęły trochę czasu, ale poza tym nie było żadnych innych kłopotów. Spediniemu udało się nawet złapać parę godzin snu przed czwartą rano; drugi oficer De Mita okazał się solidną podporą i rzetelnym pracownikiem. No i był tam, oczywiście, kapitan. Nie można było pozbyć się uczucia, że kapitan Bisaglia zawsze znajdował się w pobliżu, oferując słowo krytyki, dając delikatne wskazówki, kiedy tylko niedoświadczenie jego młodego zastępcy dawało o sobie znać. Spedini wiedział, że dopóki będzie informował kapitana o swoich zamierzeniach (co zresztą zrobił przed przybyciem do Rora), nie ma mowy o popełnieniu poważnego błędu. Po zapoznaniu się z planem rozładunku Bisaglia pokiwał przytakująco głową i rzekł:

– Jest pan całkowicie pewien, że to najlepszy pomysł według pańskich obliczeń, *signore*?

– *Si, capitano!* – odpowiedział Spedini, okazując więcej pewności siebie, niż powinien. – Nie miałem możliwości korzystania z komputera, dlatego parę razy sprawdzałem wszystkie etapy planu, jak również dane dotyczące zrównowazania i stabilności statku.

Nie bardzo wiedział, czy ma się czuć jak ktoś, kogo skomplementowano, czy też powinien się niepokoić, gdy Bisaglia od niechcienia spojrzął na przedstawione mu obliczenia, wynik bezsennych nocy przy biurku. Dowódca wzruszył po prostu ramionami, po czym skomentował z nutą goryczy w głosie:

– Główny elektryk Priori pozostawia trochę do życzenia. Nasi pracodawcy nie mogli za niego dużo dać, co?

Był to jedyny wypadek, kiedy pierwszy oficer Spedini usłyszał kapitana wyrażającego się lekceważąco o armatorach. Co trudno było powiedzieć o głównym mechaniku Bordze. Nawet teraz, gdy oficer brał z bufetu chleb, dżem morelowy i kawę, od stolika mechanika dochodziło znajome narzekanie.

– Obciąć tutaj, pozbyć się tego, oszczędzić na tym, odjąć tu i tam... Gówno nam dają, Visentini. Gówno na utrzymanie skorodowanego gówna. Poświęcamy nasze żalosne życie grzęznąc w jeziorach, morzach, oceanach ropy! I co z tego mamy?

Mechanik zaczerpnął tchu, podczas gdy Spedini usadowił się przy stole oficerów pokładowych, zajmując miejsce między wolnym jeszcze krzesłem kapitana a dwudziestodwuletnim trzecim oficerem Marcorą. Na twarzach paru mechaników słuchających swojego przełożonego malował się tajemniczy wyraz. Wszyscy to znali: te żarty, te codzienne przemówienia człowieka, który dokonywał cudów, pracując dla tych samych właścicieli, których tak zaciekle potępiał.

Borga zaczął wygrażać kawałkiem chleba drugiemu mechanikowi Visentiniemu.

– Mówię ci, Cirlaco, oczekują, że smary będą wydzielane w małych szklankach jak szkocką whisky, że paliwo powinno być wydawane w mililitrach, podkładki sam muszę wycinać z blaszanych puszek, uszczelki z cholernego złomu...

Ręka wymachująca kawałkiem chleba znieruchomiała w momencie, kiedy Borga zauważył wzrok pierwszego oficera, po czym skierowała się, jak magnetyczna igła kompasu, w jego kierunku.

– Twoje zbiorniki numer sześć, *signore*? Przeklinam tu szefostwo, ale to ciebie muszę

zawiadomić o swoim poważnym problemie.

Zanim jeszcze Borga wdał się w szczegóły techniczne budowy zaworów i obrazowe opisy przecieków, pierwszy oficer Spedini stracił apetyt. W jego pojęciu to nie główny mechanik Borga miał poważny problem – miał go on, pierwszy oficer Spedini. Młody zastępca domyślił się natychmiast, że wszelkie naprawy, które mechanik chciał przeprowadzić w tylnych zbiornikach *Calaurii*, wymagały pustych, wyczyszczonych i pozbawionych gazu przestrzeni do bezpiecznej pracy ludzi. Tymczasem staranne obliczenia Spediniego zakładały natychmiastowe napełnienie tych właśnie przedziałów ładunkowych balastem morskiej wody – przed rozpoczęciem rozładowywania czterdziestu jeden tysięcy ton arabskiej lekkiej. Była to konieczna operacja, aby wyrównać ciągle zmieniające się naprężenia, którym stale poddawany był kadłub w czasie unoszenia się z wód zatoki.

Teraz natomiast okoliczności uległy zmianie. Przemieszczając ładunek według żądań mechanika Borgi, naraziłby wszystkich na serię zupełnie nowych, niebezpiecznych sytuacji: na zmiany w równowadze statku i powstanie momentów zginających – zupełnych niewiadomych aż do czasu dokonania nowych obliczeń.

Każdy inny zastępca dowódcy VLCC – pomyślał Spedini – okazałby swoje zdenerwowanie i, jak na szefa przystało, przeklął wszystkich mechaników za brak przeczności. Następnie udałby się do swojego biura, włączył komputer i dokonał rewizji pierwotnego planu.

Ale nie Mario Spedini. O nie! Biedny pierwszy oficer Spedini, udęczony skąpstwem księgowych i brakiem umiejętności taniego elektryka, musiałby za pomocą ołówka zmagać się na prehistorycznym papierze z kolumnami rosnących współczynników, zmieniających się cyfr, z tabelami napięć i równaniami matematycznymi, których wyprodukowanie już zajęło mu niezły kawał czasu. Podejrzał, że gdy zajmie się nimi w takim zdenerwowaniu, jakie teraz odczuwał, będzie musiał to robić dwa razy dłużej. Może się okazać, że konieczność wykonania tak żmudnej pracy zmusi go do opóźnienia rozładunku. Być może, zmuszony będzie także do zasięgnięcia rady kapitana Bisaglii w sprawie, która doświadczonemu oficerowi nie powinna sprawiać kłopotu. A przez to wywoła niezadowolony właścicieli i, co gorsza, poważnie rozczaruje swojego dowódcę.

Śniadanie tej ostatniej soboty nie wróżyło niczego dobrego wszystkim znajdującym się w pobliżu przystani.

A już na pewno nie trzydziestodwuletniemu Mario Spediniemu.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy pierwszy oficer Spedini stracił apetyt, policjant Hamish Lawson odwiesił słuchawkę i nie był wcale uradowany sposobem, w jaki los popieprzył mu plany na dzisiejszy dzień.

Zamierzał udać się do odległego spory kawałek miasteczka Oban, kupić stereo, które upatrzył sobie jakiś czas temu, i wreszcie, niby po drodze, odwiedzić pewną pielęgniarkę, na którą również miał oko od dłuższego czasu; dokładnie od momentu, kiedy spotkał ją na ostatnim balu policyjnym.

Ale ponieważ policjanci, tak jak i zwykli członkowie społeczeństwa, łapią grypy i przeziębienia się, doświadczają śmierci bliskich, łamią nogi na nartach – tak jak jeden młody glina uczynił to w zeszły czwartek – to okazało się, że jest niedobór ludzi do patrolowania terenów Quarsdale. W związku z tym tamten szef dywizji poprosił tego szefa, ten z kolei jego inspektora, ten zaś nakazał jego sierżantowi znaleźć ochotników do pracy po godzinach w czasie nadchodzącej nocy.

Tak więc zamiast oczekiwanego z radością wolnego weekendu, który prawnie mu się należał, Hamishowi nakazano zgłosić się do pracy na dodatkową zmianę zaczynającą się o dwudziestej

trzeciej. Tym razem przydzielono mu samochód. Miał patrolować centrum Vaila, ale szczególnie zwracać uwagę na terminal Rora. Bronić go przed nocnymi rozbojami oddziałów głównej anarchistki, cholernej cioteczki Jesse.

Posępnie grzebiąc widelcem w talerzu pełnym jajeczniczy na bekonie, zdecydował pooglądać trochę sportu w telewizji i położyć się do łóżka. Zanosilo się na długą i nudną noc.

Przypuszczenia Lawsona, jak się później okazało, były jedynie w połowie prawdziwe.

Duggan zjawił się w swoim biurze o ósmej trzydzieści i zajął się papierkową robotą, której nie brakowało przy przetwarzaniu stu siedemnastu tysięcy ton ropy ze statku do nabrzeżnych zbiorników. Przybycie *Calaurii* do terminalu Rora kosztowało go dużo nerwów, jako że liberyjski VLCC był pierwszą dużą przesyłką, za którą miał być osobiście odpowiedzialny. Wiedział, że Charlie oczekiwał od niego jako swego zastępcy załatwienia wszelkich spraw przed jego powrotem ze Stanów. Nie spodziewał się zastać żadnych nie rozwiązanych kwestii dotyczących wykazów i świadectw załadunku, przestojów, opóźnień i Bóg wie czego jeszcze.

Charlie nie omieszką również sprawdzić, jak Duggan wywiązał się z wprowadzania w życie ustalonych ostatnio projektów obniżania kosztów operacji. Co gorsza, przywiezie prawdopodobnie ze sobą nową serię wytycznych. Dawno już skończyły się czasy, kiedy kompanie naftowe mogły sobie pozwolić na rozrzutność. Wieczne wojny na Bliskim Wschodzie oraz wzrastające koszty wydobywania i recesja w przemyśle światowym spowodowały ostre współzawodnictwo między korporacjami. Teraz kierownictwo albo osiągało swoje finansowe cele, albo wypadalo z gry wraz ze wszystkimi pracownikami.

Problem polegał na tym, że Duggan nie mógł przestać myśleć o dziennikarce, podczas gdy powinien się skoncentrować na sprawozdaniach o balaście i obliczaniu niedoborów. Była tak diabelnie niepokojąca, ta pani Herschell. Jej towarzystwo w czasie wczorajszego wieczoru rozwiało nieco jego nadzieje, ale jednocześnie dziwnie go podnieciło. To jej chłodne wyrafinowanie, tak nieoczekiwane u kogoś związanego z małą prowincjonalną gazetą. Linia jej szyi, perfekcyjny kształt kostek, aksamitny połysk jej włosów, sposób, w jaki się poruszała – do diabła, sposób, w jaki po prostu siedziała i uśmiechała się prowokacyjnie, niweczając jednocześnie jego wysiłki zmierzające do nawiązania bardziej osobistego kontaktu.

Ale nie tylko to – nie tylko fizyczna strona nie dawała mu spokoju. Duggan przyznawał radośnie, że kierowało nim libido młodego zdrowego człowieka, że wciąż poddawał się erotycznym fantazjom, w których uderzająco piękne kobiety rzucały się na niego w całkowitym zapomnieniu – kobiety takie jak Fran Herschell, jeśli już o tym mowa.

Ale wyczuwał z jej strony jakieś zagrożenie. Zagrożenie i element determinacji. Nie zadała mu wielu pytań, a przecież, jak przypuszczał, poszukiwała wielu odpowiedzi. Nie starała się wydobyć z niego żadnych informacji, a mimo to pozostawiła go z uczuciem niepokoją, wręcz obawy. Nie było to uczucie, jakiego spodziewał się doznać po wywiadzie z prowincjonalną dziennikarką.

Umówili się na kolejną rozmowę przy obiedzie dziś wieczorem. Jutro pokaże jej terminal, może nawet zabierze ją na pokład liberyjskiego VLCC, jeśli dowódca wyrazi zgodę. A może lepiej nie? Pani Herschell wiedziała zbyt dużo o statkach i objawiała niezdrową ciekawość. Duggan mógł być podatny na kobiece wdzięki, ale nie był głupi. Rozmowa, jaką przeprowadził z Trelawneyem, kiedy PCO schodził z nocnej zmiany, nie pozostawiła mu żadnych wątpliwości co do faktu, że ten superstatek z włoską załogą nie był tak całkiem super.

– Jest do niczego, Duggan – powiedział ponuro Trelawney. – Ja to po prostu czuję. Czym szybciej odpłynie, tym lepiej. To potworna zaraza.

Nie, po zastanowieniu się Duggan doszedł do wniosku, że zabranie pani Herschell na pokład *Calaurii* nie byłoby najlepszym pomysłem.

Pochylił się i wyciągnął kartkę z aktualnym planem rozmieszczenia zbiorników terminalu Rora. Nie zdecydował jeszcze, gdzie ekspedytor Blair miał umieścić siedemdziesiąt sześć tysięcy ton ciężkiej arabskiej, unikając pomieszania jej z lekką, którą zaczną pompować jutro rano. Popelnienie błędu na tym polu również nie byłoby najlepszym pomysłem.

Notatka zostawiona na jego biurku mówiła, że dowódca proponował nabranie części balastu około północy, zanim rozpocznie się rozładunek lekkiej ropy.

Duggan miał nadzieję, że załoga tankowca wiedziała, które zawory otworzyć, a które zamknąć, zanim zaczną cokolwiek robić. Ostatni wypadek zanieczyszczenia Quarsdale zdarzył się – Duggan jeszcze wtedy nie pracował – kiedy VLCC pod banderą japońską nabrał paliwa w terminalu i przepompował go przez calusieńki cholerny statek na wylot, prosto w wody zatoki.

Shona Simpson obudziła się około dziesiątej, wciąż kipiąc ze złości z powodu upokorzenia, jakie przeżyła w czasie wieczornego safari z Peterem Cairdem. Jej oburzenie zwiększyło się jeszcze po wścieklej awanturze z mamą, która czekała, aż Shona wróci łaskawie do domu. A było już dobrze po północy.

Czasami rano, zaraz po wyjściu z łóżka, jeśli nie było zbyt zimno w pokoju, Shona ściągała nocną koszulę i mizdrzyła się przed lustrem, przyglądając się z pewną dumą odbitej w nim nagości. Dzisiaj, po tym jak zlekceważono jej wdzięki, zasiadła po prostu przed toaletką, aby oczami przyozdobionymi resztkami rozmazanego tuszu spojrzeć na rozdrażnioną dziewczynę, mającą rachunek do wyrównania.

Wielki John McLean miał jednak rację – Caird nie zmienił się wcale. Wciąż był tym samym bezbarwnym, zniewieściałym chłopcem, jakim był w szkole. Życie studenckie nie uczyniło go bardziej dojrzałym. Robił z siebie jeszcze większego głupka niż kiedyś.

Z bardzo posępną miną dotknęła swoich potarganych jasnych włosów, po czym zaczęła je szczotkować z wielką pasją. Stopniowo złość i oburzenie opuszczały Shonę, natomiast na ich miejsce pojawiła się nieodparta chęć zemsty. On, synek miejscowego doktora, z tymi swoimi wściekłymi planami zepchnięcia ze sceny szalonych, protestujących staruszków! Tu, w Vaila! Najwyższy czas, aby się nauczył, że trzeba czegoś więcej niż światowego obycia i nienaganego akcentu, aby bezkarnie obrażać Shonę Simpson.

Urazę Shony można by ocenić jako nieco nadmierną. Na pewno przykładała do tego większą wagę niż normalna dwiętnastoletnia dziewczyna. Niektórzy mogliby ją uznać za bardzo nerwową młodą damę. Jednakże w momencie, kiedy wciągnęła dzinsy i podkoszulek, powrócił jej dobry humor. Ojciec siedział w kuchni, patrząc wymownie na zegar znad stronic porannego wydania *Obywatela Północy*.

– Mama poszła do sklepu – powiedział. – Mogłaś jej pomóc w zrobieniu zakupów.

– Ty też mogłaś – rzuciła Shona, sięgając po mleko.

Po tej krótkiej wymianie zdań przestała zwracać na niego uwagę. Jimmy Simpson był człowiekiem, który potulnie zgodził się na ekonomiczną śmierć wybrzeża. Był bezrobotny od ponad czterech lat, od kiedy przenieśli zakłady przetwórstwa rybnego do Oban. Dawno już zrzucił całą odpowiedzialność za utrzymanie rodziny na barki państwa. Pan McReady, wydający zapomogi dla

pozostających bez pracy, stał się ich żywicielem. Starszy brat Shony, Alistair – który opuścił dom w wieku osiemnastu lat, by zostać kapralem w Argyles, i wyrósł na człowieka o zdrowym rozsądku – podczas swoich rzadkich wizyt w domu spełniał rolę doradcy. Mama, kobieta obojętna, o ponurym usposobieniu, stopniowo objęła obowiązki księgowego, głowy rodziny i wychowawcy. Okazywała przy tym coraz większą pogardę swojemu mężowi, którego niegdyś kochała, lecz teraz wyłącznie nad nim dominowała.

Nie było to otoczenie gwarantujące szczęśliwe dorastanie. Nieuniknionym przeznaczeniem Shony, niezbyt bystrej, ale obdarzonej po matce silną wolą, było stać się buntownikiem. Od kiedy skończyła szkołę, jej główną ambicją było zerwanie wszelkich więzi z Vaila, przewodniczka do Glasgow i poszukiwanie niezależności. Miała ona przybrać formę pracy i własnego mieszkania.

W każdym razie tak było do ostatniego wieczoru. Teraz wyznaczyła sobie nowe, pilniejsze zadanie: dać naukę Peterowi Cairdowi. I Shona Simpson, która sama przyznawała w duchu, że nie tryska inteligencją, niemniej uważała się za kobiecy odpowiednik Machiavellego, nie miała najmniejszych wątpliwości, że potrafi tego dokonać. Skoro udało się jej skłócić Petera z Johnem na dyskotecę, to z pewnością, wykorzystując ich waśnie, będzie w stanie doprowadzić do tego, by plan Petera legł w ruinach u jego stóp.

Powoli zaczął się w jej głowie rodzić pomysł. Może namówi ich, by posunęli się jeszcze dalej, by dokonali czegoś, co nie zostanie uznane za zwyczajny studencki wybryk. A wtedy prowodyra nie ominie oficjalna kara. Doktor Caird miał w mieście ustaloną pozycję, na której bardzo mu zależało. Można było zamienić coś, co miało być w oczach opinii publicznej gestem odwagi jego syna, w totalną katastrofę... Ale tylko dla Petera Cairda, oczywiście. Dla nikogo więcej. I tylko w stopniu pozwalającym Shonie odegrać się za to, że ją zlekceważył.

Takie właśnie były intencje Shony, kiedy jadła owsiankę, niezmiennie ignorując własnego ojca.

O dziewiątej pani McAllister przyniosła do pokoju Fran ciasto i filiżankę kawy, odsłoniła zasłony, by wpuścić trochę słońca, i oddaliła się z miłym uśmiechem oraz zaproszeniem na śniadanie do jadalni. O dowolnej porze, byle przed dziesiątą.

Fran leżała długo w łóżku, nie mogąc stawić czoła zimnu typowemu dla wiejskich szkockich domów, równie starych jak „Meall Ness”. Ostatecznie znalazła tyle odwagi, by unieść się trochę i, naciągnawszy na gołe ramiona koc, zaczęła pić gorącą kawę.

Nie spała dobrze. Budziła się kilkakrotnie w ciągu nocy, czując stale ten sam niepokój. To było jak oczekiwanie na jakieś straszne wydarzenie, którym nie można już było zapobiec.

Fran dziobała ciasto i starała się pozbyć tego nieprzyjemnego wrażenia, skoncentrować na czymś innym. Myśli jej zajęła druga, całkiem nieoczekiwana sprawa, która również była przyczyną jej bezsenności – istnienie Duggana. Im więcej myślała o zastępcy szefa terminalu, tym bardziej przekonywała się, że zrobił na niej większe wrażenie, niż była skłonna przyznać na początku. Był atrakcyjny fizycznie, ale Fran nie myślała poważnie o możliwości wspólnego spędzenia nocy. Dopóty, dopóki nie zostawił jej samej zeszłego wieczoru. Dopiero po jego wyjściu zdała sobie sprawę, że żałuje zmarnowanej okazji.

Fran wiedziała, że pójście do łóżka z Dugganem nie zaważy na jej uczuciach do Johna. Zawsze przejawiała bezwstydną skłonność do miłosnych afer – John doskonale zdawał sobie z tego sprawę, zanim ją poślubił. Ale przygody w przyszłości musiały pozostać na poziomie fizycznym: nie chciała i nie zamierzała wdawać się w jakiś głęboki i trwały romans.

Fran Herschell uśmiechnęła się niepewnie. Doświadczenie podpowiadało jej, że do końca dnia nie pozbędzie się uczucia zawodu. Poza tym dziarska pani McAllister nie wydawała się być osobą przychylnie nastawioną do uprawiania wolnej miłości pod jej dachem. „Meall Ness” trudno było określić jako dyskretne *rendezvous d’amour*. Było raczej niemożliwe, aby jej gospodyni radośnie zaproponowała przyniesienie drugiej filiżanki do sypialni.

Śniadanie składało się z owsianki, ciepłych bułeczek, wędzonej ryby ociekającej masłem oraz herbaty, grzanek i domowej marmolady. Wyglądało na to, że hotel jest pełen gości. Mimo dość późnej pory w jadalni siedziało sporo ludzi. Młoda para z angielskim akcentem i skłonnością do ukradkowego trzymania się za ręce pod stołem prawdopodobnie spędzała tu swój miodowy miesiąc. Starsza pani siedząca w rogu pochłaniała wszystko, co przed nią postawiono, z zapalem osoby pragnącej oderwać się na chwilę od swojej samotności i starości. Dwóch panów w średnim wieku siedzących przy stoliku obok kominka rzucało w kierunku Fran ukradkowe spojrzenia, zastanawiając się prawdopodobnie, co atrakcyjna młoda dama robi w tak nudnym miejscu jak to.

Wykonuję swój zawód, jak zwykle – pomyślała Fran. Nawet teraz węższ. Nie, tak naprawdę szpieguję. Obserwuję, badam, staram się uchwycić fragmenty przypadkowych rozmów, stworzyć logiczny obraz tego, czego w rzeczywistości szukam.

A czego szukała? Przypomniała sobie moment, gdy siedziała z Dugganem w jego jeepie, zaraz potem, jak zabrał ją z przystanku. Widok zatoki zapierał dech w piersiach. Jednak mimo tego bogactwa cudów stworzonych przez naturę nie mogła oderwać oczu od jedyne stworzonego przez człowieka obiektu, jaki znajdował się w zasięgu wzroku – VLCC, supertankowca *Calauria*. Nieźle wyglądający z oddali, nie najgorszy statek, jaki w życiu widziała, ale... Ale emanował z niego jakiś prawie smutek. Tak, jakby pozbawiony opieki na stare lata, leżał tam teraz, rozmyślając żałośnie o tym, co mogłoby być, gdyby tylko...

Fran potrząsnęła głową. To był niestosowny wybryk wyobraźni dla opierającego się na faktach dziennikarza – obdarzać statek zdolnościami do odczuwania smutku. To jej mąż myślał w ten sposób. John szczerze wierzył, że statki mają dusze, odczuwają ból i podniecenie, wzdychają ciężko i prowadzone przez nieudolnych sterników potykają się o nieprzyjazne fale. Natomiast w rękach utalentowanych nawigatorów, pełne euforii, przemierzają szerokie wody, dumnie zadzierając do góry głowy.

Prawie nieświadomie zaczęła wciągać ją intrygująca rozmowa na temat ropy, prowadzona przez dwóch panów przy kominku, kiedy do stolika podeszła pani McAllister.

– Czy podać coś jeszcze, panienko? Grzanek, a może jeszcze herbaty?
– Nie, dziękuję bardzo, pani McAllister. Wszystko było cudowne. To najlepsze śniadanie, jakie zdarzyło mi się zjeść od dłuższego czasu.

Pani McAllister wyglądała na zadowoloną.

– Dbam o to, by dogadzać swoim gościom. Mam nadzieję, że smakowała pani i panu Dugganowi kolacja, którą wam wczoraj zostawiłam?

– Bez wątpienia była to także najlepsza kolacja, jaką jadłam. Jeszcze raz dziękuję.
– Och, cała przyjemność po mojej stronie. To bardzo miły młody człowiek, ten pan Duggan.

Dwaj mężczyźni wstali od stolika. Jeden westchnął, po czym zażartował:

– Wspinanie się po tych cholernych drabinach po takim posiłku wykańcza mnie kompletnie. Dlaczego taki VLCC musi aż tyle wystawać nad wodę, Ed?

– To proste. Inaczej musieliby go nazwać VSCC – uśmiechnął się drugi. – Bardzo Mały

Przewoźnik Ropy, Roger!

– Czy to ludzie z „Panoco”, pani McAllister? – zapytała Fran zaciekawiona, gdy już wyszli.

– Z jakiejś dużej kompanii w Londynie, pani Herschell. Podejrzewam, że interesuje ich jakość ropy przywożonej przez duże statki do Quarsdale. Zawsze rezerwują sobie miejsca w „Meall Ness”.

– Eksperci – przytaknęła Fran. – Niezależni specjaliści.

– Zna się pani na tankowcach? – pani McAllister zdziwiła się, że dobra Szkotka może okazywać zainteresowanie tematem tak bardzo zdominowanym przez mężczyzn.

– Tak naprawdę to nie – odpowiedziała pośpiesznie Fran. – Ale mój mąż jest w marynarce handlowej. Czasami opowiada o nich.

Gospodyni podniosła imbryk z herbatą, po czym zawahała się, wyraźnie zaintrygowana.

– Pan Duggan powiedział mi, że pisze pani do gazety. Czy chce pani jakieś... – pani McAllister popatrzyła ukradkiem dookoła i zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu – ...jakieś niezwykle informacje sprawdzić, pani Herschell? Czy dzieje się coś, co można by uznać za, no, niekonwencjonalne w naszej małej społeczności?

No, to wyjaśnia pani sprawę, pani McAllister – pomyślała Fran. Nie odkryła w pani McAllister do tej pory żadnej wady, ale, na szczęście, większość ludzi je miała. W przeciwnym razie ludzie nie byłiby ludźmi, a dziennikarze pisaliby bardzo nudne artykuły.

– Niestety, nie – odpowiedziała łagodnie. – Mój wydawca chce jedynie, żebym napisała artykuł przedstawiający wpływ „Panoco” na waszą społeczność. W jakim stopniu, po siedmiu latach istnienia terminalu, zmieniło się wasze życie w Quarsdale.

Pani McAllister wyglądała przez chwilę na lekko rozczarowaną. Potem jej twarz rozjaśniła się.

– Och, chwała ci za to, dziewczyno – powiedziała szczerze. – Nie ma chyba w promieniu dwudziestu mil osoby, która by nie dziękowała codziennie dobremu Bogu za szczodrość, jaką nas obdarzył, dając nam tę platformę rozładunkową w zatoce.

Fran potrzebowała paru minut i następnego papierosa, aby przetrwać słowa pani McAllister.

I zastanowił się kolejny raz, kto w Vaila, celowo lub nie, chciał ukryć prawdę o terminalu Rora.

Jak również, co było tą prawdą.

Kiedy dzienny ekspedytor Thomson otrzymał w południe komunikat meteorologiczny, zapisał skrętnie w dzienniku, iż przewidywano przed północą nagły spadek temperatury, zachmurzenie ograniczające widoczność do osiemnastu kilometrów i, co bardziej istotne dla pilota McDonalda na pokładzie przycumowanego VLCC, wiatr zmieniający się na południowo-zachodni, w porywach sześć do ośmiu.

Przewracając z nudów strony dziennika, z irytacją potrząsnął głową nad widniejącym na jednej ze stron kleksem. Reg potrafił być tak cholernie nieuważny. Będąc eksmarynarzem, Bill Thomson przywiązywał wielką wagę do schludności – nalegał między innymi, aby zapisy w dzienniku były czytelne. Tak, jak zostawił to Blair, nie można było nawet odcyfrować imienia *Calauria*.

Ktoś mógłby pomyśleć, że statek, który wczoraj o osiemnastej pięćdziesiąt sześć przycumował swoją lewą burtą do przystani, nagle postanowił... zatrzeć po sobie wszelkie ślady!

Na statku

Jak na ironię, z wielu rodzajów statków typem najbardziej odpornym na żywioły morza jest, dzięki pławności ładunku, statek jednocześnie najbardziej narażony na korozję – też z powodu rodzaju ładunku. Każda pochodna ropy jest wrogiem statku; zagorzałym i wiernym sprzymierzeńcem korozji w wojnie na wyczerpanie przeciwko stali.

Tankowce skazane są więc na krótkie życie. Nawet jeśli się je stale konserwuje, systematycznie odnawia odporne na rdzę elementy, wymienia starzejące się części. Jeśli pozbawi się je tych środków ochronnych – umierają jeszcze szybciej. Wyrok śmierci zostaje ogłoszony w momencie, kiedy armatorzy zdecydują, że stały się niezdolne do życia, że utrzymywanie ich w zamian za lojalną służbę przestało się opłacać.

Calauria była właśnie takim tankowcem – osłabionym przez raka, chociaż nie miała jeszcze jedenastu lat. Służyła jeszcze całkiem dobrze, chociaż dwa lata przed jej przybyciem do terminalu Rora postawiono diagnozę, iż jest śmiertelnie chora. VLCC posiadają jednak niezwykle umiejętności przetrwania dzięki masywnej budowie ich „kości”. Szkielet może zostać poważnie naruszony, ale ciągle trzyma się w jednym kawałku. W pierwszej fazie śmiertelnej choroby zdolność funkcjonowania statku nie zmniejsza się. Nieustannie natomiast zmniejsza się margines bezpieczeństwa.

Choroba *Calaurii* nie została spowodowana brakiem serca ze strony pierwszych właścicieli. Faktycznie byli jej bardzo oddani, dbali ze szczerym poświęceniem o jej dobre samopoczucie, kiedy była młoda i piękna. Niestety, nigdy nie była statkiem zbyt zdrowym. Już na początku życia zaczęła poddawać się korozji, a proces jej powstrzymywania okazał się bardzo kosztowny. Wstrząsały ją niebezpieczne drgania, a w jej strukturze widoczne były zniekształcenia powstałe z niewiadomego powodu. To samo dotyczyło przegród pomiędzy zbiornikami. Po ośmiu latach kosztownego serwisu sprawy były już poważne. Podczas rutynowego badania w Singapurze odkryto, ku strapieniu armatorów, dalsze słabe punkty jej struktury. Kontrolerzy powiadomili i tak już rozczarowanych właścicieli, że statek znajduje się w krytycznym stanie: tak naprawdę wymagał generalnego remontu.

Calaurii odmówiono jednak szansy na przedłużenie bezpiecznego życia. Zdecydowano, że w jej przypadku dość już tej zabawy i że handlowa przezorność nakazuje, aby zmniejszyć straty i pozbyć się czegoś, co może okazać się finansowym fiaskiem. Wystawiono więc ją na sprzedaż „bez gwarancji, w stanie po inspekcji”.

Oczywiście, musiała przejść w ręce jakiejś firmy działającej pod „banderą wygodnictwa”. Według brytyjskich przepisów morskich czy też holenderskich, duńskich

lub norweskich standardów nigdy nie wydano by zaświadczenia, że jest bezpiecznym statkiem.

Jakiś liberyjski inspektor musiał jednak uznać, że tak było. Musiał, ponieważ inny urzędnik w Afryce natychmiast wystawił *Calaurii* zaświadczenie wskazujące, że było wielce nieprawdopodobne, aby statek w normalnych warunkach utonął lub rozpadł się na kawałki albo też... wyleciał w powietrze.

Trzeba przyznać, że było to rzeczywiście mało prawdopodobne.

Tak długo, jak długo nie nadużywano możliwości statku. Tak długo, jak nie obciążano tej masywnej struktury dodatkowymi kilogramami. Zapasy jej sił zostały wyczerpane. Nie można też było mówić o marginesie bezpieczeństwa.

Nic z niego nie zostało.

Rozdział VI

Sobota: popołudnie

W tę ostatnią sobotę, kiedy nadeszła pora lunchu, słońce wciąż świeciło. Kilka osób zebrało się na ulicy Reform, aby wspólnie zachwycić się tym pięknym dniem, by złapać parę promieni słońca po ponurym i smętnym okresie noworocznym. Jeemie Fairbairn, listonosz, wyraził nawet opinię, że „jeszcze jeden taki poranek, a wszyscy Hiszpanie z Marbella będą chcieli spędzać w Quarsdale swoje zimowe wakacje!”

Większość z tych, którzy pracowali w nocy, wciąż spała. Niektórzy spokojniej niż inni.

Pokładowy Wullie Gibb spał, co było w jego zwyczaju, jak niemowlę. Zwinięty w kłębek w sypialni matki, z kciukiem w buzi, dostarczał jej stresów, gdyż nie mogła odkurzyć jadalnego pokoju w obawie, że hałas go zbudzi.

Pani Gibb zawsze cieszyła się, kiedy *William Wallace* kończył swoją dwutygodniową służbę w zatoce jako holownik przeciwpożarowy. Nawet bez konieczności chodzenia na palcach w biały dzień z pokoju do pokoju wystarczająco ciężko było prowadzić dom i zajmować się trzema młodymi mężczyznami oraz córką. Byli to dwaj synowie oraz pierwszy i jedyny oficer holownika – Eck Dawson. Ten ostatni spędzał teraz tak wiele czasu w małym domku przy Blantyre Place 27, nie odstępując jej córki Katriny, że równie dobrze mógłby być jej własnym synem.

Pana Gibba nie było. Nie było go od grudnia 1971, kiedy to *Brackenbrae*, frachtowiec z Glasgow, spotkał się ze wschodnioniemieckim przewoźnikiem *Gutermann* w środku mglistej nocy przy wybrzeżach Nowej Fundlandii. Dziób *Gutermanna* wbił się prosto w siedzibę podoficerów *Brackenbrae*, jednemu z nich ścinając głowę, robiąc krwawą miazgę z mechanika, kucharza i młodszego stewarda oraz obcinając nogi stolarzowi Gibbowi tak dokładnie, jak gdyby zrobił to on sam własną piłą.

Prawdopodobnie wykrwawił się na śmierć uwięziony w tym, co zostało z jego kajuty, lub może sam wstrząs wystarczył, by go zabić. Przynajmniej już nie cierpiał, kiedy morze wdarło się w rozpruty *Brackenbrae* i pociągnęło go na miejsce wiecznego spoczynku – tuż obok wraku czegoś, co kiedyś było eleganckim włoskim transatlantykiem *Andrea Doria*. Ten arystokrata morski z pewnością w dniach swojej świetności nie życzyłby sobie mieć cokolwiek wspólnego z tak miernym brytyjskim frachtowcem. No, ale dno oceanu jest bardzo kosmopolityczne i wspaniale niweluje wszelkie różnice narodowościowe.

Wullie miał wtedy jedynie dziewięć lat. Ci z załogi *Brackenbrae*, którzy ocaleli, przysłali prawie dwadzieścia trzy funty zebrane dla owdowiałej pani Gibb. Ona płakała nieprzerwanie przez tydzień, po czym poszła na pocztę i kupiła za owe dwadzieścia trzy funty znaczki oszczędnościowe.

Podzieliła je równo pomiędzy dzieci, sobie natomiast nie zostawiła nic.

Niewyraźne zdjęcie Chippie Gibba, oprawione w szylkretową ramkę, wciąż stało na komódce. Musiało padać, kiedy je robiono, ponieważ pan Gibb, zarosnięty potężnie jak przystało na żeglarza, ubrany był w nieprzemakalny płaszcz. Wullie nic nie mógł poradzić na to, że kiedykolwiek spojrzął na portret zmarłego ojca, natychmiast przypominała mu się popularna reklama sardynek w oliwie.

Pilot McDonald spał tego popołudnia, usiłując nadrobić godziny snu stracone w czasie nocy. Praca na pokładzie VLCC miała tę zaletę, że po paru dniach intensywnej służby można było pozwolić sobie na parę dni odpoczynku. Wtedy właśnie Archie – który uwielbiał łowić pstrągi i wykorzystywał każdą okazję, aby wyruszyć na łowy z wędką, muchami i termosem kawy – wspinał się po pagórkach do jednego z pięćdziesięciu rzadko odwiedzanych górskich stawów, gdzie woda była przejrzysta jak lód i równie zimna. Tam właśnie, z delikatnością równą tej, jaką przypisuje się chirurgom, kusił tłuste, brązowe ryby przysmakami, których nie mogło sobie odmówić żadne rybnie podniebienie. Czekał na moment, aż koniec wędki zacznie drgać, sygnalizując, że najmniej ostrożny pstrąg dał się skusić na smakowitą muchę.

Czasami ten moment nie nadchodził w ogóle. Wtedy Archie McDonald wracał do domu z pustą torbą. Mimo wszelkich wysiłków zdarzało się to bardzo często. Ale na tym właśnie polegała cała przyjemność wędkarstwa, którą doceniał już jego dziad i ojciec. Nigdy nie było pewności co do efektów. Zawsze jednak była nadzieja, że uda się zwabić coś naprawdę godnego uwagi.

Tego sobotniego popołudnia pilot McDonald nie był zbyt entuzjastycznie nastawiony do perspektywy czuwania przez jeszcze jedną noc. *Calauria* zakończy rozładunek dopiero jutro i zanim wyprowadzi ją z zatoki aż do punktu na południe od Sgeir Garth, gdzie czekać będzie na niego kuter, zrobi się bardzo późno. Wtedy dopiero – nie wcześniej – przekaze kapitanowi Bisaglii dowództwo nad statkiem, zejdzie z niego po najdłuższej drabinie świata i będzie mógł udać się wreszcie do domu i do łóżka.

Chyba że będzie miał wyjątkowego pecha. Jeśli pogoda pogorszy się (co nie było wykluczone o tej porze roku) i ocean rozszaleje się u wejścia do zatoki, to nawet osłona od wiatru, jaką zapewni kutrowi wielki kadłub *Calaurii*, nie pozwoli pilotowi McDonaldowi opuścić statku. A wtedy będzie musiał pozostać na *Calaurii* aż do momentu, kiedy uda się wysadzić go na brzeg gdzieś indziej. W zeszłym roku Duguid dopłynął aż do zatoki Cardigan; przedostatniej zimy Archie McDonald skończył rejs w Rotterdamie. Dwa razy. Sześć lat temu kapitan Denby, starszy pilot „Panoco”, został właściwie porwany. Wesolutki grecki dowódca tankowca kategorycznie odmówił zatrzymania statku i nie pozwolił zbliżyć się żadnemu śmigłowcowi, zanim nie dotarł do kolejnego portu. VLCC płynął zupełnie pusty, nie miał więc już nic do dostarczenia w Europie. Denby przyleciał do domu dwadzieścia dni później prosto z Ras al-Tanura w Zatoce. Opalony, pełen nadziejących liści winogron i greckiej wódki, przejawiając wyraźną skłonność do wykonywania tańca Zorby. Wyglądało na to, że szalony Grek po prostu zdecydował, iż jego szkocki pilot pilnie potrzebuje wakacji w słońcu.

McDonald założył swój anorak i przygotował się do wizyty w pompowni, aby sprawdzić przebieg rozładunku. Modlił się w duchu, żeby pogoda utrzymała się aż do czasu wypłynięcia *Calaurii*. Jej następnym przystankiem był Europoort, gdzie zaplanowano niewielkie naprawy, których, przypuszczalnie, armatorzy nie mogli już odkładać na później.

A ostatnim miejscem, w którym pilot McDonald chciałby się znaleźć, był Rotterdam.

Przynajmniej w zimie.

Ekspedytor Blair nie spał zbyt dobrze tego sobotniego przedpołudnia. Zwykle po nocnej pracy – która nie była niczym specjalnym dla byłego marynarza przyzwyczajonego do nocnej służby – spał jak zabity aż do piątej, kiedy to Ella przychodziła do sypialni z dwiema filiżankami herbaty i zaczęli rozmawiać. Czasami, jeśli nie mieli sobie zbyt wiele do powiedzenia, siedzieli po prostu i w ciszy trzymali się za ręce. Ten sposób wyrażania uczuć był do niedawna – dlatego że Reg spędził pierwsze dziewiętnaście lat małżeństwa w służbie – czymś zupełnie wyjątkowym.

Chyba że Ella miała właśnie depresję z powodu uwięzienia w Vaila. Skoro tylko Reg zauważał oznaki niezadowolenia Elli, wydawał się zamykać w sobie, odsuwać od niej. Z kolei ona – ponieważ naprawdę go kochała i zdawała sobie sprawę z własnego egoizmu – wiedziała, że minie parę dni, zanim znów będą trzymać się za ręce, i czuła się winna.

Tego dnia obudził się przed drugą, wciąż zmęczony po pięciu godzinach snu. Z rękami podłożonymi pod głowę leżał patrząc w sufit, przysłuchując się odgłosom dochodzącym z kuchni. Ella śpieszy się, jak zwykle zresztą, aby wszystko zrobić na czas. Wyczyścić buty do gry w piłkę nożną, znaleźć koszulkę, która powinna być wyprana po ostatnim meczu Kena w zeszłą sobotę i której siedemnastoletni Ken mógłby, do jasnej cholery, sam trochę wcześniej poszukać. Reg w wieku lat siedemnastu był w Marynarce. Sam musiał dbać o własne rzeczy i, jeśli nie daj Boże, nie stawiał się do raportu o określonej godzinie i prezentując się odpowiednio, to bardzo ciężko potem tego żałował.

– Kurde! – wyrwało mu się głośno. Oparł się na łokciu, by wyrzeć przez właz... cholera, przez okno. Musi wreszcie przestać myśleć o Marynarce; był teraz, od dłuższego czasu zresztą, zwykłym panem Blair, a nie dowódcą baterii na okręcie.

Ponad domem inspektora kontroli zanieczyszczenia Trelawneya – znajdującym się po drugiej stronie ulicy i należącym tak jak i dom Blaira do kompanii – słońce starało się przedrzeć przez szarą powłokę chmur. Po raz pierwszy od wielu tygodni krople deszczu wysychały powoli, pozostawiając po sobie na szybie przypadkowe wzory. Przypomniały mu się znowu gorzkie słowa Elli, wypowiedziane zeszłego wieczoru. Porównywała ich życie w Vajla do życia w Arabii Saudyjskiej i jedyną różnicę widziała w tym, że „w Arabii Saudyjskiej nie lało bez przerwy!”

Wydawało się, że Ella nie lubi słońca, nie lubi deszczu i nie lubi ropy, ponieważ przez nią Reg musi pracować po nocach. Ale z pewnością nie lubiła też ubóstwa. Jakie więc było wyjście z tej sytuacji?

Ze zdenerwowania zacisnął pięści. To właśnie pragnienie uszczęśliwienia Elli było główną przyczyną, dla której zdecydował się opuścić Marynarkę u szczytu swojej kariery. I tak naprawdę, nigdy nie udało mu się zerwać ze swoją przeszłością na morzu. Teraz z kolei Ella starała się delikatnie zmusić go do porzucenia dobrze płatnej roboty w „Panoco”. I po co? Aby przejść na zasrany zasiłek?

Nocny ekspedytor terminalu Rora odwrócił się od okna i zaczął bezmyślnie gapić się na przegrodę... na pieprzoną ścianę!

Być może, nieświadomie tym razem, robił to, czego chciała Ella. Jezu Chryste, nie byłaby w stanie zrobić tego lepiej! Nawet gdyby zabrała się za to sama, nie mogłaby po prostu lepiej spieprzyć jego ewentualnej dalszej współpracy z „Panoco”.

Chciałby być troszkę mniej impulsywny. W najlepszym przypadku nic się nie zmieni.

W najgorszym... Jeśli jego działanie spowoduje niewielkie nawet poruszenie wśród władz, szybko znajdą sprawcę tego zamieszania. A pracodawcy, szczególnie ci wielonarodowościowi, nie tolerowali braku lojalności. Nawet jeśli przejawiał się on jedynie w formie bardzo nieśmiało wyrażanej troski o... po prostu – o ludzi.

Nie miał wtedy odwagi tego podpisać. Teraz ekspedytor Blair szczerze żałował, że miał odwagę w ogóle to napisać.

Ten cholerny list do *Obywatela Północy*.

Kapitan Bisaglia postanowił, że sobotni lunch zje na lądzie.

Czuł się całkiem rześko i mniej na bakier z otaczającym go światem. Już wcześniej zalecił swoim oficerom, aby podczas postoju w porcie wzywali go w razie potrzeby. Ale nie było dotąd takiej sytuacji. Miał za sobą spokojną noc. Spał smacznie, budząc się tylko raz, o czwartej rano, jedynie z przyzwyczajenia. Zrobił krótką rundkę po pokładzie, złożył wizytę w pompowni i pogawędził z drugim oficerem De Mitą; ot tak, aby upewnić się, że rozładunek *Calaurii* przebiega prawidłowo.

Jego spokój w dużym stopniu spowodowany był rosnącym zaufaniem do możliwości pierwszego oficera Spediniego. Ten młody człowiek miał przed sobą wspaniałą przyszłość. Nawet to, że komputer pokładowy odmówił chwilowo posłuszeństwa, nie wydawało się go niepokoić w stopniu, w jakim zatrwożyłoby wielu innych oficerów. Te dodatkowe obliczenia, konieczne do przygotowania planu rozładunku, zostały dokonane przez Spediniego ze spokojem i sprawnością. Nawet kapitan Bisaglia, który będąc niegdyś pierwszym oficerem szczyił się łagodnym, nietypowym dla większości jego włoskich kolegów temperamentem, miałby trudności w rywalizowaniu ze Spedinim.

No, ale Bisaglia nigdy nie myślał nawet o przygotowywaniu tak skomplikowanego planu na pokładzie zwykłego, starego T2. Jego pokolenie nie było rozpuszczone przez tak dziwne urządzenia, jak komputery pokładowe. Nikt go nie kształcił w tym kierunku, ale też nie było takiej potrzeby. Pływali na statkach, które były dość odporne na to, co z nimi wyczyniano, i po najgorszych nawet przejściach wracały zawsze do normy. Dawnymi czasy, kiedy statki były tak konstruowane, by służyć jak najdłużej, a pływały na nich załogi prawdziwych żeglarzy, nie zaś uczniaków, tankowce budowane były w ten sposób, że mogłeś żonglować „paczkami” ropy bez wstępnych matematycznych obliczeń godnych finezji Einsteina. Oczywiście, dokonywano obliczeń – ale były to obliczenia według tabel i według informacji dostarczonych przez konstruktorów. Przydawało się i doświadczenie, bo większość tankowców miała wtedy ujednoliczoną konstrukcję. I prawie zawsze twój tankowiec przebaczał, jeśli ci zdarzyło się być niezbyt dobrym fachowcem.

Mimo wszystko kapitan Bisaglia czuł się trochę winny, myśląc o ostatnich wysiłkach swojego pierwszego oficera. Powinien był przyrzeć się dokładniej planowi Spediniego. Chociaż udać zainteresowanie. Z pewnością miałby wielkie trudności w zrozumieniu bardziej szczegółowych wywodów dotyczących stabilności *Calaurii*, ale na pewno sprawiłby przyjemność młodemu człowiekowi, co wynagrodziłoby jego wysiłki.

Wielu dowódców wzruszyłoby po prostu ramionami i warknęło: „No i co z tego? Mój zastępca musiał pracować równie ciężko, jak robiłem to ja w jego wieku. W końcu za to mu płacą.”

Bisaglia nie myślał w ten sposób. Był delikatnym, miłym człowiekiem, który nigdy świadomie nie wyrządziłby nikomu krzywdy.

Miło byłoby pomyśleć, że spędził tę ostatnią sobotę przyjemnie. Tak pewno było. Nawet jego nawykowe zdenerwowanie zmniejszyło się znacznie – ten usprawiedliwiony, niestety, niepokój

o własne kompetencje. Szczególnie po tym, jak cumowanie statku odbyło się bez żadnych problemów.

Lunch z Dugganem w „Meall Ness” okazał się wielką przyjemnością. Jedzenie w niczym nie przypominało tego, które *Guardia Marina* Bisaglia spożywał bez entuzjazmu jakieś czterdzieści lat temu. Szczególnie *cockaleekie*, specjalność pani McAllister. Była to skromna szkocka potrawa; przeróżne warzywa w rosole tak delikatnym, że kapitan delektował się każdą łyżką, aby smak pozostał mu już na zawsze w pamięci. Był to szczerzy hołd złożony przez człowieka, który jadał we wszystkich prawie krajach świata. Nawet duszona dziczyzna, mięciutka jak najlepsza cielecina i cudownie soczysta, w sosie, którego zapach wskazywał na zawartość whisky, zeszła na drugi plan. Jeśli zaś chodzi o pudding... Szczerze mówiąc, Tommaso Bisaglia nie miał już miejsca na pudding. Jeśli dałby się skusić na *atholl brose*, to wyrazy uznania dla kucharskiego mistrzostwa pani McAllister mogłyby przyjąć zbyt wylewną formę. A to zburzyłoby raz na zawsze mit o jego łagodnym temperamencie, z którego był tak dumny.

Duggan też bawił się nieźle. Zaprosił kapitana całkiem spontanicznie, gdy tylko skończył swoje zmagania z dokumentacją dotyczącą *Calaurii*. Godziny pozostałe do obiadu, na który umówił się z Fran, wlekły się niemiłosiernie. Poza tym wicedyrektor Rora czuł się upoważniony do skromnej celebracji na koszt firmy. Przyjęcie kapitana Bisaglii było dość ważnym momentem w karierze Duggana, jako że po raz pierwszy powierzono mu całkowitą odpowiedzialność za rozmieszczenie ładunku na ogromnej stacji zbiorników. Duggan ciężko pracował, aby zdobyć takie zaufanie. Dowiódł w „Panoco”, iż bywa bezwzględny pracownikiem obdarzonym dużą siłą przebicia.

Podczas tego przyjemnego posiłku starszy kapitan i młody człowiek na kierowniczym stanowisku rozmawiali o wielu rzeczach. Nie poruszyli jednak tematu niewoli i wojny, która się skończyła, zanim jeszcze Duggan się urodził. Angielski kapitan, łamany z początku z powodu braku wprawy, stał się bardziej płynny w momencie, gdy zaserwowano kawę i koniak.

Było już późne popołudnie i słońce poddawało się szarości zimy. Chwiejąc się lekko, zegnali się wreszcie z panią McAllister i hotelem „Meall Ness”, a Duggan, zupełnie jak generał MacArthur, solennie obiecywał tu powrócić. Zastanawiał się przy tym, jak u diabła uda mu się zjeść jeszcze jeden posiłek pani McAllister w towarzystwie Fran Herschell. Kapitan natomiast – zawsze pamiętający o potrzebach innych – wyruszył z pogodnym, acz zamglonym spojrzeniem na wędrówkę trasą sklepów z upominkami.

Wyglądało na to, że mechanik Borga miał problem hydrauliczny. To znaczy, miał go statek. Zmuszało to pierwszego oficera do zmodyfikowania planu trwającego ciągle rozładunku. Nieszczęsny Spedini, potwornie przepracowany z powodu braku wsparcia komputera, nie miał wolnej chwili, aby choćby popatrzeć na wystawy. Poprosił więc kapitana o kupienie w Vaila dwóch rzeczy.

Zamówienie na materiał w szkocką kratę kapitan był w stanie zrozumieć. Oczywiście, jako człowiek światowy, nie miał nic przeciwko takim zachciankom chłopca. Ale druga...

No, żeby być całkiem szczerym, wydawała się ona lekko zamroczonemu alkoholem Bisaglii nieco dziwna. Żeby normalny młody człowiek, taki jak jego pierwszy oficer, wyrażał pragnienie posiadania... szkockiej laleczki?

Zgodnie z życzeniem Spediniego musiała to być lalka rodzaju żeńskiego. Z długimi czarnymi włosami, ubrana w... szkocką spódniczkę.

Kiedy taksówka Daviego Coulla – jedna z dwóch istniejących w Vaila (no bo kto potrzebuje taksówki, aby pojechać na stację, skoro nie ma żadnej stacji w promieniu czterdziestu mil?) – zatrzymała się przed dużym domem na Fariskay, Fran wysiadła i stała przez chwilę, patrząc w kierunku odległego miasta.

Słońce wykorzystało niewielką przerwę między chmurami i oświetliło Vaila. Miasteczko wyglądało jak baśniowa wioska z migoczącymi w promieniach słońca oknami, z jasną wieżą kościoła górującą nad domami niczym czarodziejska różdżka rzucająca wyzwanie mrocznym górcom. Fran pomyślała, że jest tu tak pięknie, iż miło byłoby mieszkać tutaj stale.

Zauważyła, że słoneczne promienie nie dotarły do zatoki, że olbrzymi kształt tankowca, spoczywającego przy przystani, był wciąż czarny niczym jezior potwora. Wznosił się nad tym pięknym miastem wyżej niż wieża kościelna i przez to wydawał się dominować, niemalże czerpać swoją moc z tego miejsca, które go ugościło.

Wstrząsnął nią dreszcz i uświadomiła sobie, że samo myślenie o Dugganie nie pomoże jej pozbyć się złych przeczuc.

– Tak, ma pani rację, pani Hirsel. To było takie spokojne, śliczne miasteczko, zanim przyszedli ci wandale – dobiegł ją z tyłu energiczny głos.

Odwróciła się. Radna McLeish stała w drzwiach z założonymi rękami.

– Herschell – automatycznie skorygowała Fran. – Fran Herschell, pani McLeish.

– Chodź do środka, dziewczyno. Herbata już prawie gotowa i może znajdę jakieś ciasto, jeśli masz serce, aby psuć swoją śliczną figurę.

– Ludzie prasy ciągle znęcają się nad swoimi ciałami – uśmiechnęła się Fran, podążając za panią McLeish najpierw przez hall, którego ściany pokryte były dębową boazerią, potem przepięknie wyrzeźbionymi schodami, aż do pokoju tak ogromnego i zarazem tak ciepłego, że połączenie to wydawało się nieprawdopodobne. – *Fast food* i przekąski o północy.

– To się nazywa „postęp” – pani McLeish skomentowała sucho i zniknęła w kuchni. – Jak muzyka pop, wojny drobnoustrojów i te beczki z prochem, nazywane przez niektórych superstatkami.

Wróciła po chwili z tacą pełną domowych wypieków, które wystarczyłyby do nasycenia pułku wojska.

– Musisz spróbować mojej galaretki agrestowej – bardziej rozkazała, niż zaprosiła. – Poczujesz smak lata, obiecuję.

– Jak pani to wszystko robi? – Fran zapytała ze szczerym podziwem. – Jest pani radną, działa w sześciu komitetach i do tego gospodyni domowa.

– Wykorzystuję cały czas, jaki Bóg mi ofiarowuje – bez namysłu odparła pani McLeish. – Chiński Gordon mawiał, że każda minuta jest cenna; zmarnujesz jedną i przepadła już na zawsze.

– Chiński Gordon?

– Znasz go lepiej jako generała Gordona z Chartumu. Oczywiście Szkot. Wspaniały zresztą.

– Jest pani kobietą pełną niespodzianek, pani McLeish. Czemu się pani tak sprzeciwia istnieniu terminalu Rora?

– Jest pani bardzo bezpośrednia, pani Herschell.

Fran przybrała niewinny wyraz twarzy.

– Czyż nie powiedziała pani, że minuty są cenne?

Gospodyni zmierzyła ją wzrokiem, w którym malowały się ślady rozbawienia.

– Dlaczego nie pracujesz dla jakiejś lepszej gazety, jak na przykład *Scottish Daily Express*?

Mam przeczucie, że mogłabyś, gdybyś tylko chciała.

– Prawdopodobnie z tego samego powodu, dla którego nie jest pani członkiem parlamentu tylko radną, pani McLeish. Szkocka Partia Nacjonalistyczna ma tu dobrą pozycję. Jestem pewna, że wybrano by panią, gdyby tylko pani chciała.

Radna McLeish uśmiechnęła się po raz pierwszy. Nie wyglądała nawet w połowie tak groźnie jak wówczas, gdy na jej twarzy malował się wyraz powagi.

– Dajesz mi grzecznie do zrozumienia, że jestem zbyt małomiasteczkowa?

– Obie jesteśmy zadowolone z tego, co robimy. A zadowolenie zabija ambicje.

– Ja po prostu chciałabym zobaczyć, jak Vaila i Quarsdale znowu prosperują – powiedziała radna. – Należę do siódmego pokolenia ludzi, którzy zawsze tu pracowali dla naszego małego społeczeństwa. Nie chcę, aby pamiętano mnie jako kogoś, kto przewodniczył w unicestwianiu tej społeczności.

– To dlaczego jest pani tak przeciwna istnieniu terminalu? – Fran spytała ponownie. – Czy inwestycja „Panoco” nie jest zbawieniem, którego pani szuka? To cud ekonomiczny, z którego inne regiony Szkocji byłyby bardzo rade.

W oczach pani McLeish pojawił się nagle cyniczny błysk.

– Domyślam się, że zatrzymałaś się u Maggie McAllister w „Meall Ness”.

Fran zaczerwieniła się.

– Dlaczego pani to mówi?

– Niemal ją cytujesz, dziewczyno. Czy wiesz, ilu osobom tygodniowo „Panoco” rezerwuje miejsca w „Meall Ness”? Nadzorcy, eksperci, przedstawiciele kompanii naftowych, zarządcy różnych tankowców.

– Och! – wymamrotała Fran, zła na siebie, iż nie zorientowała się, dlaczego dobra pani McAllister była tak zainteresowana ropą.

– Tak! – gardłowy chichot złagodził trochę ten nieukrywany krytycyzm. – Nie można zaprzeczyć, że wielkie statki są dla Maggie McAllister cudem ekonomicznym. Siedem lat temu zdarzało jej się gościć paru biznesmenów i turystę lub dwóch przez całe lato. Teraz natomiast ma interes wart sto tysięcy funtów.

– Ale chyba są i inni, którzy na tym skorzystali? Chociażby właściciele sklepów, punktów usługowych, a już na pewno ludzie zatrudnieni w „Panoco”...

– Uważam, że to chwilowe korzyści. I trzeba za nie płacić bardzo wysoką cenę. Och, nie myślę wyłącznie o brzydocie otoczenia: te ogrodzenia, stalowe zbiorniki i milami ciągnące się rury, niczym wnętrzności jakiegoś zwierzęcia nastającego na piękno Sróine Rora. Nie mam nawet na myśli zagrożenia dla starych łowisk Quarsdale: stu tysięcy ton czarnej trucizny, która może wyciec jutro, dzisiaj, może w następnej chwili, i zniszczyć łowiska na dziesiątki lat. – Pani McLeish wstała i podeszła do dużego okna, wychodzącego na zatokę. – Widzisz, kiedy powiedziałam wcześniej „unicestwienie społeczności”, miałam na myśli właśnie to. Zupełnie dosłownie!

Kiedy Fran podeszła i stanęła obok niej, wskazała na statek.

– Powiadają, że wewnątrz tych monstrualnych maszyn zgromadzona jest siła niszczenia równa bombie atomowej. Widzisz ten spuchnięty brzuch kryjący katastrofę? A mimo to pozwalają mu leżeć mniej niż pół mili od miejsca, gdzie mieszka dwa tysiące ludzi.

Reporterka spojrzała we wskazanym kierunku. *Calauria* wciąż spoczywała w cieniu: cicha, groźna i ogromna na tle sztucznej wyspy. Ciągle z jakiegoś powodu sprawiała, że po plecach Fran

przechodziły ciarki.

– Czy to cię nie przeraża, dziewczyno? – starsza kobieta spytała cicho. – Czy cię to nie zastanawia? Czy nie budzi wątpliwości przyszłość Quarsdale, które może nie mieć zbyt wiele czasu na rozwój?

Zaczęło to irytować Fran: zamiast przeprowadzać wywiad, musiała się bronić, argumentować za logiką, za normalnym biegiem rzeczy i za tym, w co chciała wierzyć – dla dobra Vaila. I to się jej nie podobało. Była przecież w stanie wyrobić sobie obiektywny, dziennikarski pogląd na sprawę bez wzbudzania w sobie jakiegoś abstrakcyjnego niepokoju. A już na pewno bez poddawania się histeriom miejscowego polityka.

– Jeśli chodzi o zanieczyszczenie zatoki, każdy rozsądny człowiek musiałby przyznać, że ma pani rację. Są podstawy do obaw. Ale jeśli chodzi o całą resztę: tę groźbę śmierci i zniszczenia? VLCC są rozładowywane niemal codziennie, bez żadnych wypadków, pani McLeish. Na całym świecie. Pompuje się na brzeg ropę, a nie ciekły gaz, benzynę czy czystą naftę, które niosą ze sobą dużo większe ryzyko eksplozji. Przyznaję, że żadnego źródła energii nie można uznać za stuprocentowo bezpieczne, ale bez nich nie możemy funkcjonować we współczesnym świecie. Chodzi jedynie o to, aby ryzyko istniejące w tego rodzaju przemyśle nie było większe, niż to jest konieczne, prawda?

Pani McLeish starała się wyglądać pokornie; wyglądała natomiast jak ktoś, komu rzucono wyzwanie.

– Uważasz, że jestem po prostu głupią starą babą, czyż nie tak?

– Wcale nie uważam, że jest pani stara – odrzekła Fran cierpko. – I na pewno nie myślę, że jest pani głupia.

– Tak? – Jej głos był ponownie suchy, lekko sardoniczny. – Czekam więc na dalsze zarzuty dotyczące mojej małomiasteczkowości. Wydaje się, że to trochę niesprawiedliwy podział ekonomicznych cudów, kiedy Vaila ponosi całe ryzyko, a reszta kraju, z Anglią włącznie, korzysta z efektów.

– Sama pani zidentyfikowała winowajcę. Nazwała go pani Postępem. Mogę wyrażać swoje oburzenie na łamach *Obywatela* tak głośno, jak mi się podoba, ale nie mogę cofnąć tego, co już się stało. Nie mogę nawet uczynić nic dla bezpieczeństwa zaniepokojonych mieszkańców Vaila. Chyba że – zawahała się, przypomniawszy sobie list...

– Chyba że co, pani Herschell?

– Kiedy zapraszała mnie pani wczoraj wieczorem, powiedziała pani, że dowiem się wszystkiego, o czym ludzie powinni wiedzieć. Że powie mi pani prawdę. I napomknęła pani o pewnych nieprawidłowościach w działalności terminalu. Co to za nieprawidłowości, pani McLeish? I jak bardzo poważne?

– Myślałam – powiedziała radna McLeish okazując wielką cierpliwość – że już nigdy o to nie spytasz!

W przeciwieństwie do kapitana, pierwszemu oficerowi Spediniemu nie powrócił dobry nastrój.

Natychmiast po tym, jak główny mechanik Borgia przekazał podczas śniadania tę straszną wiadomość, zastępca dowódcy VLCC zagłębił się w kopii *Conditions de Chargement*.* [* Warunki załadowania (franc.) (przyp. tłum.).] Była to broszura omawiająca trzydzieści osiem sposobów rozładunku, opracowanych przez francuskich konstruktorów *Calaurii*. Przetłumaczona została na angielski, niestety, nie przetłumaczono jej jednak na ojczysty język obecnej załogi statku. Nie odkrył

w niej niczego, co mogłoby mu się przydać. Nie oferowała żadnych użytecznych wskazówek na temat przemieszczania ładunku znajdującego się w tym stadium operacji, jedynie nieco niepokojące, wydrukowane na czerwono ostrzeżenie dla dowódców i pierwszych oficerów: „Działać ściśle według zawartych tu poleceń”. Zaszły się więc w swoim biurze i kiedy statek stawał się coraz lżejszy i lżejszy, wylaniając się z wód zatoki Quarsdale wyżej i wyżej, Spedini pocił się nad rosnącą stertą tabel i wykresów napięć oraz czynników obciążających, produkując całe masy zbędnych liczb. I do niczego nie doszedł.

Potwierdzało to fakt, że Mario Spedini był zbyt niedoświadczonym oficerem, aby radzić sobie z tą sytuacją. Dla bardziej zaprawionego oficera oznaczałaby ona konieczność wykonania uciążliwych matematycznych obliczeń, ale nie byłaby kryzysem. Spedini po prostu nie miał ani przygotowania, ani umiejętności, aby zajmować się takim problemem.

Tak więc o godzinie piętnastej tego sobotniego popołudnia, kiedy rozładowano już ze skrzydłowych zbiorników trzy czwarte „paczki” z arabską ciężką, pierwszy oficer Spedini był zmuszony ostatecznie stawić czoło smutnej prawdzie, iż za pomocą tradycyjnych obliczeń nie jest w stanie wykalkulować, jak zostawić zbiornik środkowy i dwa zbiorniki skrzydłowe – oznaczone numerem sześć – puste, aby udostępnić je mechanikom Borgi. A raczej wiedział, jak zostawić je puste, ale nie potrafił ustalić dokładnie, jakie zmiany spowoduje to w równowadze statku; jakim momentem zginającym poddana zostanie mało odporna *Calauria* i, sprawa najistotniejsza, z jakimi dodatkowymi obciążeniami i naprężeniami będzie musiał walczyć kadłub tego superstatku.

Spedini miał jeszcze wtedy parę wyjść z sytuacji.

Mógł wezwać na rozmowę jeszcze mniej doświadczonego od siebie drugiego oficera De Mitę. Na obopólne pranie mózgow w poszukiwaniu wiedzy. Być może, razem doszliby do jakichś wniosków.

Ale tego nie zrobił. Dlatego mianowicie, że Spedini, noszący trzy złote kółka na epoletach, był za dumny, za bardzo bał się o swoją pozycję, aby jakiemuś niższemu rangą oficerowi przyznać się do omyłki.

Mógł skonsultować się ze swoim kapitanem – jeszcze zanim Tommaso Bisaglia wybrał się na ląd na spotkanie z Dugganem. Z całą pewnością powinien był to uczynić; wymagała tego przezorność. Poza tym jego podstawowym obowiązkiem było powiadomić dowódcę o każdym problemie, który mógł zagrozić bezpieczeństwu statku.

Ale tego też nie zrobił. Ponieważ Spedini był zbyt żądny kariery. Za bardzo pragnął, aby patrzono na niego jak na idealnego pierwszego oficera, przez co po zakończeniu kontraktu udałoby mu się uzyskać wspaniałe referencje. Tak potrzebne, aby dowodzić lepszym statkiem.

Mógł nawet – jeśli chociaż trochę lękałby się o swoją najbliższą przyszłość – zatelegrafować do właścicieli w Hongkongu i poprosić ich o pomoc. *Calauria* miała prawie bliźniaczkę: statek pod tą samą banderą przebywający właśnie w Kharg. Mogliby poinstruować hiszpańskiego pierwszego oficera *Pharenii*, aby wprowadził dane *Calaurii* do – miejmy nadzieję – pracującego komputera pokładowego i potem przesłał tak bardzo pożądane wskazówki. Zakładając oczywiście, że ten konkretny Hiszpan z liberyjską licencją nie był równie bezradny w obliczu kryzysu jak Spedini.

Ale on nie rozważył nawet takiej możliwości. Nie tylko bowiem był zdecydowany za wszelką cenę uniknąć jakiegokolwiek krytyki, lecz w dodatku był zbyt z siebie zadowolony. Nie dostał jeszcze nauczki. Ciągle wierzył, że mógł – mówiąc wprost – wyjść bez szwanku z tej kłopotliwej sytuacji. Tak, jak udało mu się to parę razy w przeszłości, dzięki tolerancji starszego kapitana Bisaglii.

Pierwszy oficer Mario Spedini nie skorzystał z żadnej możliwości uratowania statku.
Miało się to okazać najtragiczniejszym elementem w nadchodzącej totalnej katastrofie.

Na statku

Przegrana walka z korozją oznaczała, że po jedenastu latach pracy *Calauria* była w stanie, w którym każdą część jej konstrukcji należało uznać za podejrzaną.

I faktycznie za takie je uznano.

Tak jak to pierwszy oficer Spedini oświadczył już wcześniej inspektorowi kontroli zanieczyszczenia, Trelawneyowi, statek rzeczywiście poddano specjalnej inspekcji w zeszłym roku w Chusan. Zauważono pewne nieprawidłowości i przekazano nowym właścicielom polecenie wykonania napraw.

Zaawansowana korozja w obydwu przednich zbiornikach, prawoburtowym zbiorniku numer 1, lewo- i prawoburtowych zbiornikach numer 2, lewo- i prawoburtowych zbiornikach balastu numer 4, lewo- i prawoburtowych numer 5. Konserwację należy przeprowadzić przez odnowienie metalu lub wymianę całej sekcji...

Niektóre naprawy wykonano natychmiast – te najistotniejsze, konieczne dla utrzymania *Calaurii* na powierzchni wody. Mniej naglące zignorowano po cichu, zakładając, iż jeśli korozja ma postępować z taką samą szybkością w każdej części statku, to razem zniosą one wszelkie obciążenia – może oprócz tych najbardziej niezwykłych – jakich dostarcza morze i ludzka działalność. Albo przynajmniej znosić je będą do czasu ponownego sprzedania statku jakimś, może nawet bardziej niegodziwym, nabywcom.

Tyle że rdza nie kieruje się takimi zasadami. Jest raczej bardziej wyrafinowana w swojej niszczyielskiej działalności.

I bardzo trudno ją oszukać. Próby przechytrzenia rdzy mogą odbić się na oszuście. Choćby zapewniając mu złudne poczucie bezpieczeństwa, które może zabić jego albo – co bardziej prawdopodobne – wszystkich ufających mu współtowarzyszy. W próbach oszukiwania rdzy używa się anod – jako przynęty. Nazywa się je anodami ofiarnymi. To zaś, co się z nimi robi, nazywane jest zabezpieczeniem katodowym. Główny mechanik Borga wiedział wszystko o ofiarnych anodach – podobnie jak kapitan Bisaglia czy nawet pierwszy oficer Spedini. Były one bowiem jedną z niewielu broni, jaką wymyśliła ludzkość w celu zapobieżenia atakom rdzy.

Były w miarę efektywne. Przeważnie. Znajdowały się na pokładzie *Calaurii* od pierwszego dnia jej istnienia. Nowi właściciele statku, świadomi choroby zżerającej jej wnętrze, kontynuowali tę kosztowną katodową zabawę, zakładając, że drobna

naprawa tu i tam uchroni ich od niewyobrażalnych strat w przypadku zatonięcia statku.

A anoda to taka prosta rzecz. Wszystko opiera się głównie na teorii, że jeśli rdza jest głodna, to należy ją nakarmić. Ale nie wolno jej karmić częściami składowymi statku. Nie. Należy ją kusić, wabić, oferując jej kąski bardziej soczyste i bardziej lekko strawne. Na przykład bryłki magnezu albo – równie odpowiednie dla podniebienia rdzy – bryłki cynku.

Nie jest to znowu takie proste – to karmienie rdzy miękkimi odpadkami i dostarczanie nowych kąsków, podczas gdy stal statku pozostaje nienaruszona, błyszcząca i równie mocna jak w hucie. Po pierwsze, to słona morska woda, a nie rdza, zjada te smakowite bryłki. Anody wspawane są w kadłub statku przeważnie w miejscach najbardziej narażonych na ataki korozji. Są to mianowicie te zbiorniki, które z reguły napelnią się balastem. Gdy są pełne, słodka woda działa jak elektrolit, tworząc galwaniczny związek, który z kolei osadza się na stali w postaci cienkiej warstwy ochronnej. W ciągu dwóch, trzech lat każda ofiarna anoda traci swoje właściwości i musi być wymieniona.

Ale, jak to bywa ze wszystkimi genialnymi pomysłami, i tu jest pewien haczyk. I ci, którzy usiłują oszukać rdzę oferując jej nędzny cynk oraz koktajl ze słonej wody, nie mogą sobie pozwolić na jego przeoczenie.

Zróbmy dziurę w pokrywce blaszanej puszki i wypełnijmy ją wodą – jakimkolwiek rodzajem wody. To nie ma znaczenia. Okaze się, że u samej góry pozostaje niewielka pusta przestrzeń, praktycznie niemożliwa do wypełnienia.

Teraz z najbliższego terminalu naftowego wypożyczmy jeden Bardzo Duży Przewoźnik Ropy i spróbujmy to coś wypełnić wodą. Tym razem słoną wodą – takiej bowiem używa się jako balastu. Wystąpią te same trudności, jakie mieliśmy przy napelnianiu puszki. Po prostu nie można pozbyć się tego powietrza. Co więcej – ponieważ mówimy teraz o paru setkach ton wody, a nie o paru kroplach – ta pusta przestrzeń powiększy się do paru centymetrów poniżej poziomu pokrywki puszki.

Przestrzeń ta znajduje się pod stalowym pokładem VLCC. Ludzie pracujący na tankowcach nazywają tę przerwę pomiędzy zawartością a pokrywą zbiornika „ubytkiem”.

Dla nieostrożnych może się on okazać zabójczy, bo wszystko to oznacza, że galwaniczny związek, tworzący się w słonej wodzie będącej balastem, nie osadza się na spodniej stronie pokładu. Po prostu tam nie sięga. Jeśli więc nie zrobi się czegoś, aby ochronić tę wyeksponowaną partię stali, korozja radośnie ruszy do ataku.

Każdy odpowiedzialny właściciel VLCC pokryłby tę płaszczyznę prawdopodobnie warstwą smoły albo jakimś organicznym związkiem cynku, który gwarantuje zabezpieczenie przed rdzą na parę miesięcy czy lat. Bardzo odpowiedzialny właściciel, dbający o bezpieczeństwo załogi i środowiska, już w pierwszym dniu istnienia statku zająłby się wnętrzem jego zbiorników i konserwował je w zależności od potrzeb. Niewielu jednak właścicieli posunęło się tak daleko, bo rzecz jest bardzo kosztowna, a w walce o bezpieczeństwo też istnieją ekonomiczne granice.

W najlepszych latach *Calaurii*, gdy była dumą i przynosiła korzyści, te „ubytki” przestrzenne były starannie konserwowane. Kiedy jednak zaczęła się sypać i wycofano wszelką pomoc finansową, zaprzestano tej podstawowej ochrony przed rdzą.

Nowym właścicielom nie udało się zapobiec przyspieszonemu rozkładowi pokładu przez wymianę najbardziej skorodowanych części.

Znaczyło to, że statek stojący u brzegu sztucznej wyspy należącej do terminalu Rora stracił mniej więcej czterdzieści procent stali z niektórych jego części. Głównie chodziło o podłużne bele wzmacniające główny pokład tego Bardzo Dużego Przewoźnika Ropy.

W szczególności zaś te, które przecinają poprzeczną przegrodę oddzielającą zbiorniki numer 3 od stałych zbiorników balastu numer 4.

W punkcie znajdującym się dokładnie na środku między dziobem a rufą.

W tym stadium rozkładu zbiorniki balastu były ciągle puste, oferując znaczną ilość wolnej przestrzeni. Setki metrów sześciennych pustej przestrzeni.

W określonych warunkach atmosferycznych pusta przestrzeń w zbiorniku jakiegokolwiek statku transportującego paliwo – czy to gigantycznego VLCC, czy też malucha uprawiającego żeglugę przybrzeżną – może zabić od błysku jednej malutkiej iskry, której nie można nawet spostrzec gołym okiem.

Rozdział VII

Sobota: wczesny wieczór

Peter Caird zaczął przygotowywać swoją łódkę, gdy tylko zapadł zmierzch i klub jachtowy zaczął pustoszeć. Vaila ciągle była miasteczkiem, którego mieszkańcy za podstawową rozrywkę uznawali zajmowanie się nie swoimi sprawami. Znalazłoby się wielu, którzy chętnie dociekaliby, dlaczego syn doktora szykuje swoją nędzną szalupę o tej porze roku, którą trudno nazwać sezonem żeglarskim.

Z tego właśnie powodu nie wziął masztu ani żagli ze składu należącego do klubu. Tej nocy potrzebował po prostu środka lokomocji o obojętnych wartościach estetycznych. Kiedy zamierzasz wziąć udział w przygodzie, której cały urok polega na tajemnicy, trudno żebyś ściągał na siebie uwagę wspaniałym białym żaglem łopoczącym w czerni i krzyczącym: „Patrzcie, jestem tutaj!”

Skończył właśnie odwracać łódź, kiedy zobaczył zbliżającą się postać. Przyprawiło go to o chwilowe przyśpieszenie bicia serca.

– Wielkie dzięki – burknął rozpoznawszy Aleca Bella. – Najcięższą robotę już odwalilem.

– Nie jest duża – powiedział niepewnie Alec. – Nie jestem dobrym żeglarzem..

– Nie musisz być! – odparł Peter. – Płynię z mną Shona. Ty zostaniesz z innymi na lądzie.

– Nie sędzę. Właśnie od niej przychodzę. Mówi, że zmieniła zdanie i że zostaje z nami na brzegu... Nie jest tobą w tej chwili specjalnie zachwycona.

– Chryste wszechmogący! – wymamrotał Caird. – Wiedziałem, że nie powinno się w to angażować żadnych kobiet. Szczególnie Shony Simpson.

– Myślę, że uważa cię za półgłówka – zaofiarował się ze swoją opinią Alec, zawsze gotów namieszać. Dodawało mu to pewności siebie i chroniło od ewentualnych przytyków. Peter Caird nie zwrócił na to uwagi, zmartwiony nowym zagrożeniem zarówno dla jego autorytetu, jak i całej operacji. Potrzebne były dwie osoby, a Shona bądź co bądź sporo wiedziała o łodziach. Nigdy nie brakowało jej propozycji przyłączenia się do załóg młodszych członków klubu. Poza tym lubiła przygody. Uważała, że wszystkiego należy spróbować i nie przejmować się konsekwencjami.

– W każdym razie ty ze mną nie płyniesz, jeśli to właśnie zasugerowała reszta – zakomunikował ostatecznie.

Alec z wyraźną ulgą powiedział: „No i dobrze”, po czym odwrócił się, aby odejść.

Caird zawołał pośpiesznie:

– Więc gdzie się wybierasz?

– Do domu. Na herbatę.

– Przecież nie jesteś dobrym żeglarzem – Peter stwierdził trochę bez sensu, tak jakby Bell okazywał przemożną chęć towarzyszenia mu. – Po pierwsze, dostaniesz choroby morskiej.

– To właśnie przed chwilą powiedziałem – zgodził się radośnie Alec. – No to czuwaj!

– Och, Chryste Panie – warknął Caird, widząc, jak cały plan rozłazi się w szwach już po jedenastu godzinach. – Co z McLeanem? Czy on by nie przyszedł?

– Chyba że potraktowałbyś go chlorofilem.

– Chloroformem – Caird mruknął obojętnie.

– Tak. Wiesz, on mówi, że jest profesjonalnym żeglarzem, podczas gdy ty jesteś jedynie amatorem.

– Profesjonalnym żeglarzem? – Peter powtórzył drwiąco. – Wypływał jedynie do Calf Skerry, parę setek jardów stąd, na łódce swojego ojca. I to tylko dlatego, że woli zarabiać na życie mięśniami niż głową.

– On mówi, że będziesz chciał płynąć jako kapitan, bo jesteś snobem.

– To mój pomysł i moja cholerna łódka! – Caird zaczął wrzeszczeć, ale opanował się po chwili. Jeśli uniósłby się honorem, to cały plan należałoby odwołać. Istniała szansa, że jeśli Wielki John McLean wypłyne z nim w środku nocy, to tylko jeden z nich wróci. Uświadomił sobie także – wcale nie dlatego, że bał się McLeana – że nie ma pewności co do tego, który z nich wróci.

– Słuchaj, Alec: to głupota. Zachowujemy się jak smarkacze.

– Ty i Wielki John na pewno – przypomniał mu Alec zgodnie z prawdą. – I Shona. Nie ma w tym, co prawda, nic niezwykłego.

– No dobra, przekonałeś mnie. – Peter westchnął, kurczowo trzymając się wyobrażenia o swoim przywództwie. – Widzę, iż jesteś tak napalony, że pozwalam ci wypłynąć ze mną.

Alec Bell zmarszczył czoło, koncentrując się na tym, co usłyszał. Nie był zbyt bystry, ale wyczuwał, że gdzieś po drodze stracił wątek całej tej dyskusji. Nie można powiedzieć, aby był zachwycony. Ani trochę!

– Jesteś pewien, że muszę?

– Zmiana planów. To konieczność. – Caird wzruszył ramionami, czując, że ponownie panuje nad sytuacją. – Chyba że się boisz, co?

– Nie boję się! – zaprzeczył Bell, mrugając oczami.

Odwrócił się, aby spojrzeć, jak przetaczające się białe grzywy fal, połyskujące w zapadającym mroku, znaczyły koniec zatoki. Z tego mało korzystnego punktu obserwacyjnego, w jakim Alec się znajdował, komin tankowca, leżącego w odległości ćwierć mili, wyglądał jakby podpierał kłębowisko czarnych chmur. Nawet takiemu laikowi, jakim był Alec, sugerowały one nadejście burzliwej nocy.

– Jestem cholernie przerażony! – dodał. Ale po cichu, oczywiście. Tak, aby Caird nie usłyszał i nie zaczął się znowu z niego nabijać.

Reg Blair spuścił wodę, umył ręce i, opierając się o umywalkę, zaczął oglądać swoją twarz w lustrze. Burczało mu w brzuchu. Perspektywa utraty pracy sprawiała, że czuł się jeszcze gorzej.

Usłyszał głos Elli:

– Czy to ty, Reg?

– Zastanawia mnie fakt, że musisz zadawać takie pytania – odparł. Wytarł ręce i wyszedł do przedpokoju.

– Wcześniej wstałeś – powiedziała.

– Nie mogłem spać.

Nie powiedział jej, że leżał nie śpiąc już prawie dwie godziny ani że nie czuje się dobrze.

Zaczynał się znowu od niej odsuwać, a to wzmagalo jego złość.

– Chciałbyś teraz herbatę czy kawę? – Ella weszła do kuchni. – Ken gra jeszcze w piłkę. Zrobię obiad, gdy wróci.

– Przed czy po oczyszczeniu z błota jego cholernych butów? – wymamrotał Reg pod nosem.

– Hm?

– Poproszę o herbatę. – Wszedł za nią do kuchni, usiadł i zaczął dłubać łyżką w cukiernicy.

– Zaraz rozsypiesz – automatycznie zwróciła mu uwagę.

Reg wbił łyżkę w cukier i wybuchnął:

– Jezu Chryste, Ella! Masz jeszcze jakieś uwagi?

Celowo bardzo powoli i dokładnie przykryła imbryk z herbatą, po czym odwróciła się, aby spojrzeć na Rega.

– Nie zmusiłam cię do napisania tego listu, wiesz o tym.

– Czyżby? – zapytał enigmatycznie.

– Co to ma znaczyć?

Nie odpowiedział. Faktycznie, zabrzmiało to głupio.

Czekała chwilę na odpowiedź, ale bezskutecznie. W końcu usiadła przy stole i wzięła go za rękę. Przynajmniej jej nie cofnął.

– Czy ja cię unieszczęśliwiam, Reg?

– Nie! Chryste, oczywiście, że nie!

– To o co chodzi? Czy to ten list? Bo jeśli tak, to nie myślę, abys miał się czym martwić. Nie wydaje mi się, aby gazety zwracały szczególną uwagę na coś, co nie było nawet podpisane.

Wyswobodził swoją rękę z uścisku Elli.

– Powiedziałaś, że nie mam się czym martwić? Jak dostanę kulka w łeb, to ty pójdziesz na zasilek, prawda, Ella? Albo razem będziemy szukać innej pracy, innego domu.

– Wiesz, co miałam na myśli?

– Pewnie.

Znowu stał się cyniczny. Czuł się urażony i, niestety, nie bez powodu. Zaczęła szybciej mrugać oczami. Nic na to nie mogła poradzić. Czuła się nieszczęśliwa w Vaila i nie potrafiła ukryć swojego niezadowolenia z powodu izolacji, na jaką była tu skazana każdego dnia. Jeśli chodziło o ich wspólne życie, to dopóty, dopóki Reg pracował w odległych rejonach przemysłu naftowego, łyzy wydawały się nieuniknionym dodatkiem do ich miłości.

Spojrzał na nią i zobaczył, jak bardzo jest nieszczęśliwa: krople deszczu w jej oczach, łyzy płynące po oknach pomieszczenia kontrolnego „Panoco”... Świat płakał nad nimi, bo chociaż mieli coś, co się tak bardzo liczy w życiu, to i tak wciąż się wzajemnie ranili.

– Przepraszam – wymamrotał, wsuwając z powrotem swoją rękę w jej dłoń. – Tak się składa, że cię kocham. Prawdopodobnie za bardzo i to jest połowa problemu.

Ken wtargnął do domu, rzucił swoją torbę na podłogę i podszedł do lodówki, aby napić się mleka.

Reg automatycznie cofnął swoją rękę i, dla świętego spokoju Elli, zwalczył w sobie chęć podniesienia ubłoconej torby i wyrzucenia jej przez okno do ogrodu. I Kena razem z nią.

– Wygraliście, co? – zapytał, udając zainteresowanie.

– Trzy do dwóch dla szkoły! – Ken wysapał, wypiwszy już pół butelki mleka.

– To ładnie – Ella pociągnęła nosem.

Reg wstał od stołu.

– Pójdę się ubrać – powiedział i uśmiechnął się do niej przeprasząco. – Jeśli chodzi o inne sprawy, to niech stanie się najgorsze i niech mnie zwolnią. No i co? Poradzimy sobie. Ale pewnie masz rację. Kto zwraca uwagę na jakiś tam anonimowy list?

– Wiesz, tato, możesz wkrótce stać się sławny! – zawołał Ken, rozrzucając za sobą części odzieży, żeby mama miała co zbierać w drodze z przedpokoju do łazienki.

– Rozczarowujesz mnie – odpowiedział obojętnie Reg, czując się już dużo lepiej. – Zawsze wydawało mi się, że już jestem. Ale dlaczego tak sądzisz?

– Babcia Eddiego McAllistera jest właścicielką „Meall Ness”. Powiedział mi dzisiaj, że zatrzymała się u niej reporterka z *Obywatela Północy*...

Zanim Ken skończył, Reg poczuł, że jest mu znowu niedobrze.

– ...przyjechała z Glasgow. Eddie mówi, że ma pisać jakiś artykuł o twoim miejscu pracy.

Pilot McDonald wyszedł na wieczorny obchód wzdłuż sztucznej wyspy. Nie należało to do jego obowiązków. Odpowiedzialność za ten teren ponosił będący na służbie inspektor kontroli zanieczyszczenia. Mimo swego ogromu pokład VLCC – ze znajdującymi się na nim rurami, prętami, narzędziami, linami cumowniczymi – stanowił niezły tor przeszkód. Archie wolał rozprostować nogi spacerując wzdłuż mniej zagraconej wyspy.

Sztuczna wyspa składała się z pięciu wzmocnionych betonem osobnych części, połączonych ze sobą jedynie wąskimi stalowymi kładkami. Największa była część środkowa, służąca za platformę rozładunkową. Tam właśnie znajdowały się: główny rurociąg, dwupiętrowy budynek dla personelu i wieża kontroli przeciwpożarowej. Na północ i południe od tej głównej platformy rozciągały się cztery dalsze mini-wyspy, zwane Delfinami. Służyły przede wszystkim jako punkty zaczepienia dla lin cumowniczych przepływających statków.

Chociaż tankowce były olbrzymie, to sztuczna wyspa była i tak dwa razy dłuższa. Ciągnęła się przez jedną trzecią mili. *Calauria* przycumowała lewą burtą do zachodniej strony wyspy wychodzącej na morze. Znaczyło to, że skierowana była pod kątem prostym do odległego o jakieś cztery mile ujścia zatoki.

Pilot McDonald postanowił skręcić w prawo zaraz po zejściu z kładki biegnącej z głównej platformy. Szedł w kierunku miejsca zbiórki personelu, budki telefonicznej i poczekalni, na południowy kraniec mini-wyspy znanej jako Delfin 24. Zamierzał odbyć orzeźwiająca wędrówkę w hulającym wietrze.

Przed opuszczeniem statku skontaktował się przez radio z pomieszczeniem kontrolnym „Panoco”.

– Idę się przelecieć do dwudziestki czwórki, Bill. Na pół godzinki.

Nawet z odległości ćwierć mili można było w odpowiedzi Thomsona wyczuć nutę niedowierzania:

– Chyba oszalałeś. Tam dopiero musi być zimno!

– Nic mi nie dolega – Archie uśmiechnął się. – Jestem zdrowy, zadowolony i pozbawiony rozumu. Ty też powinieneś spróbować.

Vaila zaczęła rozbłyskiwać światłami zapowiadającymi kolejną noc pobytu *Calaurii* w porcie. Kurczę, rzeczywiście było zimno. Szczególnie na tej wyspie wystawionej na pastwę lodowatego wiatru znad Atlantyku. Zapiął szczelnie swoją kamizelkę ratunkową. Piloci z Quarsdale zawsze nosili je w czasie pobytu na pokładzie statku. Miały wełnianą podszewkę i zrobione były z materiału

natychmiast wypływającego na powierzchnię wody w razie przypadkowego nurkowania. Zawierały mały cylinder z gazem, otwierający się automatycznie po zanurzeniu i nadmuchujący kieszonkę powietrzną znajdującą się w kołnierzu – po to, aby utrzymać głowę ofiary nad powierzchnią wody do czasu, aż przyjdzie ratunek.

Tak to w każdym razie wyglądało w teorii. Na szczęście ani McDonald, ani żaden pilot „Panoco” nie mieli dotąd okazji przekonać się, jak to działa w praktyce. McDonald nigdy nie chciał eksperymentować, a tym bardziej teraz. Ostatnie zalecenia kierownictwa dotyczące oszczędności i wprowadzone właśnie przez Duggana zmniejszyły załogę kutra do dwóch osób. Nawet przy dobrych warunkach pogodowych wciągnięcie na pokład nasiąkniętego wodą – i najprawdopodobniej nieprzytomnego – ciała mogło się okazać zadaniem dla Herkulesa. W czasie wysokiej fali było to prawie niemożliwe.

Wąska kładka, po której właśnie szedł, skonstruowana była mniej więcej czterdzieści stóp nad poziomem wody. Odpowiadało to poziomowi, na jakim znajdował się w tym stadium rozładunku główny pokład *Calaurii*. Pilot skierował się w stronę dzioba statku. Po jego prawej stronie rozciągały się akry zardzewiałej stalowej blachy, która od lat nie wachała farby; rurociągi, które nie czuły na sobie drucianej szczotki od momentu, kiedy je zamontowano setki tysięcy mil morskich temu. To ciekawe, że ze swojego stanowiska na mostku nie zauważył, w jak złym stanie jest ten statek. Może dlatego, że już tyle razy w przeszłości spotkał się z podobną sytuacją? Czy też może oswoił się już z tym, co na początku napawało go niepokojem? Ten VLCC nie był wyjątkiem; przyplływało ich wiele w równie złym stanie do terminalu Rora. Szczególnie te pływające pod „banderą wygodnictwa”, tworzące w dzisiejszych czasach trzon światowej floty tankowców. Mimo wszystko to, co właśnie zobaczył, było pouczające. McDonald zaczął doceniać prywatne uwagi wygłaszane regularnie przez Trelawneya po dokonaniu kontroli poprzedzającej rozładunek. Poczul coś w rodzaju współczucia dla kapitana Bisaglii. Jak się zdażył zorientować, był to sympatyczny i wciąż kompetentny żeglarz. Starszy włoski dowódca i jego statek na pewno znali lepsze czasy.

Gdy doszedł do końca kładki, zatrzymał się na chwilę i spojrzął w kierunku gór otaczających wejście do zatoki. Pojedyncze białe światło holownika *Robert The Bruce* zataczało kręgi na ciemnej tafli wody. W oddali majaczyły niewyraźne sylwetki prastarych skał, przy których groźne fale Atlantyku zatrzymywały się na moment, by po chwili z nową siłą wtargnąć do zatoki Quarsdale.

Zakładając, że wszystko pójdzie według planu, jutro o tej porze skorodowane monstrum opuści zatokę. Zakładając...

Pilot McDonald, będąc człowiekiem o ograniczonej cierpliwości, nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy oddalającą się rufę statku. Sezon wędkarski już się skończył, jednak McDonald nadal marzył, aby wybrać się w góry – nawet bez swojej wędki – i spędzić w lesie miłe niedzielne popołudnie.

Miał nadzieję, że następny komunikat meteorologiczny, oczekiwany o godzinie dwudziestej, nie zapowie dalszego pogorszenia warunków. Mogłoby to bowiem spowodować opóźnienie i konieczność zmian w oryginalnym planie pierwszego oficera. Zakładał on pobranie minimalnego balastu między rozładunkiem ciężkiej i lekkiej ropy. Przypuśćmy, że siła tego złowieszczego wiatru podniosłaby się jeszcze o parę stopni w skali Beauforta. Jeśli wówczas – chyba Spedini? – tak, jeśli pierwszy oficer Spedini nie zgodzi się wpompować trochę więcej balastu przed rozpoczęciem wypompowywania drugiej połowy ładunku, *Calauria* może bardzo łatwo wymknąć się spod kontroli i poddać działaniu wiatru szalejącego w zatoce. Holowniki nie będą w stanie odciągnąć jej od

przystani i skierować dziobem do morza, dopóki wiatr się nie uspokoi. To była właśnie sytuacja, w której podejmowanie decyzji przypominało wielce ryzykowną grę hazardową. Bo jeśli wiatr się nie nasili, to nabieranie każdego dodatkowych ośmiu tysięcy metrów sześciennych balastu oznaczało niepotrzebną i kosztowną godzinę opóźnienia.

Ach, żeby tak pognili ci wszyscy projektanci, którzy nie przewidzieli problemów tego rodzaju – pomyślał Archie zirytowany, jak zawsze zresztą, gdy zmagał się z wiatrem podczas spaceru. – I założę się, że tym głupkom przyznano nagrodę za cholerne przemysłowe osiągnięcie.

Na miejscu zbiórki personelu nie było nikogo. Skierował się ponownie w stronę statku. Nic dziwnego: redukcja pracowników dotyczyła także wyspy. Z ośmiu ludzi pozostało sześciu: PCO, brygadzysta z trzema pomocnikami i samotny strażnik z podstawową wiedzą o walce z pożarem.

– Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Będzie dla nas więcej miejsca na tratwach ratunkowych – taka była lakoniczna, aczkolwiek niezbyt przychylna, reakcja pracowników. Chociaż niewielu odważyłoby się wystąpić przeciwko tak ostrym cięciom ekonomicznym z obawy przed zemstą kierownictwa, to jednak stawały się one przedmiotem niepokoju. Szczególnie dla pilotów, ekspedytorów i inspektorów kontroli. Takich jak Trelawney.

Cholernie smutny stan rzeczy – gorzko zauważył Archie McDonald w duchu. Wcale nie czuł się odprężony, lecz raczej przygnębiony zardzewiałymi statkami i widmem kłopotów.

Nie było wątpliwości: morale terminalu było w rozkładzie, lojalność korodowała tak, jak niektóre z wielkich odwiedzających go statków. Tak w głębi ducha, to żaden z pracowników – z McDonaldem włącznie – nie zamierzał brać udziału w akcji ratunkowej, gdyby groźba pożaru stała się rzeczywistością. Generalna opinia była taka: ponieważ cała ta konstrukcja była zlokalizowana bezsensownie, to nie robiłoby większej różnicy, czy miałbyś jednego, dwóch czy dwudziestu ludzi gotowych ruszyć do akcji w sytuacji, gdyby sto tysięcy ton ropy zdecydowało się nagle zapalić. Do diabła! Żeby mieć szansę przeżycia, trzeba było czegoś więcej niż rezolucji paru strażaków. Nawet jeśli byliby nie wiem jak wspaniale wyszkoleni.

Umiejętności pływania, na przykład – rozważania pilota McDonalda przybrały nieco weselszy ton. – A także odporności na ogień.

Nic szczególnie ekscytującego czy niezwykłego nie przydarzyło się nikomu w Vaila w ten ostatni wieczór. Może jedynie pani Leachan na Craigie Drive, za kościołem. Ugotowała jajka na twardo dla pana Leachana i zaniósłszy je do pokoju, w którym pan Leachan oglądał telewizję, powiedziała, raczej niesprawiedliwie: – Jakbyś podniósł tyłek z tego krzesła i poszukał roboty, to moglibyśmy jeść kurczaka, a nie te głupie jajka! – po czym zauważyła, że pan Leachan był raczej dziwnego koloru. Doprawdy, wyglądał bardzo szaro. Powoli osunął się ze swojego krzesła i wyzionął ducha na dywanie, tuż u jej stóp...

To było bardzo ekscytujące i niezwykle wydarzenie dla pani Leachan. I prawdopodobnie także dla pana Leachana, chociaż nikt nie może mieć co do tego pewności. Ale pozostawało to bez związku z tym, co miało nastąpić w zatoce Quarsdale trochę później, tej samej nocy.

...Oprócz faktu, że uczyniło to panią Leachan jedną z niewielu osób w Vaila, która nie opuściła łóżka, by zobaczyć co się dzieje, kiedy w końcu zaczęło się coś dziać.

O ósmej wieczorem tego samego dnia, którego panu Leachanowi nie całkiem udało się zjeść jajka na twardo, policjant Lawson – którego nie trzeba było informować o braku rozrywek w Vaila, bo

spędził wystarczającą liczbę sobotnich nocy włócząc się po mieście, aby się samemu w tym zorientować – pogodził się jakoś z wybrykami losu. Przynajmniej na czas, jaki zajęło mu wypicie herbaty. Zaczął polerować swoje buty i prasować czarne spodnie od munduru, przygotowując się na tę przymusową nocną zmianę, na którą – wydawać by się mogło – zgłosił się sam z ochotą.

Nie mógł przestać zastanawiać się, co też właśnie robi pielęgniarzka z Oban. I z kim to robi. Chociaż może było trochę za wcześnie o tym myśleć. Ale kiedy masz dwadzieścia lat i jesteś równie rozczarowany, jak był Hamish, kiedy za sprawą jakiegoś niesympatycznego inspektora wymazano mu z kalendarza wspaniały weekend, to przejawiasz tendencję do krzywego patrzenia na świat w ogóle.

Stojąc przy desce do prasowania, patrzył jednym okiem w telewizję. Nadawali film o jakiejś odległej stacji naukowej dotkniętej plagą gigantycznych, poskręcanych gąsienic, w objęciach których wszyscy po kolei umierali z wychodzącymi na wierzch oczami i z tragicznym entuzjazmem. Hamish pomyślał, że dobrze by było, gdyby te wielkie gąsienice mogły powtórzyć swoją akcję przed bramami „Panoco”, zanim zaczniesz tam swoją służbę. Szczególnie mogłyby się zająć cioteczką Jesse.

Co prawda, nawet potworna makabra nie wynagrodziłaby mu utraty możliwości dokonania romantycznego najazdu na pielęgniarzkę. Dzięki swojemu inspektorowi będzie musiał odbyć dodatkową zmianę, polując na gigantyczne gąsienice, i kiedy już je zaaresztuje, będzie musiał sporządzić raport dla prokuratora... Policjanci, szczególnie ci dwudziestoletni, też są ludźmi i ponosi ich czasami wyobraźnia.

Policjant Lawson, zanim znów wyczyści swoje buty, będzie miał do napisania bardzo długi raport. Tej nocy będzie musiał podołać obowiązkowi nie tylko wyjątkowo ciężkim, ale również tragicznym. I odkryje, w sposób bardzo brutalny, że horror z taśm celuloidowych jest niczym w porównaniu z tym prawdziwym.

Wojownicy popijali sobotnią herbatkę osobno, każdy w swoim domu.

Tak naprawdę, w domu doktora Cairda jedzono właśnie obiad. Ojciec i matka Petera zawsze jedli lunch, a potem obiad o dwudziestej. Nie było obiadu w środku dnia i popołudniowego popijania herbaty, kiedy tylko dawali coś dobrego w telewizji. Tego wieczoru nastąpiło niewielkie opóźnienie, ponieważ doktor Caird został wezwany do pani Leachan na Craigie Drive w celu zbadania, dlaczego właściwie pan Leachan nie zdążył spożyć jajek na twardo. Nie zajęło to zbyt wiele czasu. Wystarczająco dużo jednak, aby trzeba było podgrzewać zupę, czekając, aż wypisze akt zgonu i zaaplikuje pani Leachan niebieskie lub zielone pigułki na uspokojenie. Potem musiał jeszcze zadzwonić do Geordie McGruara, właściciela zakładu pogrzebowego, który z pewnością zjadł już obiad i był gotowy do pracy za piętnaście ósma.

Czekanie nie przeszkadzało Peterowi. Randka z niechętnym Alekiem Bellem wyznaczona była na jedenastą trzydzieści, kiedy to miała rozpocząć się cała operacja. Na pewno tam, na wodzie, będzie okropnie zimno. Ciepły posiłek bardzo mu się więc przyda.

Alec Bell natomiast w ogóle nie miał apetytu. Zmartwił tym mamę, ponieważ przeważnie lubił dużo jeść. Dopiero wymówka, że na przyjęciu, na które się wybiera, będzie serwowana zupa i drugie, uspokoiła ją na tyle, że przestała podejrzewać u syna jakąś groźną chorobę. Nie wyjaśnił, kto wydawał owo nocne przyjęcie, i na szczęście mama go o to nie spytała.

Powodem, dla którego Alec Bell stracił apetyt, był wielki strach przed wyprawą w tej głupiej, małej łódce Petera Cairda. Poza tym założenie, że im mniej będzie miał w żołądku, tym mniej czasu spędzi na wydalaniu tego za burtę cholernej łajby, było całkiem logiczne.

Shona Simpson nie musiała tłumaczyć, dlaczego chce wyjść z domu tak późno. Co prawda i tak by tego nie zrobiła, ponieważ matka wyraźnie zabroniła jej wychodzić gdziekolwiek po tym, co zrobiła poprzedniej nocy.

Zabranianie czegokolwiek przychodziło mamie Shony bardzo szybko. Jimmy Simpson również szybko chował głowę za gazetę i udawał, że nie zauważa groźby rodzinnego konfliktu.

Tym razem wcale to Shonie nie przeszkadzało. Pobiegła do swojego pokoju, a dla stworzenia pozorów trzasnęła drzwiami i zamknęła je na klucz. Po czym wyciągnęła z szafy linę, której często używała w podobnych sytuacjach, i włączywszy radio na pełen regulator, położyła się na łóżku, czekając. Z przyjemnością wyobrażała sobie wyraz twarzy Petera, kiedy ten zorientuje się, że cała ta jego wspaniała akcja wymyka mu się spod kontroli.

Janey Menzies wypiła swoją herbatę i nawet nie pomyślała o nadchodzącej nocy. No, ale Janey nie miała zbyt dużo rozumu w głowie i skoro tylko mogła spędzić trochę czasu z Johnem McLeanem, to naprawdę nie miało znaczenia, co będą robić.

Z kolei John McLean myślał wyłącznie o czekającej go nocy. Dręczyły go zarówno obawa przed konsekwencjami ich działania, jak i strach przed dalszą utratą autorytetu w oczach Shony i, co gorsza, Petera Cairda. Naraził się matce za wybrzydzenie przy jedzeniu, ojcu natomiast za brak zaangażowania w sprawę Vaila. Głównie dlatego, że McLean senior wybierał się właśnie pod bramy terminalu. Wraz z resztą protestujących będzie tam bez wątpienia zmuszany przez radną McLeish do uwierzenia, że w ten sposób osiągnął porozumienie z naftowymi bonzami.

– Dobra, jeszcze zobaczycie – John posprzeczał się z ojcem. – Jeślibym się do tego przyłożył, to mógłbym zrobić dużo więcej niż ktokolwiek z was, aby ściągnąć uwagę na terminal.

– Chrzanisz, mój chłopcze – to była ostatnia wypowiedź ojca, zanim tuż przed ósmą zatrzasnął za sobą drzwi. – Nie mógłbyś zrobić niczego godnego uwagi, nawet gdybyś się bardzo starał!

Ta ostatnia uwaga zaważyła ostatecznie na decyzji Wielkiego Johna McLeana.

Już niedługo wiele osób miało zapłacić za nią swoim życiem.

Wullie Gibb razem z mechanikiem Burnsem postanowili, że zanim złapią autobus odjeżdżający o dziewiętnastej trzydzieści do portu Neackie, wstąpią do baru „Stag” na kufel piwa. Przyszły szwagier Wulliego także przyszedł do baru w towarzystwie szypra McFadyena; za chwilę pojawił się Auld Phimister – nocny stróż – wraz ze strażnikiem Downie. Przy tego rodzaju spotkaniach rozmowa nieuchronnie schodziła na temat „Panoco” i – ponieważ uczestniczył w niej Tam Burns – miała wyjątkowo przygnębiający wydźwięk.

– Mówię wam – krakał Tam popijając swoje piwo – przez to całe skapstwo szefostwa wylecimy w powietrze. Wystarczy jedna mała iskra na platformie i do widzenia, ziemio.

– To samo mówiłeś wczoraj – przypomniał mu Wullie. – Właściwie powtarzasz to codziennie.

– Wyrwę to na twoim nagrobku – Phimister zaśmiał się astmatycznie. – „Tu spoczywa Tam Burns, jedna iskra przywróciła go Bogu.”

– Prawdopodobnie nie zostanie ze mnie wystarczająco dużo, aby wypełnić przyzwoitą trumnę – mechanik Burns zamyślił się, zachwycony perspektywą.

– To prawda, chłopie. Nie będą wiedzieli, czy cię zeszkrobać, czy zamalować – prowokował pierwszy oficer Eck.

– Będą musieli pozbierać mnie do wiadra – rozmarzył się masochistycznie Tam Burns. Wullie nie mógł tego dłużej znieść. Zachichotał nerwowo, Eck natomiast przytknął usta do swojego kufla

i zajął się wydawaniem dziwnych dźwięków.

– To wcale nie jest takie śmieszne – łagodnie zaprotestował szyper. Jimmie McFadyen pływał na tankowcach przewożących paliwo i – jeśli chodziło o perspektywę wylecenia w powietrze – to nigdy nie przejawiał zbytniego poczucia humoru. Wszystkich to wyraźnie bawiło. Z wyjątkiem Tama Burnsa, oczywiście; trzymając w ręku szklanę, stał cicho z nie widzącym spojrzeniem w oczach.

– Zagrożenie pożarem jest minimalne, doskonale o tym wiesz, Burns – przekonywał McFadyen. – Mamy do czynienia z przewoźnikami ropy. Ropa nie zapali się z powodu jednej iskry.

– Tak, ale to gaz nas wykończy – Burns nie dawał za wygraną, zaniepokojony, że może istnieć szansa, iż doczeka późnej starości. – Jedna iskra i te chmury gazu wiszące nad VLCC palą się, mówię ci.

– Nie, do jasnej cholery, nie palą się! – zaczął denerwować się szyper. – Gadasz tak, jakby mieszanka powietrza i oparów węgłowodoru wystarczyła do wysadzenia nas w przestrzeń kosmiczną. Chryste, przecież jesteś mechanikiem, chłopie! Wiesz, że do tego niezbędne są specyficzne warunki. Istnieją stopnie palności; tylko mała część gazu w stosunku do atmosfery jest wybuchowa: coś pomiędzy dwoma a ośmioma procentami gazu w powietrzu tworzy mieszankę wybuchową.

– Oprócz tego musisz mieć źródło ognia, Tam – dodał szybko zastępca kapitana, widząc zdenerwowanie McFadyena i czując, iż powinien pokazać, że wie wszystko, co każdy odpowiedzialny pierwszy oficer wiedzieć powinien. – A gdzie znajdziesz takie źródło w tej naszej strefie bezpieczeństwa? Żadnych papierosów, zapalek. Phimister nie przepuści cię z czymś takim przez bramę. Zresztą, wszyscy zwracają uwagę na to, więc nie ma możliwości, aby gaz się do nas przedostał. Elektryczne urządzenia na wyspie są ognioodporne, pokrywy zbiorników zamknięte, ekrany przeciwpożarowe czy coś w tym stylu umocowane na otworach wylotowych statku...

– Czy musimy o tym mówić? – przerwał Wullie. – Płacą mi dopiero od ósmej. Nie zamierzam słuchać teraz wykładu o środkach bezpieczeństwa.

– Zamknij buzię, pokładowy Gibb! – wrzasnął Eck, urażony, iż przerwano mu jego pełną wiedzy wypowiedź.

– Jestem także kucharzem! – Wullie odparował niezmiészany. – Chociaż nikt mi za to nie płaci. Wczoraj nie byłeś taki ważny, Eck, gdy chciałeś, żebym cię umówił z moją siostrą.

– Napijemy się jeszcze po jednym, chłopcy? – wtrącił Downie dyplomatycznie, zdając sobie sprawę, że załoga holownika *William Wallace* spędza większość czasu na zażartych kłótniach.

– Jeszcze raz to samo – Phimister podchwycił natychmiast, zdradzając szybkość reakcji nieproporcjonalną do swojego wieku. – Skoro będę się musiał zmagać z całym tym motłochem...

– Chciał powiedzieć, że będzie musiał zamknąć bramę przed Jesse McLeish, aby w spokoju oglądać telewizję – zinterpretował okrutnie Wullie.

– Mają nawet specjalne, nie iskrzące się latarki. Gdzie więc to twoje źródło ognia? – Eck Dawson zdawał się nie zauważać, że nikt go już nie słuchał.

Nikt też nie słuchał mechanika Burnsa, ale on był przyzwyczajony do tego, że inni go ignorowali. Tak naprawdę sprawiało mu to przyjemność.

– Jedna iskra – wciąż powtarzał posępnie. – Powiadam wam, chłopaki, wszystko, czego nam trzeba, to jedna malutka iskra.

– Przestań – warknął McFadyen – robić z siebie cholernego błazna!

Fran wróciła do hotelu „Meall Ness” przekonana, że Quarsdale może faktycznie stać się miejscem przemysłowej katastrofy na wielką skalę.

Leżąc w wannie pełnej gorącej wody zastanawiała się nad tym, czego dowiedziała się od pani McLeish. Wzrastające poczucie zagrożenia nie pozwalało jej się zrelaksować. Przeważnie udawało się jej oderwać od pracy, nie angażować osobiście w sprawy, którymi się zajmowała. Teraz jednak nie mogła. Jej początkowy niepokój nasilał się z każdą godziną. Przygotowując się na spotkanie z Dugganem, wciąż sięgała po notatnik, aby coś w nim skrzątnie zapisać.

Zdawała sobie także sprawę, że coś minęło bezpowrotnie. Wiedziała, że nic już nie wydarzy się teraz pomiędzy nią a Dugganem. Ta świadomość rozczarowała ją bardziej niż trochę. Fran była pewna, że jeśli zada Dugganowi pytania, które ją w tej chwili nurtują, to wywiad z zastępcą szefa terminalu będzie po prostu zwykłym wywiadem – sztywnym i formalnym. Prawdopodobnie ten ich wspólny wieczór skończy się szybko i raczej nieprzyjemnie.

Duggan z kolei zmusił się do wzięcia lodowatego prysznic; nie tylko po to, aby ostudzić się nieco przed tym długo oczekiwanym spotkaniem. Chciał też zregenerować się po lunchu z kapitanem Bisaglią. Kiedy dzwonił późnym popołudniem do terminalu, aby sprawdzić, czy rozładunek przebiega prawidłowo, wciąż jeszcze odczuwał zdradzieckie działanie wypitego alkoholu.

Duggan nie podejrzewał, oczywiście, że na owo spotkanie z ponętą panią Herschell będzie potrzebował nie tyle świeżego i pięknego ciała, co ostrego jak żyletka umysłu.

Ekspedytor Blair wyszedł z domu o dziewiętnastej trzydzieści. Chociaż Ella pożegnała go pocałunkiem i uspokajającym uściskiem dłoni, to wciąż nie dawała mu spokoju myśl, że prasa jednak potraktowała jego list poważnie. Nie denerwowała go świadomość, że zagrażało to ich planom na przyszłość; Reg, były marynarz, nauczony odpowiedzialności i obowiązkowości, bardzo wysoko cenił lojalność. Dlatego też nie mógł pogodzić się z faktem, że zachował się jak zdrajca.

Judasz – pomyślał gorzko, prowadząc swój rower przez ogród. – Oto kim jestem. Cholernym Judaszem zdradzającym ludzi, którzy mi płacą. Ludzi takich, jak Duggan.

Inspektor kontroli zanieczyszczenia, Michael Trelawney, wyszedł z domu mniej więcej o tej samej porze. Spotkał Blaira w połowie ulicy i dalszą drogę do terminalu odbyli razem. Reg zazdrościł PCO; dla niego była to po prostu kolejna nocna zmiana – żadnych dramatów, przeżyć, strachu przed stratą pracy. To było jednak dziwne: Trelawney odwrócił się, aby pomachać swojej żonie Madge, która wciąż stała na progu domu czekając, aż znikną za rogiem. Nie robił tego często, a Madge również nie była skora do marznięcia w zimowym chłdzie.

Oczywiście, Mike Trelawney absolutnie nie mógł podejrzewać, że, być może, nigdy już nie pomacha swojej żonie.

Czy też mógł...?

Pierwszy oficer Spedini z trudem zdążył skończyć swoje obliczenia na czas. Godziny umysłowych ćwiczeń kompletnie wyczerpały jego mózg; nie był już w stanie myśleć logicznie. Był jednak pewien, że ostatecznie sporządził bezpieczny plan, umożliwiający nieprzerwaną pracę statku przy jednoczesnym pozostawieniu zbiorników numer sześć pustych.

I żeby oddać Spediniemu należną mu sprawiedliwość, należy stwierdzić, że byłby to całkiem niezły plan, gdyby *Calauria* była prężnym, nowiutkim statkiem, odpowiadającym konstrukcją tej, na podstawie której opracowano *Conditions de Chargement*.

Za dwadzieścia dwudziesta udał się do kajuty kapitana wiedząc, że rozładunek ciężkiej ropy prawie już zakończono. Bał się niezadowolenia Bisaglii z faktu, że tak poważne decyzje, dotyczące poboru balastu, pozostawiono na ostatnią chwilę. Tylko Bóg i stosy papierów na biurku mogły potwierdzić, że Mario Spedini, człowiek mający trzy złote kółka na epoletach, potrzebował tyle samo czasu na wykonanie swojego zadania, co uczeń.

Ale Tommaso Bisaglia, który po powrocie z suto zakrapianego alkoholem lunchu przezornie siedział cicho w swojej kabine, odetchnął z ulgą, szczęśliwy, że rozwiązano problem.

Kapitan wciąż głęboko wierzył, że przekazanie zastępcy opieki nad operacjami portowymi jest jedynym słusznym posunięciem, jakie mógł uczynić. Tak zresztą robi większość dowódców, chociaż to oni ponoszą ostateczną odpowiedzialność za statek. Spedini przecież zawsze pokonywał wszelkie trudności w bardzo kompetentny sposób.

– W tej sytuacji muszę zaakceptować pańskie zalecenia, *signore* – zdecydował Bisaglia po raz drugi w czasie tej podróży. – Czas nagli. Pozostawiam panu wydanie decyzji o poborze balastu, naturalnie po zawiadomieniu pilota PCO.

Spedini właśnie otwierał drzwi kajuty, gdy głos dowódcy przybrał bardziej surowy ton.

– Może zabierze pan ze sobą swoją paczkę. Leży tam, na krześle.

Spedini zatrzymał się nagle, zmieszany i wciąż nastawiony na rozmowy o czynnikach napięć i momentach zginających.

– Paczkę, sir?

– Pańską, hm... lalkę, Spedini – powiedział kapitan wykrzywiając usta. – Pańską plastikową szkocką pannę, ubraną w kraciastą spódniczkę!

Dochodziła dwudziesta.

Superstatek *Calauria* zakończył rozładunek siedemdziesięciu sześciu tysięcy ton arabskiej ciężkiej ropy.

Wkrótce miał zacząć pobierać balast.

Na statku

Tak więc w ciągu dwudziestu czterech godzin większa część ładunku znalazła się w terminalu, bezpiecznie ulokowana w wielkich lśniących zbiornikach w punkcie *Sróine Rora*. Na pokładzie pozostawało jedynie czterdzieści jeden tysięcy ton arabskiej lekkiej – była to skromna ilość jak na VLCC; zajmowała jedynie jedną trzecią powierzchni przewozowej statku.

Calauria sprawiała teraz dziwne wrażenie. Było jej coraz mniej pod powierzchnią wody; zanurzona część malała niczym topniejący lodowiec. Na powierzchni natomiast prezentowała się coraz okazalej, wynurzając się pionowo z wód zatoki i ukazując zwykle ukrytą zardzewiałą obręcz, wieńczącą jej podbrzusze ociekające wodą i błyszczące w ostrych światłach wyspy. Jeśli podszedłbyś do ogromnego urwiska, które jeszcze parę godzin temu wisiało nad *Calaurią*, zobaczyłbyś mnóstwo miotających się w poszukiwaniu cząsteczek pożywienia skorupiaków, powoli wysychających i umierających w nieprzyjaznym powietrzu.

Część dziobowa statku była teraz całkiem pusta. W czasie tej ostatniej podróży przednie zbiorniki nie były w ogóle zapełniane, natomiast środkowe i skrzydłowe numer jeden zachowały w swoim wnętrzu jedynie parę ton rozbryzganej cieczy, połysk mineralnego czernidła oraz – aż do czasu, kiedy wywietrzy się groźne opary – atmosferę naładowaną ryzykiem. Zbiorniki rufowe – te trzy znajdujące się tuż koło maszynowni, sprawiające tyle kłopotu pierwszemu oficerowi Spediniemu swoimi ciekącymi zaworami – też już były opróżnione. Zanim ludzie Borgi odważą się do nich wejść, będą wymagały szczególnie dokładnego oczyszczenia z wszelkich śmiertelnie trujących związków.

Przewożoną w pozostałych środkowych zbiornikach ropę także już wypompowano. PBT – stałe zbiorniki balastu, usytuowane dokładnie na środku między dziobem a rufą i mające wkrótce nabrać apokaliptycznego znaczenia – nie były jeszcze napełnione wodą morską. Tak więc w ten sobotni wieczór *Calauria* unosiła się wysoko nad wodą, napełniona jedynie lekką ropą znajdującą się w prawoburtowych zbiornikach 1, 2, 3, 4 i 5. Gdyby spojrzeć teraz z góry na ten wielki pojemnik na jajka, to byłoby wyraźnie widać, że pozostająca na pokładzie ropa była rozmieszczona równomiernie wzdłuż środkowej części *Calaurii*. Ktokolwiek pragnął skrytykować pierwszego oficera Spedinięgo, musiałby przyznać, że nie poddano kadłuba *Calaurii* żadnym nadmiernym obciążeniom.

Pracownicy kończący swoją dzienną służbę powinni się uznać za szczęśliwców, ponieważ Rdza szykowała się właśnie do zmasowanego ataku na osłabioną już potężnie

Stal.

Pozwolono jej na przyśpieszenie ofensywy, pozbawiając statek ochrony katodowej. Tak więc udało się jej skutecznie zniszczyć całe połączenie metalu w rejonie stałych zbiorników balastu. Wszystko, czego teraz potrzebowała do osiągnięcia pełnego zwycięstwa, to jednej dostarczonej przez siły piekielne okazji.

W ten sobotni wieczór – a pamiętajmy, że to ludzie sprawujący władzę nad statkiem są bardziej podatni na porażki niż statki same w sobie – taka okazja się nadarzyła. W czasie nadchodzącej nocy Rdza wciągnie na listę swoich sprzymierzeńców nieświadomego, niemniej jednak gotowego do współpracy sabotażystę.

Agenta z nieskazitelnymi referencjami.

Wykonał on już większą część swojej misji. Zrobił to w momencie, gdy wstał zadowolony od swojego biurka na pokładzie *Calaurii*.

Pierwszy oficer Spedini, we własnej osobie.

Rozdział VIII

Sobota: późny wieczór

Czarne, niespokojne wody Quarsdale szumiały w oczekiwaniu.

Ku wielkiemu zadowoleniu pilota McDonalda wiatr wzmógł się jedynie odrobinę, ale zmienił kierunek na zachodni, wiejąc prosto w stronę sztucznej przystani.

Unieszczęśliwił tym Wulliego Gibba, który płynął właśnie na pokładzie holownika *William Wallace* na kotwicowisko. Pilot McDonald zasiądzie wkrótce do obiadu (składającego się bez wątpienia ze spaghetti) w swoim cholernym pałacu, wznoszącym się sto stóp nad poziomem wody. Wullie natomiast miał przed sobą perspektywę gotowania kolacji dla bandy niewdzięcznych głupków na pokładzie chwiejącej się łajby sprawiającej często wrażenie, że znajduje się sześć stóp pod wodą! Chyba że pogoda pogorszy się tak znacznie, że szyper będzie zmuszony szukać schronienia w porcie Neackie.

Policjant Lawson zakończył prasowanie swojej białej koszuli i polerowanie swoich czarnych butów o dwudziestej. Wyciągnął kajdanki, pałkę i swoją odznakę – wszystko w ramach przygotowań do walki z lokalną mafią – po czym zasiadł znów przed telewizorem, aby obejrzeć, jak gigantyczne, poskręcane gąsienice pożerały resztki naukowców gdzieś tam na Alasce czy w równie odległym miejscu. Doszedł do wniosku, że jeśli przysłoby im do głowy dokonać najazdu na bardziej chyba odosobnioną Vaila, to zamiast zjadać komitet protestacyjny, powinny raczej skosztować sierżanta albo inspektora. Jeszcze lepiej, gdyby zżarły obydwu.

Również o dwudziestej nocna zmiana protestujących rybaków (z ojcem Wielkiego Johna McLeana włącznie) zebrała się przed główną bramą terminalu, obserwowana z niechęcią przez stróża Phimistera, siedzącego wygodnie w swojej ciepłutkiej budce.

Dokładnie o dwudziestej Fran Herschell wyszła ze swojego pokoju i zeszła na dół, aby spotkać Duggana, który czekał już odświeżony i rozmarzony w hallu hotelowym. W jego szarych oczach, które wznieciły we Fran nową falę pożądania, malował się wyraz totalnego zachwyty. Jej podniecenie zamieniło się jednak natychmiast w zdenerwowanie z powodu wewnętrznego rozdarcia między profesjonalizmem a własnymi zachciankami.

W tym samym czasie Peter Caird zaczął pomagać matce w nakrywaniu stołu do obiadu, opóźnionego z powodu nieoczekiwanego zejścia pana Leachana.

Także o dwudziestej Annie Clunie, która nie zamierzała sprawiać żadnego kłopotu i pożyczyła samochód męża, aby udać się z krótką wizytą do cioteczki Isobel, przejechała czarnego kota wabiącego się Thomas. Stało się to na ulicy Reform.

Nie ulegało wątpliwości, iż Thomas popełnił samobójstwo; znany był w okolicy jako zacofany w rozwoju kot, który regularnie przebiegał przez jezdnię w najmniej odpowiednich momentach.

A jednak znaleźli się w Vaila tacy, którzy później twierdzili, że śmierć Thomasa była zapowiedzią mających nadejść wydarzeń. Byli też inni (szczególnie pewien starszy człowiek, który wciąż wierzył w moc Złego Oka i był przekonany, na przykład, że żaden ksiądz nie powinien wsiadać do łódki), którzy otwarcie twierdzili, iż samochodowa masakra Thomasa rzuciła zły urok na resztę nocy i że winę za wszystkie straszne zdarzenia ponosi Annie Clunie.

Oczywiście nie była to jej wina. Naukowa analiza wydarzeń, które nastąpiły po śmierci Thomasa, wykazałaby, że – oprócz potwierdzenia, iż biedny kot miał cholernego pecha – to korozja, w połączeniu z ludzkim błędem, były odpowiedzialne za koszmar, który nadszedł. Nie zaś Annie Clunie.

Zaczęło znowu padać.

Dokładnie o ósmej wieczorem nocny ekspedytor terminalu Blair zajął miejsce dziennego ekspedytora Thomsona.

Kiedy Reg wszedł do pomieszczenia kontrolnego, nie było tam nikogo. Głośnik radia VHF buczał i brzęczał irytująco, zapełniając pokój odgłosami zakłóceń atmosferycznych. Blair ściszył radio i poszedł do małej kuchni, znajdującej się tuż przy korytarzu. Bill Thomson zmywał właśnie swoje brudne naczynia.

– Lubię słyszeć jakieś szумы, kiedy tutaj jestem – powiedział, lekko podrażniony. – Łączność to dla nas najważniejsza sprawa. Te zakłócenia upewniają mnie przynajmniej, że ciągle mam odbiór; inaczej zaczynam się martwić, że coś nie jest w porządku.

Blair pomyślał, że chciałby mieć tylko takie zmartwienia, ale przyznał Thomsonowi rację.

– Przepraszam, chłopie – powiedział wzruszywszy ramionami. Wrócił do pomieszczenia kontrolnego i ponownie nastawił radio tak, aby słychać było uspokajający świst. – Jestem gotowy przejąć stanowisko – zawołał przez ramię, siadając. – Znowu leje.

Reg nie zajrzał do dziennika. Bill Thomson miał swoje przyzwyczajenia: nie lubił, aby ktokolwiek zaglądał do dziennika, zanim formalnie nie przekazał stanowiska zmiennikowi. W każdym razie w tym momencie nic nie wpływało z VLCC. Wszystkie wskaźniki przepływu wskazywały zerową szybkość rozładunku, co oznaczało, że prawdopodobnie statek właśnie pobiera balast. Reg oparł głowę na rękach i czekał, patrząc w zamyśleniu na tak dobrze znaną mu konsolę. Czuł się tutaj bezpiecznie i naprawdę w domu. Miał podobne odczucia, gdy pływał na statkach, odizolowany od domowych kłopotów.

Co do jednego Bill miał rację: utrzymanie łączności było dla nich tu, w pomieszczeniu kontrolnym, podstawowym zadaniem. Od tego zależało funkcjonowanie całego terminalu. Właśnie od łącz komunikacyjnych – w szczególności od sieci radiowej VHF. Bez nich terminal nie mógł efektywnie działać. Nie mógł w ogóle działać... Terminal Rora z portem Neackie; tankowiec z holownikiem; holownik z wyspą; wyspa z kutrem załogi; kuter z lądem. Liczba połączeń była ogromna. Podręczne przekaźniki umożliwiały pilotom znajdującym się na morzu, inspektorom kontroli zanieczyszczenia odbywającym swoje obchody, nawet głównodowodzącym, takim jak Duggan, znajdującym się czasami gdzieś w odległym punkcie Vaila, natychmiastową łączność z ekspedytorem. Dla przyjęcia polecenia; przekazania informacji; zgłoszenia się na rutynową albo – Boże broń! – awaryjną zbiórkę.

I on, były podoficer Reginald Blair, pracował w samym sercu tego wszystkiego: był centralnym nerwem, przez który przebiegały wszystkie informacje dotyczące pracy terminalu. Ekspedytor był

człowiekiem numer jeden; nic nie mogło zostać przepompowane, przemieszczone, przepuszczone w obwodzie terminalu – ze sztuczną wyspą włącznie – zanim decyzje o jakimkolwiek działaniu nie zostały przez Blaira uprawomocnione za pomocą wciśnięcia odpowiedniego guzika. Kontrola „Panoco” – tak go wywoływano. Zupełnie nieświadomie Reg zaczął gładzić lśniąca metalową powierzchnię znajdującej się przed nim konsoli, czując dumę z odpowiedzialności, jaką mu powierzono.

Aż do chwili, kiedy Thomson przyszedł z kuchni i starając się załagodzić swoją wcześniejszą szorstkość, spytał:

– Co tam słychać u Elli?

To wystarczyło, by Reg natychmiast przypomniał sobie o liście, stracił poczucie zadowolenia i potwornie się zirytował.

– Słuchaj, może przekazałbyś mi zmianę, co?

Thomson wyglądał na lekko zbitego z tropu. Myślał, że Blair gniewa się na niego za to, iż w dobrej wierze przypomniał mu o konieczności pozostawania w stałym pogotowiu, o tym, iż ciągle należy słuchać tego, co nadaje radio – szczególnie jeśli jest się akurat poza pomieszczeniem kontrolnym. Reg zawsze był wrażliwym facetem, nawet w Marynarce, a szczególnie jeśli chodziło o Ellę.

– Jak chcesz. Prognoza pogody mniej więcej taka sama: wiatr zachodni od sześciu do siedmiu, deszcz. McDonald jeszcze nie zdecydował, czy polecić pobór większej ilości balastu. Przyptyw oczekiwany o drugiej szesnaście w nocy. Inspektorem kontroli zanieczyszczenia jest Trelawney, jeśli dojechał.

– Płynie już na wyspę, Bill – powiedział Reg, usiłując nadać głosowi brzmienie przeprasające, aby tym wykręcić się od faktycznych przeprosin za wybuch. Nie mógł przecież winić Thomsona za to, że nie był pewien własnej przyszłości. – Przyjechaliśmy razem do terminalu.

– Dobrze. No, to masz przed sobą parę spokojnych godzin. Nasz liberyjski przyjaciel zakończył rozładunek ciężkiej ropy parę minut temu. Teraz przygotowuje się do pobrania balastu. Nie przewiduje się żadnych innych operacji aż do rana. Mechanik przekazał, że będzie potrzebował około dwustu ton paliwa, zanim wypłyną. Znajdziesz to wszystko w dzienniku.

– W porządku – przytaknął Reg. – Jeśli to wszystko, to przejmuję wachtę.

– Zawsze byłeś bliżej Marynarki niż Nelson, Reg – Thomson uśmiechnął się, już ułagodzony. – Postaraj się nie usnąć.

– Żebym mógł słuchać radia z równą odpowiedzialnością, co Wujek Bill, prawda? – Blair nie mógł się powstrzymać od wsadzenia przyjacielowi szpilki. Thomson miał na tyle poczucia przyzwoitości, aby wyglądać na skruszonego.

– Przepraszam za tamto. To trochę tak, jakbym chciał cię uczyć pływać, co?

– Dobranoc, Bill. Pozdrów ode mnie swoje łóżko.

Dzienny ekspedytor Thomson zatrzymał się przy drzwiach.

– Aha, Duggan zostawił wiadomość, że przez cały wieczór będzie w hotelu „Meall Ness”. Kontaktuj się z nim w razie jakichś kłopotów. Dobrze?

– Przyjąłem. Do zobaczenia rano – powiedział Reg.

Gigantyczny, oświetlony tankowiec, przycumowany do sztucznej wyspy, był znowu całkowicie zamglony. Wyglądał jak rozmazana plama. Zupełnie jak kleks w dzienniku. Było to jedynie złudzenie optyczne spowodowane kroplami deszczu spływającymi po szybie okna.

Noc ponownie płakała.

Nocna zmiana nie zaczęła się tak spokojnie dla pozostałych pracowników „Panoco”. Po wejściu na pokład *Calaurii* i zwolnieniu swojego poprzednika, inspektor kontroli zanieczyszczenia Trelawney został prawie natychmiast zatrzymany przez pierwszego oficera Spediniego, który bez wstępów zakomunikował, że jest gotów rozpocząć pobieranie balastu.

PCO zakładał, że nonszalanckie zachowanie jest typowe dla tego człowieka i idzie w parze z brakiem zaangażowania, okazanym podczas kontroli zabezpieczeń. Nie zauważył natomiast u tego młodego Włocha braku pewności siebie. No, ale ci, którzy go znali, też tego braku nie spostrzegli. Z kapitanem Bisaglią włącznie.

Pomyślał wściekły: Kurde! Nie mogłeś, oczywiście, załatwić tego wcześniej, zanim Harry odpłynął na ląd, prawda? Powiedział zaś jedynie:

– Chciałbym to potwierdzić z pilotem, a potem osobiście złamać pieczęcie zabezpieczające, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, *signore*.

Spedini obojętnie wzruszył ramionami i wyraził zgodę; nie miał innego wyjścia. Jeśli chodziło o ochronę przed zanieczyszczeniami na terenie terminalu, ostateczna decyzja należała do kompanii. Ostatni poważny wyciek miał tu miejsce, gdy otworzono złe zawory, ponieważ stary brytyjski dowódca leżał sparaliżowany w swojej kajucie, grecki pierwszy oficer był zbyt leniwy, by pofatygować się do pompowni, a chiński drugi oficer nie miał wystarczających kwalifikacji, aby bez nadzoru napełnić imbryk z herbatą. Inspektor kontroli zanieczyszczenia, którego później wyrzucono z pracy, był na tyle naiwny, aby przypuszczać, że ktoś z tej całej załogi wiedział, co, u diabła, robi. Było to ostrzeżenie przed ryzykiem, jakie niesie zbyt spokój ducha. Konsekwencje i pamięć tego wypadku wciąż nie dawały spokoju obecnym inspektorom.

Zawsze jednak istnieją pewne stałe fakty lub raczej założenia. Te najważniejsze dotyczą czynników napięć i równowagi, działających na statek podczas rozładunku. Praktycznie każdy statek przypluwający do terminalu jest w pewnym sensie unikalny – albo przez swoją budowę, albo przez program rozładunku. Ekonomiczny przymus szybkich odpraw sprawił, że żaden urzędnik lądowy, nawet tak doświadczony jak inspektor kontroli zanieczyszczeń Trelawney czy pilot McDonald, nie jest w stanie ocenić obliczeń pierwszego oficera. Tylko on i dowódca mają czas, aby przygotować plan przemieszczania ładunku; tylko oni mają dane niezbędne do przygotowania bezpiecznej operacji i – trzeba mieć przynajmniej nadzieję – szczegółową wiedzę o swoim statku.

Z głównego pokładu PCO Trelawney skontaktował się z McDonaldem i poprosił o spotkanie w pomieszczeniu kontrolnym ładowni. Tam, w towarzystwie Spediniego, przedyskutowali pokrótce propozycje pierwszego oficera dotyczące poboru balastu. Niesłuszne byłoby twierdzenie, że Spedini był niechętny współpracy. Dwaj ludzie „Panoco” odnieśli jednak wrażenie, że jest mniej niż chętny do omawiania szczegółów. Przypisali to jednak brakowi obeznania z językiem. Nie można powiedzieć, że podobała im się propozycja napełnienia balastem środkowych zbiorników numer 1, 2, 3, 4 i 5 oraz obydwu PBT, przy jednoczesnym pozostawieniu pustych zbiorników numer 6. Obaj wiedzieli, iż obciążą to znacznie środek *Calaurii*, gdyż dodatkowe czterdzieści dwa tysiące ton morskiej wody podwójnie przekraczało ciężar znajdującej się wciąż na pokładzie ropy.

Rozumieli jednak dylemat Spediniego. Jedynym sposobem rozmieszczenia ładunku na większej długości i uniknięcia wystąpienia naprężeń w pojedynczych częściach kadłuba byłoby napełnienie balastem dziobowej przestrzeni statku. Ale dalsze obciążanie jego przedniej części przy

pozostawieniu lekkiego tyłu oznaczałoby, że dziób *Calaurii* znacznie się zanurzy, natomiast rufa uniesie się jeszcze wyżej nad powierzchnię wody, co z kolei uniemożliwi wypompowanie ostatniej części ładunku.

Trelawney zasugerował zmniejszenie ilości balastu. Nie mógł jednak przedstawić konkretnych cyfr – była to raczej intuicja doświadczonego pracownika tankowca. Ale zdawał sobie sprawę (tak jak kapitan Bisaglia, który dyplomatycznie uniknął udziału w dyskusji, zostawiając techniczne rozmówki swojemu całkowicie nowoczesnemu zastępcy Spediniemu), że nie można kierować Bardzo Dużymi Przewoźnikami Ropy opierając się jedynie na przeczuciach.

Nie nalegał więc. I nic dziwnego: w końcu był świadomy słabości swojej pozycji. Nie miał uprawnień do dokonywania zmian decyzji oficerów VLCC, jeśli nie był całkowicie pewien, że popełniono jakiś groźny błąd.

A nawet Trelawney nie myślał, że w tym przypadku tak się właśnie stało. Tankowce miały szeroki margines bezpieczeństwa. Nie przypuszczał więc, że statek był narażony na większe stresy niż te, które występują w czasie silnej fali.

Poza tym Mike Trelawney, chociaż był człowiekiem honorowym, dla którego obowiązek jest ważniejszy niż kariera, nie mógł ignorować faktu, iż jakakolwiek interwencja w sprawach wykraczających poza jego kompetencje automatycznie uczyni go współodpowiedzialnym za każde niepowodzenie.

Zresztą kompromis mógł równie dobrze ściągnąć im na głowę katastrofę. Trelawney wiedział przecież, że Archie McDonald może potrzebować tego dodatkowego balastu. Pilot miał zawodowe poczucie odpowiedzialności na równi z PCO Trelawneyem, ale z zupełnie innych powodów. Jego podstawową powinnością było zapewnienie każdemu VLCC, nad którym tymczasowo sprawował władzę, gotowości do natychmiastowego opuszczenia przystani w razie zagrożenia. Doświadczenie podpowiadało mu, iż statek – aby mógł zachować równowagę przy manewrach bez wynurzania śruby – będzie potrzebował minimalnego ładunku, wynoszącego około trzydziestu procent jego ciężaru własnego. W przypadku *Calaurii* wynosiło to czterdzieści tysięcy ton. Zanim więc będzie można rozładować ostatnią część ładunku, trzeba napełnić statek morską wodą o ciężarze równym czekającej na wypompowanie ropy. Inaczej statek uniesie się nad zatokę jak gigantyczny żagiel. Była to perspektywa przerażająca, szczególnie w obliczu zapowiadanej wichury.

McDonald wiedział, że środek statku zostanie poddany poważnym stresom, ale zakładał – tak jak PCO Trelawney – że owe naprężenia zostały obliczone i mieszczą się w granicach bezpieczeństwa. Żaden z przedstawicieli „Panoco” nie został poinformowany o awarii komputera pokładowego i nie przyszło im nawet do głowy zapytać, czy plan rozładunku został rzeczywiście sprawdzony komputerowo. Uznali to za pewnik. Przypuszczali również, że dowódca *Calaurii*, kapitan Bisaglia, dokładnie przeanalizował propozycję swojego pierwszego oficera. Założenia owe miały się okazać zgubne.

Przez cały czas ich pobytu w pomieszczeniu kontrolnym ładowni *Calaurii* drugi oficer De Mita kręcił się dokoła oczekując instrukcji. Nie został jednak zaproszony przez Spedinię do udziału w dyskusji. Upewniło to Archie McDonalda w całkowicie niesłusznym przekonaniu, że miał do czynienia z kompetentnym i pewnym siebie człowiekiem, który nie potrzebował pomocy podwładnych.

Ostatecznie zgodzono się napełnić balastem zbiorniki środkowe numer 1, 2, 3, 4, 5, zostawiając w każdym z nich metr wolnej przestrzeni. Aby przyspieszyć całą operację, postanowiono użyć

również pomp *Calaurii*. Stałe zbiorniki balastu uniosą się do poziomu morza, po czym umocuje się je linami pokładowymi.

O dwudziestej trzydzięci osiem czasu Greenwich oficer kontroli zanieczyszczenia upewnił się, że w pompach było ssanie, i złamał pieczęcie na zaworach przepuszczających morską wodę. Zanim się oddalił, sprawdził dokładnie, czy De Mita uruchomił odpowiednie wskaźniki kontrolne.

Morska woda zaczęła wdzierać się do wypełnionych gazem zbiorników *Calaurii*. Każde dziewięćdziesiąt osiem ton powodowało, iż statek zanurzał się o jeden centymetr głębiej. Przewidywano, iż przy szybkości napełniania dochodzącej do siedmiu tysięcy ton na godzinę pobór balastu zostanie zakończony w ciągu sześciu godzin – mniej więcej o drugiej trzydzięci nad ranem.

Wraz z Archie McDonałdem Trelawney wyszedł na pokład i dokładnie przyjrzał się powierzchni wody w rejonie zaworów. Chciał się upewnić, że nie ma przypadkowego wycieku ropy. W końcu obszedł cały zalany deszczem pokład i sprawdził, że powietrze wydostawało się tylko z ustalonych zbiorników.

Wszystko to potwierdzało fakt, że PCO Trelawney był dokładnym i skrupulatnym fachowcem. Pilot McDonald i ekspedytor Blair też byli dokładni i skrupulatni. I kapitan Bisaglia, i drugi oficer De Mita... Obaj byli skrupulatni w granicach swoich tanio nabytych umiejętności. Nawet pierwszy oficer Mario Spedini był sumiennym młodym człowiekiem, dokładającym wszelkich starań, aby mu się powiodło.

Chociaż, niestety, bez żadnych umiejętności. Poza, oczywiście, umiejętnością stwarzania pozorów pewności siebie.

Około dwudziestej pierwszej kapryśny wiatr wzmógł się znowu. Holownik *William Wallace*, zakotwiczony jakieś pół mili od sztucznej wyspy, zaczął się dość nieprzyjemnie bujać.

Tuż po dziewiątej wieczorem pierwsza kielbaska wystrzeliła z patelni Wullie Gibba. Wullie wbiegł na górę do szypra i powiadomił go, że – jeśli ten życzy sobie kolację – to niech wraca do portu Neackie lub zadowoli się kanapką z dżemem. Albo niech postara się o innego cholernego kucharza.

Szyper odpowiedział pokładowemu Gibbowi, aby zjeżdżał z mostka i zajął się kontynuowaniem kremacji kielbasek. Albo zostanie zakuty w żelazne dyby za próbę buntu. Gdy Wullie oddalił się wreszcie w kierunku kuchni, mamrocząc pod nosem pogróżki, McFadyen spojrział doświadczonego okiem w kierunku nabrzeżnych świateł i uspokoił się widząc, iż jego skromna maszyna nie zamierza urwać się ze swojego posterunku. Przynajmniej na razie. Zdecydował się więc pozostać na stanowisku tak długo, jak to będzie możliwe. W końcu płacono im za to, a opinia tego zadziornego nerwusa Gibba nie miała znaczenia.

McFadyen również był sumiennym człowiekiem.

Nie tylko wody zatoki stawały się bardziej niespokojne. Ekspedytor Blair czuł się coraz gorzej. Od momentu kiedy Ken radośnie przekazał mu nowinę o wizycie reporterki, żołądek nie dawał mu spokoju. Po godzinie spędzonej na pesymistycznych rozważaniach – głównie dlatego, iż nie działało się nic innego, co mogłoby zaprzątnąć jego umysł – Reg siedział jak na szpilkach. Czekał, aż Duggan wpadnie do pomieszczenia kontrolnego i krzyknie: „Były podoficerze – były ekspedytorze Blair – jesteś zwolniony!”

Ponad pół godziny temu, tuż po lakonicznym sprawozdaniu pilota McDonalda, dokonał zapisu

w dzienniku.

20.30. Zawory wyspy zamknięte. Rozpoczęty pobór balastu.

Siedział tak jeszcze przez chwilę, patrząc przez zalane deszczem okno w kierunku oświetlonego superstatku; żołądek dokuczał mu jednak tak bardzo, że musiał wyjść do toalety.

Łazienka znajdowała się przy korytarzu kuchennym, na tyłach pomieszczenia kontrolnego. Drzwi otwierały się na zewnątrz, blokując dokładnie całe przejście. Ekspedytorzy narzekali często z tego powodu i nieraz prosili, aby wreszcie te drzwi przewiesić w drugą stronę – ktoś czasami zostawiał je otwarte i, jak na złość, zdarzało się to zawsze wtedy, kiedy niosłeś kubek pełen herbaty i nie bardzo zwracałeś uwagę na to, gdzie idziesz.

Przed wyjściem do łazienki Reg nastawił radio tak, aby szумы i piski były wyraźnie słyszalne. Inaczej nie byłby w stanie zorientować się, że ktoś zaczął coś nadawać. Był to słaby punkt tego systemu łączności; Billy Thomson zwracał na to uwagę już chyba tysiąc razy. Była to również jedna ze spraw, jaką Reg poruszył w swoim nieszczęsnym liście: kierownictwo nie zadało sobie trudu, aby zainstalować dodatkowe głośniki we wszystkich pomieszczeniach budynku, chociaż były one niezbędne.

No, ale skoro zbudowali cały ten cholerny terminal w najmniej odpowiednim miejscu zatoki, to trudno było się dziwić, że nie zwrócili uwagi na taki szczegół.

W każdym razie Reg nastawił radio na pełny regulator, upewniając się, że będzie wszystko słyszał z toalety. Judasz czy nie Judasz, był zbyt skrupulatnym pracownikiem, aby lekceważyć swoje obowiązki.

Policjant Lawson, będąc człowiekiem równie sumiennym, stawiał się na posterunku Vaila na długo przed godziną rozpoczęcia służby. Przebrał się w mundur i dokładnie przestudiował teleksy informujące o istnieniu ekscytującego przestępczego światka w innych rejonach Szkocji.

Nie zaskoczył go fakt, że w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin ani jeden obywatel pozostający pod ochroną policji w Vaila nie został obrabowany, napadnięty, zastrzelony, zgwałcony ani nawet napastowany. Jeden nieszczęśnik zmarł w wyjątkowych okolicznościach – niejaki pan Leachan z Craigie Drive, którego Hamish nie znał osobiście. Wydawało się jednak, że wydarzenie to spowodowane było jankami na twardo lub atakiem serca – akt zgonu nie określił tego jednoznacznie – nie było jednak z pewnością wynikiem przestępczej działalności. Bez wątplenia sekcja zwłok wyjaśni wszystko.

A, ktoś zgłosił odnalezienie ciała czarnego kota na ulicy Reform. Był to na pewno Thomas; złośliwe stworzenie dobrze znane policji w Vaila ze swoich kretyńskich skłonności do rzucania się pod samochody. Zyskał sobie przez to opinię odpowiedzialnego za parę nie wyjaśnionych stłuczek. Policjant Lawson wydedukował, iż było to z pewnością zabójstwo dokonane z premedytacją przez jakiegoś agenta ubezpieczeniowego, nie zaś nieszczęśliwy wypadek. Nie wydawało się jednak prawdopodobne, że zabójcę kiedykolwiek dosięgnie ręka sprawiedliwości.

Ucieszony perspektywą braku Thomasa, sprawcy wielu wypadków drogowych, z których musiał sporządzać sprawozdania, Hamish nastawił czajnik i podszedł do biurka sierżanta Robertsona, przerzucającego kartki w księdze posterunkowej.

Podpisał odbiór samochodu i zabrał kluczyki. Mając u swego boku maszynę działającą jak szwajcarski zegarek, policjant Lawson czuł się na siłach walczyć z czającą się w najciemniejszych zakątkach przestępczością.

– Gdzie mam jechać, sierżancie?

Dugie Robertson spojrział z zawiścią, jaką może odczuwać jedynie człowiek rozpoczynający właśnie osiem godzin nocnej służby przy biurku.

– Do myjni – odburknął. – Umyj samochód, bo wygląda jak traktor po pracy w polu, a nie wóz policyjny. Potem jedź do terminalu i zobacz, czy ci rybacy wciąż się tam kręcą. Aha, jak będziesz na ulicy Reform, to sprzątnij tego cholernego kota!

Fran Herschell zauważyła, iż Duggan wyraźnie nie miał apetytu. W czasie tego miłego obiadu we dwoje nie przestawała zastanawiać się, czy wyczuł zmianę w jej zachowaniu; czy zdradziła się z uczuciem niesmaku, jaki wzbudzała w niej konieczność wykonywania swojego zawodu. Powinna była znaleźć jakąś wymówkę i odwołać to spotkanie. Należało raczej przeprowadzić wywiad z jakimś przedstawicielem kompanii, siedzącym przy biurku i przygotowanym na dociekliwe pytania. Tymczasem ona pozwoliła, aby ich stosunki odbiegły nieco od formalnych, i uważała, że było to nieuczciwe.

Brak apetytu Duggana nie miał z tym jednak nic wspólnego. Po prostu – po sutym lunchu z kapitanem Bisaglią nie był w stanie zjeść nic więcej. Jeśli chodziło o reporterkę Herschell, to jego obawy znacznie się zmniejszyły. Wciąż przecież była dziennikarką z lokalnego, niezbyt liczącego się pisma, chociaż miała zaskakującą wiedzę o morzu i morskim transporcie. Co więcej, fascynowała go coraz bardziej: aksamit jej włosów, wyrazistość linii perfekcyjnie umalowanych oczu, ich blask sugerujący zamiłowanie do pełni życia, nawet lekkie, a jednocześnie prowokujące rozbawienie, jakie wywoływały naiwne i niezdarne komplementy Duggana. Wydawało mu się, że jej kobiecość kpi sobie z czegoś, co interpretował jako własny brak *savoirfaire*.

Rozmowa nie kleiła się od początku. Ale wyśmienity posiłek okazał się pomocny. Miły trzask ognia na kominku, sympatyczne tykanie wielu zegarów pani McAllister i szum deszczu za oknem stworzyły klimat przytulności.

Kiedy więc skończyli jeść i pani McAllister pojawiła się, by sprzątnąć talerze, Fran zorientowała się ku swojemu zaskoczeniu, że jadalnia opustoszała już całkowicie. Gospodyni przyjęła ich przeprosiny wraz z kartą kredytową Duggana i powiedziała:

– W hallu czekają na was kawa i likiery. Częstujcie się, rachunki z panem Dugganem zawsze mogę załatwić później.

Fran stanęła przy oknie wychodzącym na zatokę Quarsdale. Czarne sylwetki smaganych wiatrem drzew zasłaniały częściowo horyzont rozświetlony reflektorami statku przycumowanego przy sztucznej wyspie.

– Chodź, usiądź przy kominku – powiedział Duggan ściszym głosem. Mogła wyczuć jego zdenerwowanie, ten nie ukrywany pośpiech, który sugerował, że Duggan stara się jej coś powiedzieć, zanim opuści go cała odwaga. Jej odpowiedź brzmiała jak delikatna wymówka.

– A mój wywiad? Muszę wreszcie zebrać jakieś fakty, Duggan. Po to tu przyjechałam, zapomniałeś.

– Później – powiedział. – Jutro rano. – To było niemal błaganie.

– Teraz – nalegała. – Duggan, proszę!

Wyglądał na bardzo przygnębionego, a właściwie raczej na skruszonego. Po raz pierwszy tego wieczoru czuł, jak jego męskość gdzieś mu umyka.

– Wygląda na to, że nie dasz się przekonać. Załatwmy to więc.

– Dzięki.

Usiadła naprzeciw niego, świadoma jego wzroku śledzącego badawczo każdy jej ruch. Wyjęła z torby mały magnetofon, włączyła go i położyła na stoliku.

– Nie masz nic przeciwko temu? To dużo łatwiejsze niż robienie notatek.

Spojrzał na to małe pudełko, marszcząc brwi.

– Nie będziesz tego potrzebowała. Zawsze mogę ci dostarczyć spis posiłków czy cokolwiek, co chciałabyś zabrać ze sobą.

– Spis posiłków?

– Spis posiłków w stołówce pracowniczej. Zdrowe jedzonko za pieniądze kompanii. Podejrzewam, że chodzi ci o tego rodzaju materiały? Wyżywienie dla pracowników, ośrodki rekreacyjne, mieszkania, które...

– Dlaczego termin corocznej kontroli tratw ratunkowych został już przekroczony o cztery miesiące, Duggan?

Zamrugnął oczami.

– Co takiego?

– Dlaczego termin kontroli...

Duggan przerwał.

– Słyszałem pytanie, Fran. Nie rozumiem po prostu, dlaczego to ma być interesujący temat dla kobiet.

– Ja nie piszę dla kobiet; piszę dla czytelników. Przyjechałam tu, aby zrobić reportaż o demonstracji, jeśli jeszcze pamiętasz?

– Demonstrantom chodzi o zanieczyszczenia, o środowisko. Tratwy ratunkowe nie mają z tym nic wspólnego.

Potrząsnęła głową.

– Wszystko, co dotyczy terminalu Rora, jest sprawą publiczną. Ci ludzie, stojący tam w deszczu, są przestraszeni, Duggan. Zaryzykowałabym twierdzenie, że większość z nich nawet nie wie, czego się boi, po prostu czują strach. I być może, dzięki twoim wyjaśnieniom, wybawiłbyś ich z uczucia niepokoju.

– Albo narobił sobie niezłego kłopotu, jeśli palnąłbym jakąś głupotę.

– A dlaczego miałbyś palnąć głupotę? – zapytała szybko. – Czy sugerujesz, że mówiąc prawdę możesz powiedzieć coś, z czego „Panoco” będzie niezadowolone?

Duggan podniósł się nagle. Nie wyglądał już na skruszony; był wściekły.

– Wydaje mi się, że jedyną odpowiedzią może być: „Bez komentarza, pani Herschell!”

Wzruszyła ramionami.

– W porządku. Pozwolisz więc, że zadam ci kolejne pytanie. Automatyczne systemy przeciwpożarowe obsługujące terminal Rora i sztuczną wyspę. Czy wciąż utrzymywane są w stanie gotowości, jakiego wymagają wasze oryginalne ustalenia?

– Skąd, u diabła, wzięłaś te wszystkie pytania? – zachnął się Duggan. – OK, powiesz mi, że jesteś związana tajemnicą zawodową. Ale odpowiedź będzie taka sama: bez komentarza!

Starając się zachować spokój, pochyliła się i wyłączyła magnetofon.

– Inne pytanie, Duggan; tym razem zostanie to między nami. Czy jesteś pewien, że chcesz, abym zrelacjonowała wywiad z tobą w ten sposób?

– To znaczy?

– Mój wydawca zwrócił się do twoich władz z pytaniem, czy udzielilibyście wywiadu dziennikarzowi *Obywatela Północy*. Wyrażono zgodę, bez żadnych ograniczeń co do treści wywiadu. Zresztą nie zaakceptowalibyśmy ich, nawet gdyby był to warunek.

– Po czym Charliego wezwano do Stanów, a on zostawił mnie tu na pastwę prasy – gorzko dodał Duggan.

– ...Jako oficjalnego rzecznika waszej kompanii – powiedziała Fran. – I przykro mi, że to właśnie ty nim jesteś. Naprawdę mi przykro, Duggan. Mimo to mam obowiązek zadać ci więcej pytań tego typu. Obiecuję, że twoje odpowiedzi nie zostaną wyrwane z kontekstu i ich treść nie ulegnie zmianie. Czy więc naprawdę chcesz, aby ludzie przeczytali: „Rzecznik kompanii odmówił komentarza”?

Duggan usiadł i ponuro wlepił wzrok w ogień. Wiedział, i to bardzo dobrze, jaka będzie reakcja społeczeństwa. To tak, jakby podać bojownikom w rodzaju Jesse McLeish pas pełen amunicji. Zniknęła jego pozorna łagodność, co czyniło go jeszcze bardziej atrakcyjnym.

– OK. Spróbujmy jeszcze raz z twoimi cholernymi pytaniami – powiedział wreszcie. – Wygląda na to, że naprawdę zaplanowałaś rozłożyć mnie dzisiaj na obie łopatki!

Fran nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. I nic dziwnego. W końcu Duggan nie był aż tak daleki od prawdy... Nie zgadzał się tylko jeden drobny szczegół.

Peter Caird spóźnił się prawie pięć minut na randkę w ruinach chaty rybackiej. Zebrani towarzysze usłyszeli najpierw tajemnicze „psst”, potem zauważyli jakieś poruszenie w krzakach, wreszcie wyłonił się Peter zakamuflowany w wojskową kurtkę i wyglądający na bardzo z siebie zadowolonego. Zdażył już zbadać bramy terminalu i odkrył, że wycofano stałą ochronę policyjną. Nie robiło to żadnej różnicy, gdyż planowali dostać się na teren terminalu w inny sposób, ale przynajmniej potwierdzało to fakt, że ochrona była minimalna.

Alec Bell zachichotał nerwowo, starając się nie myśleć o czekającej go wycieczce łódką.

– Widzą go tu; widzą go tam...

– ...Widzą go wszędzie, do cholery! – McLean wrzasnął ze złością. – Trudno byłoby go nie zauważyć, skoro robi tyle hałasu!

Caird nie dał się zbić z tropu; oczekiwał zaczepki ze strony Johna McLeana.

– Tam jest: „szukają”. „Szukamy go tu...” i tak dalej. *Szkarłatna Prymulka*: Baronowa Orczy!

– Raczej „Szkarłatny Prysycz”! – Bell zachichotał ponownie.

– Nie możesz się już doczekać wyprawy do tankowca, Alec? – odparował Caird. Bell przestał się śmiać i przybrał nieszczęśliwy wyraz twarzy.

– Cześć, Peter – pośpiesznie powiedziała Janey, bo nie lubiła, kiedy zaczynali się kłócić. Szczególnie jeśli John zamierzał angażować się w intelektualną potyczkę z Peterem Cairdem.

– Witam, Janey – Peter mrugnął okiem jak jowialny wujek. – Cześć, Shona. Jesteście gotowe na historyczną noc?

Shona Simpson zignorowała go i zaciskając usta odwróciła się do Johna.

– No więc, co teraz?

– No, my... hmm...

– Kamuflaż – wtrącił Peter kompetentnie. Rozgrzebał kopę siana w rogu chaty i wyciągnął puszkę czarnej pasty do butów. Shona zapomniała ze złości, że się do niego nie odzywa.

– Możesz się wypchać, Peter. Nie oczekuj, że posmaruję sobie tym swoją twarz!

Doszli w końcu do porozumienia. Chłopcy użyli pasty do butów, dziewczyny natomiast

wykorzystały tusz do rzęs, smarując nim policzki i nosy. Dużo łatwiej go później zmyć.

– Mamuuuusiu... – błyszczący, czarny Alec wyglupiał się, starając się pokazać, że nic sobie nie robi z grożącego mu niebezpieczeństwa.

– Och, przestań się wydurniać! – McLean warknął zirytowany. Bell nigdy nie sprawiał mu problemów. Łatwo było nim kierować. Caird to co innego. Caird był bardziej inteligentny niż Alec. Prawdopodobnie – co John przyznawał niechętnie – Caird przerastał inteligencją nawet jego. Ale w drodze na plażę John odkrył, że ma pałającego żądzą zemsty współnika. Shona była po jego stronie. A razem uda im się chyba narobić kłopotów księciu Studentowi i jednocześnie pokazać ojcu Johna McLeana, jak wygląda prawdziwa demonstracja.

W końcu wszyscy byli gotowi. Skończyły się przekomarzenia i nie było już odwrotu. Po cichu wyszli z chaty, aby stawić czoło lejącemu deszczowi i wichurze, każdy z puszką farby i latarką w ręku. W odległości ćwierć mili widać było zarys tankowca. Widok ten przyprawił Aleca o dreszcze. Nawet Peter Caird zmarszczył nerwowo czoło, myśląc o ryzyku, jakie właśnie zamierzali podjąć.

Nie ulegało jednak wątpliwości, że Peter był stanowczym młodym człowiekiem. Dlatego też, w odróżnieniu od innych, pracował ciężko, aby dostać się na jeden z lepszych uniwersytetów. Z tego samego powodu znalazł się w obecnej sytuacji, ponieważ sama stanowczość, bez zdrowego rozsądku, może czasami zaślepić.

Przywołując się do porządku, rzucił McLeanowi nożyce do cięcia drutu.

– Daj nam czterdzieści minut. Przejdziecie przez druty pół godziny po północy i uderzycie na zbiorniki dokładnie o pierwszej. Powtórz.

– Och, k... mać! – McLean zapomniał, że znajdował się w obecności dziewcząt, ale Shonę wyraźnie to rozbawiło. – Straciłeś rozum, Caird! Cholerny wariat! Oglądasz za dużo telewizji. Mamy je pomalować, a nie wysadzić w powietrze.

– Zimno mi – dyplomatycznie ponagliła Janey. – Chodźmy już, John, proszę!

– Wcale się nie wydurniałem; odgrywałem jedynie kawałek Ala Jolsona – urażony Alec Bell zaprotestował ni z tego, ni z owego. – Chciałem wam dodać otuchy.

– Och, zamknij się, Alec! – wrzasnął Caird czując, jak powoli ogarnia go strach.

– No pewno, admirale, odbij sobie wszystko na poddanym! – krzyknął triumfalnie McLean. To była jego kolej, aby zdenerwować Petera.

– Nie podnoś swojego cholernego głosu, McLean! – zawołał Peter za oddalającymi się postaciami. Śmiech McLeana wspierany idiotycznym chichotem Shony Simpson był ich jedyną odpowiedzią.

To, czy ktoś ich usłyszał, nie miało dla Johna żadnego znaczenia. Przestał się przejmować konsekwencjami. Słowa, które usłyszał od ojca przy herbacie, pozbawiły go wszelkich wahań.

Był to pewno normalny dla młodego człowieka, jednak niebezpieczny stan umysłu. Szczególnie dla nieodpowiedzialnego i raczej wolno myślącego chłopaka, zdecydowanego pokazać wszystkim, co potrafi.

Dokładnie minutę przed północą od strony zatoki dało się słyszeć przytłumione grzmienie.

Parę osób, które je usłyszały – głównie te, które znajdowały się na pokładzie pobierającej balast *Calaurii* – przypuszczały, że to grzmot. Było to nieco dziwne.

Dlatego, że nie zapowiadano żadnej burzy w okolicach Quarsdale, a przepowiadanie pogody

stało się – tak jak obliczanie napięć działających na Bardzo Duże Przewoźnik Ropy – całkiem ścisłą dziedziną nauki.

Nikt jednak specjalnie się nad tym nie zastanawiał. Zapomnieli o tym tajemniczym grzmieniu w momencie, kiedy zegar na kościelnej wieży wybił północ

...i rozpoczął się niedzielny poranek.

Na statku

Rozważmy syndrom jeżenia grzbietu i zapadania się. Kiedy unoszący się na powierzchni wody obiekt jest nierównomiernie załadowany, to albo oba jego końce zanurzają się głęboko w wodę, środek zaś jeży grzbiet, albo z kolei środek zapada się w wodę, wyginając się jak salami kapitana Bisaglii. Nie trudno się domyślić, że po czterech godzinach napełniania balastem środkowych zbiorników *Calauria* zapadała się dość poważnie.

W tej sytuacji siły działające na statek składają się głównie z naprężeń rozciągających i ściskających. Naprężenia rozciągające powstają wtedy, gdy przeciwstawne siły działające wzdłuż jednej prostej powodują rozrywanie. Tak jak się to dzieje, kiedy chcemy rozciągnąć kartkę papieru: gdy pokonamy wewnętrzną siłę papieru, to kartka się rozrywa. Dokładnie to samo dzieje się z każdą stalową częścią kadłuba supertankowca.

Naprężenia ściskające występują z kolei wtedy, gdy zamiast rozciągania kartki w dwie przeciwne strony usiłujemy popchnąć jeden jej koniec w kierunku drugiego. Siły działają tak samo, wzdłuż jednej prostej linii, z tym że skierowane są do środka. Coś się więc wypacza – na przykład stalowe płyty i wzmocnienia w superstatku. Wszystko ulegające ściskaniu – papier, stal, drewno, ludzkie kości – wygnie się w końcu, gdy przekroczy się krytyczny punkt wytrzymałości materiału.

Kiedy statek znajduje się na morzu i jest podtrzymywany jedynie przez dziób i rufę albo gdy stoi bezpiecznie w porcie, ale jego środek jest obciążony ładunkiem – wtedy naprężenia rozciągające działają na dno statku, usiłując je rozerwać. Naprężenia ściskające natomiast poddają swemu działaniu pokład statku, starając się go wypaczyć. Projektanci oczekują, że ten rodzaj zmagania może trwać wiecznie, choć zdają sobie doskonale sprawę z faktu, że istnieje nieskończona ilość różnorodnych rodzajów fal, zaś dowódcy statków czy też pierwsi oficerowie nie zawsze są nieomylni. Dlatego też ludzie siedzący za deskami kreślarskimi projektują statki w ten sposób, aby miały one obszerny margines bezpieczeństwa. Jednocześnie ostrzegają przyszłych użytkowników przed brakiem czujności.

Trudno się dziwić, że gdy środek *Calaurii* – wciąż załadowany lekką ropą – obciążono dodatkowo trzydziestu tysiącami ton morskiej wody, to zaczął się on niebezpiecznie zapadać. Dokładnie tak, jak przewidywała to kopia *Conditions de Chargement*. Ale pierwszy oficer Spedini wyszedł z założenia, że konstruktorzy dla własnego bezpieczeństwa zwykle przesadzają z ostrożnością. Działając wbrew zasadom przezorności, która nakazywała, aby poprosił o radę kogoś bardziej doświadczonego,

Spedini zlekceważył ostrzeżenia. Na podstawie własnych obliczeń doszedł do wniosku, że VLCC faktycznie poddany zostanie naprężeniom większym, niż to zwykle bywa, ale nie zagrozi to jego bezpieczeństwu.

Paradoks polega na tym, że Spedini miał prawdopodobnie rację. Gdyby oprzeć się na standardowych normach konserwacji statku, to plan rozładunku przygotowany przez Spediniego obciążał ten superstatek w granicach jego wytrzymałości.

Ale *Calauria* przestała już być wytrzymałym statkiem.

Pierwszym etapem rozpadu kadłuba było wypaczenie się podłużnego wspornika przechodzącego tuż pod głównym pokładem przez lewoburtowy stały zbiornik balastu. Ta konkretna część konstrukcji została już zjedzona przez rdzę w trzydziestu ośmiu procentach. W momencie wypaczania spaw, który utrzymywał ją w odpowiednim miejscu, puścił. Wspornik przestał więc spełniać swoją rolę w utrzymywaniu statku w całości. A statek wciąż pobierał balast z szybkością mniej więcej siedmiu tysięcy ton na godzinę i naprężenia zwiększały się nieprzerwanie.

Parę minut później jedna z zanurzonych w wodzie płyt kadłuba zdeformowała się nieznacznie. Nie było to poważne uszkodzenie, wystarczyło jednak, aby ropa z niektórych zbiorników skrzydłowych zaczęła powoli wyciekać ze statku.

Jedynym sygnałem, że coś nie jest w porządku, był dźwięk przypominający odległe pomruki burzy. Od tego momentu rozpoczął się nieunikniony, postępujący rozpad kadłuba.

Dla Vaila była to chwila, w której nocne koszmary niektórych jego mieszkańców zamieniły się w rzeczywistość dla wszystkich.

Dla reszty nieświadomego świata rozpoczęła się kolejna morska katastrofa.

Rozdział IX

Niedziela: katastrofy faza pierwsza

Starszy strażnik Downie wszedł do pomieszczenia kontrolnego tuż po północy i zaczął grzebać w szufladach. Reg Blair przekazywał właśnie pilotowi McDonalldowi prognozę pogody.

– Wygląda na to, że dmuchnie, Archie. Przepowiadają wicherę z południowego zachodu. Ulewa, stałe zachmurzenie, widoczność piętnaście kilometrów, spadek temperatury o dwa stopnie... Słuchaj, poczekaj chwilę, jedną chwileczkę.

Blair spojrzał zirytowany na Downiego.

– Czego znowu szukasz?

– Baterii do latarki.

– Przecież wzięłeś nowe wczoraj wieczorem.

Downie skierował światło latarki na Rega. Migotało niewyraźnie, zamiast oślepić.

– Ktoś ją musiał zostawić włączoną.

– Tak, ciekaw jestem kto? – powiedział pogardliwie Blair i zajął się ponownie swoimi obowiązkami. – Przepraszam, pilocie. Jak idzie pobór balastu?

Archie wydawał się zadowolony.

– Skończymy mniej więcej za półtorej godziny. Według oceny zastępcy kapitana, powinniśmy rozpocząć rozładunek lekkiej ropy około drugiej, na pewno przed przypiływem.

– Przyjąłem. Coś jeszcze?

– To wszystko, Reg. Kończę.

– Nasłuch na szesnastce i dziewięćdziesiątce. Kontrola „Panoco”, kończę.

– Nie mogę znaleźć nowych baterii – mamrotał Downie zza szafki.

– I nic dziwnego, do cholery – rzekł Reg. – Jakiś bezmyślny głupek bez przerwy je zużywa. Sprawdź półkę na dole za pudełkiem z kopertami. Muszę przekazać prognozę Jimmiemu McFadyenowi.

Blair nastawił radio na kanał szesnasty.

– Watchdog, Watchdog... Kontrola „Panoco”.

Downie odezwał się znowu:

– Znalazłem pudełko z ołówkami. Mogę sobie parę zabrać?

Reg burknął, że nie. Dla zasady, oczywiście.

Wallace odezwał się przez głośnik:

– „Panoco”, Watchdog.

– Jedenastka, Jimmie.

– Przechodzę na jedenastkę.

Reg nie tracił czasu na szesnastce. Był to kanał wywoławczy przeznaczony dla wszystkich pracujących na morzu. Słuchała go ochrona wybrzeża i wszystkie statki. Służył wyłącznie do nawiązywania kontaktu. Nie można było pozwolić sobie na pogaduszki na szesnastce, gdyż w tym samym czasie jakiś nieszczęśnik mógł właśnie wzywać pomocy.

– Watchdog, kontrola „Panoco”.

– Tak, kontrola: nadawaj!

– Masz już prognozę pogody, Jimmie?

– Tak. Czego nie mogę powiedzieć o kolacji.

– Kolacji?

– Ten pacan, Gibby, odstawił cyrk na pokładzie, zabryzgując wszystko zupą zmieszaną z budyniem. Domyślam się, że zrobił to celowo.

Blair musiał się uśmiechnąć. Pomimo wszystkich zmartwień. Downie skrzywił się jak kot z „Alicji w Krainie Czarów”. Ciągłe kłótnie na pokładzie holownika *William Wallace* dostarczały rozrywki wszystkim pracownikom „Panoco”.

– Przykro mi z tego powodu, dowódco – wyraził swoje współczucie Blair. – Co słyhać poza tym? Jak tam sytuacja na morzu?

– Masz szczęście, że nie wolno mi przeklinać przez radio – głos McFadyena zawarczał w eterze.

– Jest źle i robi się coraz gorzej. Jeśli posiedzimy tu jeszcze trochę, to nie unikniemy uszkodzeń.

– Wracacie więc do portu Neackie?

– Poczekamy jeszcze trochę. Poinformuję cię.

– OK – powiedział Blair. Był zaskoczony, że holownik jeszcze tam był. Przy zachodnich wiatrach, szalejących w zatoce od paru dni, większość szyprów już dawno uciekłyby do portu. A może Jimmie chciał zrobić komuś na złość – na przykład Wulliemu Gibbowi?

– Coś jeszcze?

– Jak znajdziecie jutro rano ciało na plaży, to nie będzie potrzeby, aby je identyfikować. To będzie Gibb!

Downie parsknął śmiechem. Reg szybko zakrył ręką nadajnik.

– Zamknij się. Może cię usłyszeć. – Cofnął rękę i powiedział: – Tankowiec zakończy pobór balastu około pierwszej trzydzieści.

– Przyjąłem. Watchdog kończy. – McFadyen wyłączył się i pomieszczenie kontrolne wypełniły ponownie dźwięki zakłóceń.

Downie znalazł wreszcie zapasowe baterie. Zaczął zapinać kombinezon.

– Zaczynam swój obchód od stołówki. Chcesz, abym przekazał Olliemu, że będziesz go potrzebował około pierwszej trzydzieści? – Chic Oliver był odpowiedzialny za pompy. Nie miał zbyt wiele do roboty, gdy VLCC pobierał balast. Zasztywał się więc wtedy przeważnie w jakimś cichym kącie.

– Możesz mu przekazać. – Blair złapał się za brzuch i wymamrotał: – Chryste!

– Dobrze się czujesz, Reg? – strażnik zmarszczył czoło. Ekspedytor otrząsnął się.

– Bebechy coś mi dokuczają. Nic poważnego.

– Za bardzo się przejmujesz, kolego – Downie zaczął strofować Rega. – Powinieneś się cieszyć, że masz pracę. Wielu jej nie ma.

– Downie, naprawdę nie pojmuję, jak ty to robisz, że zawsze palniesz coś w najmniej odpowiednim momencie... – Czując, że ogarnia go nowa fala bólu, Reg jęknął: – Słuchaj, poczekaj tu

chwilę, muszę iść do toalety.

Blair był w połowie korytarza, kiedy z pomieszczenia kontrolnego dobiegł go nikły głos pilota McDonalda. Reg nigdy nie zdawał sobie sprawy, że w innych pomieszczeniach budynku dźwięk był tak bardzo przytłumiony, wręcz ledwo słyszalny. Zawrócił pośpiesznie pomimo bólu. Downie siedział już na krześle, patrząc mętnie na konsolę.

– Co mam teraz robić?

– Ale z ciebie pomoc. Przesuń się, ja to odbiorę! – warknął Blair. – Pilot. Tu kontrola „Panoco”!

Byli na kanale dziewięćdziesiątym, przeznaczonym dla wewnętrznej łączności między pracownikami terminalu Rora. Nie było potrzeby przechodzić na inną częstotliwość.

– Reg, czy parę minut temu przekazałeś całą prognozę pogody z dwunastej? – Archie McDonald pytał ostro. Tak przynajmniej odebrał to Reg.

Ekspedytor zmarszczył brwi.

– Potwierdzam. O co chodzi?

– Nie było nic o ewentualnej burzy w tym rejonie?

– Nie, ale poczekaj chwilę... – Czując lekkie rozdrażnienie, Blair spojrział ponownie na kartkę z prognozą pogody; zapowiedź wyładowań atmosferycznych miałyby ogromne znaczenie zarówno dla niego, jak i dla wszystkich zaangażowanych w rozładowywanie tysięcy ton potencjalnie wybuchowego materiału.

– Absolutnie nie. Dlaczego przyszło ci to do głowy?

– Wydawało mi się, że słyszałem grzmot koło północy – odpowiedział McDonald.

– Upłynęło już trochę czasu. Nic o tym nie wspomniałeś, gdy rozmawialiśmy ostatnio.

Oddalony o ćwierć mili pilot wydawał się zdziwiony. Zdziwiony, ale niezbyt przejęty.

– Przepraszam, Reg; brygadziście na wyspie wydawało się, że znowu słyszał grzmot. Parę minut temu.

Początek wyprawy powinien był uświadomić Peterowi Cairdowi, że nadszedł czas, by zapomnieć o dumie i zrezygnować z przedsięwzięcia, które każda rozsądna osoba oceniłaby jako wielce ryzykowne. Nie! Oceniałaby to jako zwykłą wariacką i niebezpieczną przygodę.

Zanim jeszcze udało się im spuścić łódkę na wodę, obaj przemokli do suchej nitki. Jak na złość, łódź postanowiła pokazać im, co potrafi. Za każdym razem, gdy próbowali wypłynąć na zatokę, jakaś wyjątkowo złośliwa fala uderzała w dziób, wyrzucając ich środek lokomocji z powrotem na piach.

No, ale w końcu znaleźli się obaj na pokładzie i Caird zajął się umocowywaniem wiosł. Alec nie był, oczywiście, specjalnie pomocny. Siedział przerażony na rufie, wyglądając jak jedno wielkie nieszczęście. Trzymał się kurczowo burty i rozglądał z niepokojem dokoła.

– Czerpak – Peter warknął groźnie, zmagając się z falami uderzającymi w delikatny dziób łodzi. – Wybieraj wodę, do cholery, zrób wreszcie coś pożytecznego!

– Moje kalosze są pełne wody – jęknął Alec.

– Ty będziesz pełen wody, jeśli jej nie zaczniesz wybierać – powiedział Caird z groźbą w głosie. – Jeśli nie utoniemy, to wyrzucę cię za burtę.

Nie mówił tego poważnie; utonięcie nie wchodziło w grę. Peterowi wróciła pewność siebie, gdy tylko oddalili się od plaży. Dokładnie znał swoją łódkę, a zatoka, nawet nocą, nie wydawała mu się groźna. Był wystarczająco doświadczonym żeglarzem, aby podjąć wszelkie środki ostrożności, które uznał za stosowne. Obaj mieli na sobie kamizelki ratunkowe; pod ławkami znajdowały się specjalne

plywaki, które miały unosić łódź na powierzchni wody, nawet gdyby przez jakiś głupi przypadek wypełniła się całkowicie wodą. Mieli latarki, gwizdki, parę petard i syrenę przeciwmgielną, wyglądającą zupełnie jak puszcza z farbą. Z tym że miała doczepiony czerwony plastikowy klakson.

Niestety, Peter nie pozbył się przekonania, że ostrożność jest słabością ludzi starych lub mało inteligentnych. W głębi ducha zdawał sobie, być może, sprawę z tego, że wypływanie nocą na wzburzone wody zatoki Quarsdale w czymś w rodzaju szalupy przeczyło wszelkim zasadom przezorności. Młodość i arogancja utwierdzały go jednak w przekonaniu, że jest zdolny pokonać wszelkie niebezpieczeństwa.

Jeśli więc chodzi o zaślepienie pewnością siebie, to Peter Caird i pewien pierwszy oficer Mario Spedini mieli ze sobą wiele wspólnego...

Oddalili się już spory kawałek od plaży, gdy Alec skończył wybierać wodę. Otaczała ich kompletna ciemność. Bell doznał wrażenia, że odcięto go od znanego mu świata. Wydawało mu się, że wpadł w niebezpiecznie wirującą otchłań, gdzieś między pozostającymi w tyle błyszczącymi światłami Vaila a jasnością oznaczającą cel ich podróży.

– Wracajmy! – krzyknął rozpaczliwie Alec Bell. – Złe się czuję, to jest niebezpieczne.

Ogromna fala uderzyła w dziób łodzi, rozpryskując się natychmiast w setki ostrych wodnych igieł. Wstrząsnął nimi silny podmuch wiatru. Caird miał przeczucie, że za chwilę będą musieli stawić czoło burzy, i po raz pierwszy poczuł, jak słabnie jego zapal. Po chwili jednak ogarnęła go nowa fala euforii.

Nadmiernie wybujała wyobraźnia Petera karmiona była od lat dziełami Marrayata, Conrada i C.S. Foreстера. Szczególnie Foreстера: czyż zdarzyło się, aby Horatio Hornblower nie był dręczony niepewnością i nie nachodziły go wątpliwości tuż przed zaatakowaniem statków Napoleona? Czy nie przeżywał chwil zwątpienia walcząc z żywiołem? Peter przypomniał sobie fragmenty ulubionych książek i umocnił się w swoim postanowieniu.

– To tylko nawałnica – krzyknął i zaczął wiosłować ze zdwojoną energią. Następna fala uderzyła w tył łodzi, zalewając ją częściowo.

– O rany! – zaczął pisać Alec Bell.

– Wybieraj wodę. – Peter zaśmiał się nerwowo. – Nie przestawaj wybierać, panie Bell. Zrobimy jeszcze z ciebie żeglarza.

– Jesteś kompletnie pieprzony, Caird! – wrzasnął „pan Bell” w odpowiedzi i zarzygał wszystko dookoła siebie.

Po czym wydarzyło się coś dziwnego...

Gdy znaleźli się mniej więcej w połowie drogi – jakieś dwieście metrów od brzegu – zatoka uspokoiła się nagle. Było to zupełnie niezrozumiałe. Szczególnie że wiatr nadal rozwiewał im włosy i wciąż lał się na nich potok deszczu. Jeszcze bardziej zadziwiający był fakt, że fale stawały się coraz większe. Niektóre zasłaniały kompletnie światła Vaila.

– Wpływamy pod osłonę tankowca – wyjaśnił naukowo Peter Caird. Była to bzdura, bo wciąż znajdowali się zbyt daleko od *Calaurii*, aby odczuwać korzystne skutki ochrony przed wiatrem, jakiej dostarczało masywne cielsko statku.

Jednakże fale, większe czy nie, wyraźnie łagodniały. Bez wątplenia stawały się spokojniejsze. Nawet Alec to zauważył i poczuł dozoną wdzięczność.

Może nie tak całkiem „dozoną”, jak się później okazało. Należałoby raczej powiedzieć, iż poczuł chwilową wdzięczność.

W tym samym momencie powrócił mu zmysł węchu. Było to dowodem na to, że czuł się już dużo lepiej; do tej pory jedynymi funkcjonującymi zmysłami Aleca Bella były zmysły słuchu, wzroku i równowagi. W każdym razie zaczął nagle węszyć. Zupełnie jak gruby, przytopiony pinczer – pomyślał Caird złośliwie.

– Czujesz coś, Caird? – spytał w końcu.

– Na przykład, co? – Ton głosu Petera był ostry. Wiosłował już dość długo, bez możliwości odpoczynku; jedyne, co czuł w tej chwili, to nasilający się ból mięśni.

– Bo ja wiem... – Bell wzruszył ramionami, marszcząc nos. Wydawało się, że najgorsze mają już za sobą, powinien się więc czuć nieco pewniej. Droga powrotna będzie z pewnością łatwiejsza. Mimo to zaczął odczuwać inny rodzaj niepokoju: jakieś zdenerwowanie spowodowane czymś mniej namacalnym od zwykłej obawy przed chorobą morską. Przyczyna tego uczucia tkwiła w nieprzyjemnej woni roztańczającej się nad ich głowami.

– To taki „garażasty” smród – upierał się Alec. Słownictwo nigdy nie było jego mocną stroną. – Jeśli wiesz, o co mi chodzi...

– Nie wiem. Słuchaj, wybierz, do cholery, tę wodę; nie jesteśmy na wycieczce krajoznawczej.

Alec schylił się i zaczął wybierać wodę plastikowym czerpakiem, starając się jednocześnie wyszukać ze swojego ograniczonego zasobu słów jakąś konkretną nazwę. Zajął mu to minutę lub dwie.

– Ten zapach, Caird. Czy to nie pachnie trochę, jak... no, jak olej silnikowy albo coś takiego?

Nie tylko Alec miał ograniczone słownictwo. Kiedy niedaleko od brzegu Peter Caird bawił się w nawigatora, daleko w głębi zatoki – gdzie fale naprawdę były ogromne – na pokładzie holownika *William Wallace* zapanowała prawie śmiertelna cisza.

Przynajmniej nie słychać było żadnych rozmów. Świst wiatru i potworny szum szalejącego morza, wdzierającego się do zatoki, akompaniowały uderzeniom fal i metalicznemu brzękowi dochodzącemu od strony dzioba holownika, który coraz silniej ocierał się o linę cumowniczą.

Te znajome dźwięki spowodowane były nadejściem długo oczekiwanej wichury, zaś niezwykła cisza na pokładzie statku zapanowała dlatego, że nikt nigdy wcześniej nie był zmuszony do znoszenia towarzystwa szypra McFadyena przy kolacji składającej się z chleba, margaryny i dżemu – a nie ze smażonych kiełbasek, placków czy nawet gorącej zupy.

...Nikt nie był narażony na taką ewentualność aż do tej chwili.

A wszystko dlatego, że zbuntowany Wullie Gibb zdołał jakimś cudem – być może z pomocą Bożą, a być może dzięki zdeterminowaniu – zrzucić składający się z trzech dań obiad prosto na brudną podłogę kuchenną.

Trudno było szukać w jego oczach odpowiedzi na pytanie, jak tego dokonał. W czasie tego niemego posiłku żebraków siedział na swoim miejscu, zajmując się pochłanianiem całego bochenka chleba i trzech czwartych słoika dżemu truskawkowego. Kubki, talerze, aluminiowa cukiernica i wszelkie pozostałe wyposażenie kuchni przetaczało się nieustannie z jednej strony stołu na drugą, pobrząkując, dzwoniąc, stukając i obijając się o jego brzegi. A temu draniowi Wulliemu nie drgnął nawet mięsień na twarzy.

Dopiero gdy szyper bez słowa opuścił towarzystwo i udał się na górę, aby zastąpić pierwszego oficera czuwającego na posterunku, odważono się przerwać milczenie.

– Zawartość cukru w jedzeniu takim jak to jest z pewnością zabójcza dla człowieka z moimi

skłonnościami do cukrzycy – zawyrokował główny mechanik Burns, zdenerwowany, iż ktoś może myśleć, że tego rodzaju posiłek ma jakieś wartości odżywcze.

– Nie dalej jak wczoraj mówiłeś, że cukier blokuje ci arterie – przypomniał mu Wullie. – To twoje ciało jest jak tor wyścigowy: wszystkie choroby ścigają się jak wściekle i każda chce pierwsza cię zabić.

Ogromna fala wyrosła nad prawoburtowym włazem i uderzyła z hukiem w kadłub holownika. Statkiem zatrzęsło potężnie. Odgłos obijającej się o dziób liny zagrzmiął tak, jakby gigant kopnął w statek stalowym butem. Wypełniona po brzegi cukiernica zsunęła się ze stołu i potoczyła po pokładzie, zostawiając po sobie długi, biały ślad.

– Mam już tego dość. Najwyższy czas, by McFadyen poddał się wreszcie i zabrał nas z powrotem do portu Neackie! – zaprotestował wyraźnie rozdrażniony pokładowy McDade.

– Tak? To może któryś z was, odważnych żeglarzy, raczy mu to powiedzieć. Gdyby mnie posłuchał i wrócił godzinę temu, to jedlibyście teraz kielbaski – powiedział Wullie nie wiadomo do kogo, patrząc niewinnie na jakiś wyjątkowo interesujący fragment pokładu. Spojrzeli na niego podejrzliwie, starając się zorientować, czy próbuje kogoś podpuścić, ale Wullie z niczym się nie zdradził. Eck Dawson, który nie wiedział jeszcze o nagłej śmierci kolacji, zszedł z mostka i wkroczył do kuchni rozdeptując cukier.

– Nie rozumiem, co go, u diabła, ugryzło – powiedział. – Co jest na kolację, Wullie?

– Chleb i margaryna.

– I co jeszcze?

– Dżem! Jeśli jeszcze coś z niego zostało i jeśli jesteś przygotowany, z odwagą naszego mechanika, stawić czoło cukrzycy.

Pierwszy oficer wyglądał na zbitego z tropu. Czyżby Wullie faktycznie niczego nie ugotował? Były dwie możliwości: albo Dawson znalazł się nie na swoim statku, albo Gibby się zgrywał.

– Bardzo dowcipne. No więc gdzie są moje kielbaski?

Reszta towarzystwa poinformowała go więc z wielkim rozzaleniem, w którym kubie na odpadki może szukać swoich kielbasek oraz dlaczego się tam znalazły. Eck, który był potężnym mężczyzną, cenił sobie przyzwoitą gorącą kolację bardziej niż siostrę Gibbiego, Katrinę. Słyszając to, złapał Wulliego za gardło i szarpiąc wściekle przygwoździł do przegrody.

– Wypożyczyłem kiedyś z biblioteki książkę pod tytułem *Największe katastrofy świata*. Pisali w niej o tobie – wycharczał. – Potem wziąłem inną, zatytułowaną *Szkodniki*. Poczytałem sobie o insektach, takich jak ty, Wullie...

– O, to ty umiesz czytać? – wykrztusił purpurowy Wullie, do końca już zbuntowany. – Wkrótce usłyszymy, że umiesz także pisać.

– Sza! – Tam Burns syknął niecierpliwie. – Przestań go dusić. Przynajmniej przez minutę.

Nasłuchiwali uważnie. Od strony mostka dobiegł ich donośny głos szypra McFadyena:

– Kontrola „Panoco”, mówi Watchdog.

Usłyszeli odpowiedź Blaira:

– Watchdog; kontrola. Przejdź na jedenastkę, Jimmie.

– Opuszczam stanowisko i wracam do portu Neackie. Nie mogę się tu dłużej utrzymać.

Zostało dwadzieścia minut do końca pierwszej niedzielnej godziny.

Wnikliwy obserwator dostrzegłby niewyraźny uśmiech triumfu na ustach pokładowego Wulliego Gibba.

Był to uśmiech bardzo tajemniczy. Nikt nie mógłby rozstrzygnąć autorytatywnie, czy sobotnia kolacja szypra McFadyena legła w gruzach z powodu wybryku pogody, czy też zniszczyła ją zwykła złośliwość.

Fran z pewnością nie kierowała się złośliwością podczas wywiadu z Dugganem. Było jej nieprzyjemnie i zmuszała się do kontynuowania tej rozmowy. No, ale przecież przyjechała tu po to, aby ją przeprowadzić. Wcale nie chciała odkryć tego, czego oczekiwał od niej jej wydawca. Nie chciała po prostu usłyszeć od Duggana pewnego rodzaju odpowiedzi, chociaż podejrzewała, iż mogłyby one stanowić materiał do najlepszego reportażu, jaki kiedykolwiek napisała.

Nie chciała, aby tak się stało, bo mogło to osobiście zaszkodzić Dugganowi. Była świadoma, że może zniszczyć jego przyszłość w „Panoco”. Jeśli połowa zarzutów wymienionych w anonimie do jej wydawcy była uzasadniona, to nagłówki *Obywatela Północy* wywołałyby zainteresowanie jakiejś dużej krajowej gazety i wybuchłaby sensacja. Mogła sobie już teraz wyobrazić czołówki: *Naftowy gigant ryzykuje życie dwóch tysięcy ludzi. Ekonomia niweczy zasady bezpieczeństwa. Multimilionowy brak odpowiedzialności. Oszczędź dolara za wszelką cenę. Szkockie społeczeństwo na lasce nafcjarzy...*

Duggan jako rzecznik byłby skończony zawodowo. Każda większa międzynarodowa kompania zrezygnowałaby z kierownika, który nie był w stanie przeciwstawić się krytyce prasowej. Posądzono by go co najmniej o brak dyskrecji. Jeśli nie o totalną głupotę.

Nie, Fran odrzuciła ze wstrętem taką perspektywę. Nie miała chęci odnieść takiego sukcesu. Nie chodziło jednak o to, że mogłaby skrzywdzić Duggana – celowo zapędziła go w kozi róg, zdając sobie doskonale sprawę z tego, że rezultatem może być dziennikarskie polowanie na czarownice. Jeśli jej podejrzenia okazałyby się słuszne, to ciążąca na niej odpowiedzialność za odsłonięcie prawdy i zaangażowanie w to odpowiednich władz okazałaby się silniejsza niż lojalność w stosunku do Duggana. Miała jednak nadzieję, że prawda ta okaże się niczym więcej, jak stosownym wyjaśnieniem przemysłowych zawiłości.

Nieprzyjemne przecucie – ta obsesyjna wizja tragedii – nigdy jej jednak nie opuściło. Chciała znaleźć podstawy, aby się tego pozbyć, aby śmiać się z siebie za... za poddawanie się niedorzecznym wymysłom. Pragnęła opuścić Vaila z przekonaniem, że dla większości mieszkańców miasteczka terminal Rora był rzeczywiście – tylko i wyłącznie – cudem ekonomicznym.

Tuż przed godziną pierwszą doszła do wniosku, że uzyskanie takiej pewności nie wchodziło w rachubę. Im bardziej obstawała przy swoich pytaniach – uzbrojona nie tylko w list, ale także w zarzuty poczynione przez radną McLeish – tym bardziej Duggan stawał się zmieszany. Tym bardziej również rosły jej obawy o bezpieczeństwo Vaila.

Wiedziała, oczywiście, że niektóre oskarżenia były nieusprawiedliwione. Opóźniony przegląd tratw ratunkowych był najlepszym przykładem: parę miesięcy wcześniej zamówiono nowocześniejsze modele i zajmująca się tym firma nie dotrzymała po prostu terminu dostawy.

– Spieprzyli wszystko. Do diabła, Fran, może powinniśmy ich pogonić, ale trudno oczekiwać, aby Charlie zgodził się ponosić koszty związane z wydawaniem nowych zaświadczeń dla sprzętu przeznaczonego na złom. Każdego cholernego dnia czekaliśmy, że nowe tratwy zostaną dostarczone do bram terminalu.

Takie wyjaśnienie było do przyjęcia. Oznaczało to jednak, że w razie zagrożenia ludzie pracujący na sztucznej przystani mogli liczyć jedynie na przestarzałe urządzenia. Fran nie chciała kontynuować

tego tematu. Było wiele innych, poważniejszych spraw do zbadania.

– A co z przeciwpożarowymi systemami terminalu, Duggan? Czy są utrzymywane i konserwowane zgodnie z planami?

Zawahał się przez moment, po czym burknął:

– Oczywiście.

– Na pewno?

Spojrzał na magnetofon.

– Słuchaj, czy mogłabyś wyłączyć to pudełko?

Wyłączyła magnetofon i spytała cicho:

– Czy jesteś naprawdę pewny, Duggan? Może mógłbyś mi wyjaśnić zasady działania tych systemów?

– Jeśli chcesz poświęcić na to resztę nocy, to proszę bardzo. I większość jutrzejszego dnia.

– Bez szczegółów. Ogólne zasady.

Duggan wzruszył ramionami.

– OK. Jest główny tunel, który może dostarczać wodę pod ciśnieniem dwustu pięćdziesięciu funtów na cal kwadratowy. Trzy jednotonowe pompy – spalinowa i dwie elektryczne – pompują prosto z zatoki do dwunastocalowej rury zbiorczej przeprowadzonej przez środek magazynu zbiorników. Ta rura rozgałęzia się na ośmio – i sześciocalowe odnogi, obsługujące hydranty na terenie całego kompleksu, a także podwodne rurociągi połączone z miotaczami piany znajdującymi się na sztucznej wyspie.

– W jaki sposób kierujecie wodę na miejsce pożaru?

– Nie musimy tego robić. Każda odnoga rury zbiorczej połączona jest ze stale otwartym zaworem. Załoga ratunkowa musi jedynie uruchomić hydrant znajdujący się najbliżej źródła ognia.

Przerwał na chwilę i spojrzał na Fran wyzywająco. Czuł, że odzyskuje pewność siebie.

– Czy chcesz, abym podał ci więcej szczegółów, które mogłyby zafascynować twoich czytelników? Jak na przykład chwytający za serce techniczny opis umieszczonych na sztucznej wyspie rurociągów pompujących, wspomagających główny system? Albo może absorbujący materiał do reportażu o tym, jak przyspawaliśmy dwudziestoceterocalowe zapory do pontonowych pokryw unoszących się na wodzie zbiorników? A co sądzisz o trzymającym w napięciu artykule na temat wkładki topikowej zainstalowanej w...

– Co możesz mi powiedzieć o ruchomej pompie znajdującej się w głównym obiegu, Duggan? – przerwała mu nagle.

– A co mam ci powiedzieć?

– Dlaczego ona tam jest?

Duggan westchnął:

– Chryste, Fran! Jak bardzo mam się stać banalny?

Jej policzki zaczerwieniły się ze złości. Starła się nie angażować emocjonalnie, ale wyglądało na to, iż Duggan jej to uniemożliwi.

– Dużo mniej banalny od swoich niedojrzałych zagrywek. Moje pytania dotyczą bezpieczeństwa wielu ludzi. Masz prawo odmówić odpowiedzi, ale nie pieprz, Duggan. Nawet nie próbuj!

– Wiesz co? Wydawało mi się, że dawałaś mi do zrozumienia – odciął się gwałtownie – że oczekiwałaś, iż właśnie to będę robił dziś w nocy.

Patrzyła na niego przez długą chwilę.

– Nie po tym, co przed chwilą powiedziałeś – odparła spokojnie, starając się, aby nie zauważył, jak bardzo ją zranił. – Już nie teraz, Duggan.

Wstał, nagle zażenowany, i podszedł do niej.

– Przepraszam, Fran. Naprawdę nie chciałem, aby to tak zabrzmiało.

– Dlaczego siedem lat temu uważano za konieczne zainstalowanie w głównym obwodzie małej ruchomej pompy? – domagała się odpowiedzi, nie zwracając uwagi na jego przeprosiny. – Czy nie dlatego, że oryginalnym założeniem było stałe utrzymanie całego systemu pod ciśnieniem? I pompa ruchoma jest tam po to, aby dostarczyć tego ciśnienia. Wtedy w razie pożaru, szczególnie w miejscach najbardziej narażonych na niebezpieczeństwo, gdy o wszystkim decydują sekundy, drużyny ratunkowe rzeczywiście muszą jedynie uruchomić najbliższy hydrant?

Duggan wyglądał na zmieszanego. Nie wiedziała, czy spowodowała to jej reakcja na przeprosiny, czy pytanie, które mu zadała. Po chwili podszedł do okna i zaczął przyglądać się statkowi przycumowanemu przy sztucznej wyspie.

– W porządku – powiedział w końcu. – Nie utrzymujemy już tego systemu w ciągłym pogotowiu. Ale ciśnienie można wytworzyć w każdej chwili. W każdym razie zajmuje to mniej czasu niż podłączenie rozgałęzień pianowych do hydrantów.

– Przyznasz mimo to, że pięć miesięcy temu „Panoco” świadomie wyraziło zgodę na obniżenie wydajności systemów przeciwpożarowych w terminalu Rora?

– Była to decyzja Charliego. Nie prosiliśmy Dallas o zgodę. – Odwrócił się, by na nią spojrzeć. – Poza tym nie uważam, aby to było obniżanie wydajności wyłącznie dla celów praktycznych. Czy masz pojęcie, jakich problemów przysparzało to całodobowe zalewanie ruchomej pompy? Mieliśmy pięć mil cholernej uszczelki, która wcale nie była szczelna; pompa wspomagająca nie wytrzymała wahań ciśnienia i zaczęła wysiadać. Włączały się wtedy główne dieslowskie pompy, ale one też pracowały zbyt długo i...

– Mogliście przeczyszczać system regularnie. Wymieniać niesprawne uszczelki. Krótko mówiąc, zapobiegliwe kierownictwo mogło zmniejszyć obciążenie ruchomej pompy. Dlaczego tego nie zrobiliście?

Nie odezwał się słowem.

– Koszty! – Fran odpowiedziała sobie sama, nie ukrywając goryczy w głosie. – Koszty i strach przed kierownictwem w Dallas. Zarząd Główny „Panoco” nie mógł jawnie zgodzić się na obniżanie poziomu sprawności urządzeń awaryjnych, dlatego też zaczął wywierać finansową presję na miejscowe kierownictwo, nie pozostawiając mu alternatywy. Pięć miesięcy temu Stany zredukowały budżet tak poważnie, że Charlie nie miał innego wyjścia, jak tylko zamknąć część systemu. Od tego czasu obaj staraliście się zachować ochronę przeciwpożarową na jakimś tam poziomie, ale nie wątpię, że ludzie w Dallas woleliby o tym nie słyszeć.

Duggan był zdenerwowany.

– Chryste, Fran! Jesteśmy organizacją przemysłową. Zarząd w Stanach ponosi odpowiedzialność wobec naszych międzynarodowych akcjonariuszy.

– Ponosi jeszcze większą odpowiedzialność wobec ludzi żyjących w Vaila. I wobec demonstrujących teraz przed waszymi bramami rybaków, którzy podejrzewają, że „Panoco” wcale nie jest cudem ekonomicznym, za jaki chcielibyście go uważać. Niepokoi ich ta złudna wszechmoc ropy. Tak naprawdę, to są przerażeni. – Udało się jej opanować emocje. W środku jednak trzęsła się ze złości. – Twierdzisz, że można natychmiast uzyskać właściwe ciśnienie wody w systemie

przeciwpożarowym. W jaki sposób?

Nie wyglądał na szczęśliwego, ale wciąż dzielnie starał się ją uspokoić:

– Ekspedytor w pomieszczeniu kontrolnym ma przed sobą konsolę, na której znajduje się włącznik. Wystarczy go przekręcić, a pompy zasilające główny system przeciwpożarowy zaczynają pracować. Mogą również zostać uruchomione w pompowni przez strażnika.

– A jeśli pożar wybuchnie na sztucznej wyspie? Czy pracujący tam ludzie mogą uruchomić własny system bez pomocy znajdującego się na lądzie ekspedytora?

Potrząsnął przecząco głową.

– Nie. Ale nie zapominaj, że sprawdzamy, czy wszystkie VLCC mają własne systemy zabezpieczające. Wystarczy, że nasi ludzie: piloci, PCO, brygadzysta załogi sztucznej wyspy, skontaktują się z ekspedytorem przez VHF-radio i natychmiast dostarczona zostaje woda do miotaczy pianowych. Człowiek siedzący w pomieszczeniu kontrolnym jest odpowiednio wyszkolony. Wie, jak się zachować w razie awarii: zamknąć zawory od pomp rozładunkowych, zawiadomić drużyny ratunkowe, wezwać strażackie holowniki...

Podniosła nagle głowę.

– Właśnie, chciałam poruszyć ten problem. Co się dzieje z holownikami w razie złych warunków atmosferycznych?

– O, kurczę blade – mruknął Duggan, tym razem wyraźnie zrezygnowany. – Znowu coś nie tak? – zapytał bez entuzjazmu.

– Wygląda na to, że ekspedytor jest najważniejszą postacią w każdej operacji na terenie terminalu. On włącza wszystkie systemy, sprowadza pomoc. Załóżmy, że zaistnieje sytuacja, w której ekspedytor zawiedzie, Duggan. Co się wtedy stanie?

– Nie zawiedzie. Przeprowadzamy ostrą selekcję. Są to przeważnie byli wojskowi. Można na nich całkowicie polegać.

– Załóżmy więc, że nie może zareagować w przypadku awarii. Nie jest w stanie z jakiegoś powodu. Ma atak serca albo, nie wiem, wylew.

Duggan przez długą chwilę patrzył przez zalane deszczem okno na ogromny statek.

– Wtedy, pani Herschell – powiedział ponuro, nie próbując uchylić się od odpowiedzi – pięćdziesiąt parę osób będzie miało potworny problem.

Za kwadrans pierwsza McLean przeciął ogrodzenie i dostał się na teren terminalu Rora. Shona Simpson bez wahania podążyła za nim. Oboje przez parę minut przekonywali Janey Menzies, aby raczyła do nich dołączyć.

– Jestem całkiem przemoczona – zapiszczała tamta. – Trawa jest mokra.

– Ucisz się trochę, idiotko – syknęła Shona.

– Nie jesteś nawet w połowie tak mokra, jak Caird w tym swoim pomarańczowym pudełku, które nazywa łodzią – zachichotał John.

Uklękli na chwilę, nasłuchując i rozglądając się dokoła. Terminal wydawał się całkowicie uśpiony. Nie było żadnych oznak jakiegokolwiek ruchu między błyszczącymi stalowymi zbiornikami wznoszącymi się nad milami rur i połąciami mokrego betonu. Przez krótką chwilę nawet ograniczona wyobraźnia Johna McLeana zaczęła pracować, podsuwając mu wizje niebotycznych osiągnięć.

– Robi mi się zimno! – Janey pociągnęła nosem. Ona była całkowicie pozbawiona wyobraźni.

John zauważył, że Shona już otworzyła buzię, aby wypowiedzieć jakąś złośliwą uwagę,

i wyszeptał pośpiesznie:

– Macie puszki z farbą? Dobra, idziemy.

Pochyleni nisko nad ziemią przebiegli do miejsca ocienionego przez niski ceglany pomost utrzymujący cały zestaw gigantycznych zaworów. Mieli teraz idealny widok na zatokę i zalaną światłem sztuczną wyspę. Prom przewożący załogę na platformę leżał przycumowany przy brzegu. Nikogo przy nim nie było. Długi niski budynek znajdujący się z prawej strony zasłaniał tankowiec spoczywający w zatoce. Okna budynku były oświetlone.

McLean poczuł na swojej twarzy podmuch ostrego wiatru i ogarnęło go zadowolenie, że to Caird i Alec Bell byli na tyle głupi, żeby wypływać łodzią w taką pogodę. Zaczął się nawet trochę o nich niepokoić. Poziom wody podniósł się znacznie od momentu, kiedy obserwował zatokę z chaty rybackiej.

Shona nie okazywała niepokoju. Wyglądało na to, że jest w swoim żywiole; nie zwracała nawet uwagi na to, że jej długie blond włosy są w potwornym nieładzie.

– A może zaczęlibyśmy tutaj? – zaproponowała.

– Jesteś pewna, że powinniśmy? – Janey spytała płaczliwie.

– Jestem pewien, że nie powinniśmy. – John wykrzywił twarz w uśmiechu. – To wystarczająco dobry powód, aby to zrobić. – Czegoś cię to nauczy, ty wyniosły ośle – dodał w myślach. Nie był całkiem pewien, czy odnosiło się to do jego ojca, czy też do tego mądrali Cairda.

Shona stanęła na palcach i czarną farbą namalowała na ceglach ogromny napis:

Peter Caird dobrze rządzi!

– Chryste – McLean mamrotał zaszokowany. – Mieliśmy pisać *Naftowi wandalie – jazda do domu*, albo *Wylewajcie swoje brudy gdzie indziej* lub coś w tym stylu.

– Teraz będą wiedzieli, że to sprawka Petera – oburzyła się Janey. – Narobisz mu okropnego kłopotu, Shona.

– O tak, narobię, prawda? – Shona Simpson zachichotała. Z błyskiem w oku zwróciła się do zdziwionego McLeana: – No, jak tam – zagadnęła prowokująco. – Idziesz, czy znowu będę musiała zrobić to sama?

Powoli na jego twarzy zaczął pojawiać się uśmiech. Oczekiwano od niego, aby był nonszalanckim bohaterem. Nie było żadnej możliwości usunięcia tego napisu bez specjalnych środków czyszczących. Poza tym to nie on tak mściwie zdradził syna doktora. Co nie znaczyło, że mu to nie odpowiada.

Wzruszył ramionami.

– Słuchaj...

Ale Shona już sobie poszła, jak zwykle niecierpliwa. Zgięta w pałąk, posuwała się w kierunku oświetlonego budynku. McLean i Janey – która w ramach protestu zacisnęła mocno usta, a przy tym bała się okropnie, aby nie zostawiono jej samej – dogonili Shonę, kiwającą na nich niecierpliwie.

– Tam jest jakiś człowiek. Widzicie? W tym dużym oknie.

Faktycznie, ktoś tam był. Zupełnie sam. Siedział przed szeregiem instrumentów i zapisywał coś w dzienniku. Gdy skończył, oparł się wygodnie o poręcz krzesła i otworzył coś, co wyglądało, jak paczka z kanapkami. Zaczął jeść bez większego entuzjazmu.

– Chodźcie już – powiedział McLean zaniepokojony, że mogą zostać zauważeni. Ale Shona nawet się nie ruszyła.

– Nie, chcę trochę popatrzeć – powiedziała z diabelskim uśmiechem, który sprawił, że jej towarzysze zaczęli się poważnie obawiać o swoją najbliższą przyszłość. – Być może będziemy mogli naprawdę się zabawić. Bardziej, niż Peter to sobie wyobrażał.

Sprawą, której Duggan nie wyjaśnił, a do której Fran jednak zamierzała powrócić, był brak ochrony dla statków typu *Calaurii* przed zimowymi wichurami.

Nie interesował jej powód, dla którego holownik opuścił swój posterunek. Jasne było, że niewielu czytelników *Obywatela Północy* wyraziłoby szczególne zainteresowanie skromnym triumfem jakiegoś nieznanego człowieka o nazwisku Gibb. Istotny był fakt, że skoro *William Wallace* wycofał się ze swojego stanowiska, to w zasięgu dwóch mil od statku nie było żadnego strażackiego holownika. Przy takiej pogodzie powrót na stanowisko zająłby co najmniej piętnaście minut.

Prawdę powiedziawszy, *Wallace* mógł w tej chwili spokojnie żeglować w odległości stu mil od *Calaurii*. Nie miało to większego znaczenia. W tych warunkach atmosferycznych załoga i tak nie była w stanie obserwować swojego podopiecznego. Ogromna granitowa skała skutecznie zasłaniała miejsce cumowania tankowców. Aby cokolwiek zobaczyć, należałoby wdrapać się na samą górę muru przy porcie Neackie.

Ta skalna wypukłość zakłócała dodatkowo bezpośrednią łączność między przenośnymi nadajnikami pilotów i PCO znajdujących się na pokładzie tankowca a holownikami w porcie Neackie. Fale o bardzo dużej częstotliwości przenoszone są jedynie do obiektów znajdujących się w zasięgu wzroku; możesz rozmawiać z Księżycem, ale nie nawiążesz kontaktu z oddaloną o trzydzieści mil stacją umiejscowioną w zagłębieniu ziemi. Czasami nie połączysz się nawet z osobą schowaną za jakimś budynkiem w odległości kilkuset jardów.

Tę właśnie skałę nazwano Ręką Diabła. Czyżby przybyli tu przed wiekami ludzie przeczuwali, jaką rolę odegra ona w przyszłości?

Nie wiadomo. W każdym razie jej istnienie oznaczało, że przez resztę tej niedzielnej nocy ekspedytor Blair był jedynym człowiekiem, który w razie pożaru mógł zawiadomić holownik McFadyena.

No, ale – jak Duggan stwierdził zgodnie z prawdą – wyszkolony w Marynarce Królewskiej Blair był człowiekiem, na którym można było w pełni polegać. Był niezawodny i niezwykle sumienny. Regowi nie przyszłoby nawet do głowy zaszyć się gdzieś w kącie, jak to robił odpowiedzialny za pompy Ollie, uważając, że skoro VLCC właśnie pobiera balast, to i tak nie ma nic do roboty. Dlatego też „Panoco” przydzieliło Regowi tak odpowiedzialne stanowisko.

Trzeba również rozważyć, czy i jakie istniało prawdopodobieństwo, że awaria nastąpi właśnie w czasie, gdy ochrona była zmniejszona. Szansa wystąpienia jakiegoś poważnego zagrożenia w stosunkowo krótkim okresie nieobecności strażackich holowników była tak nikła, że nie brano jej w ogóle pod uwagę. Każdy, kto pracował na ogromnych statkach z ropą, dawno to już zaakceptował.

Każdy, oprócz mechanika Tama Burnsa, opętanego myślą o piekle, które rozszaleje się z powodu „jednej małej iskry”.

Tak szczerze mówiąc każdy, oprócz Tama Burnsa i pilotów – ludzi takich, jak Archie McDonald, którzy opiekowali się monstrualnymi statkami. Regularnie informowali oni kierownictwo o lukach w systemie bezpieczeństwa. No, ale czyż nie płacono im za to, by byli zawodowo przewrażliwieni?

Niektórzy z inspektorów kontroli zanieczyszczenia też nie byli zachwyceni tym systemem...

Reg Blair zanotował w dzienniku, że *Wallace* opuścił posterunek o godzinie 0.44, po czym usiadł wygodnie i zaczął sobie masować brzuch. Czuł się obrzydliwie.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Duggana, powiedzieć mu, że jest chory i poprosić o zastępstwo. Wiedział, że tak właśnie powinien postąpić – człowiek dyżurujący w pomieszczeniu kontrolnym musiał być sprawny w stu procentach.

Ale przypomniał sobie, że Bill Thomson powiedział mu, iż Duggan miał być na obiedzie w „Meall Ness”, postanowił więc mu nie przeszkadzać. Gdy jego list przestanie już być tajemnicą, wyrozumiałość kierownictwa bardzo mu się przyda.

Odpakował przygotowane przez Ellę kanapki i niechętnie zabrał się do jedzenia. Zrobi sobie za chwilę herbatę; zawsze to jakieś zajęcie. Reg miał wielką nadzieję, że VLCC wkrótce zakończy pobór balastu i rozpocznie rozładunek lekkiej ropy. Musiał się czymś zająć, aby przestać myśleć o dokuczającym mu bólu brzucha.

Gdyby tylko zwykle tak sumienny były podoficer Blair pozwolił sobie na chwilę zadumy nad powagą swojej roli w razie niebezpieczeństwa, gdyby dokładnie zastanowił się nad konsekwencjami swojej niedyspozycji i niemożliwości natychmiastowej reakcji...

Ekspedytor Blair powinien był wtedy zrobić wszystko, aby zwolnić się ze służby. Ale tego nie zrobił.

A we wnętrzu Bardzo Dużego Przewoźnika Ropy *Calauria* rozpoczęło się już grzmienie.

Na statku

Tuż przed pierwszą inspektor kontroli zanieczyszczenia Trelawney, w towarzystwie drugiego oficera De Mity, odbywał obchód na pokładzie *Calaurii*. Dokładnie obejrzał zawory wylotowe, aby przynajmniej wzrokowo ocenić, na jakim etapie poboru balastu znajdował się statek. Opary węglowodoru wciąż wydostawały się ze zbadanych otworów, co oznaczało, że woda morska ciągle jeszcze napełnia zbiorniki.

PCO nie był zachwycony, że odbywa się to w ten sposób. Wszystkie gazy wybuchowe powinny być wydalone w powietrze przez specjalne przewody ciągnące się na poziomie pokładu, potem do góry przez pionowe przewody rurowe. Zaakceptował to jednak jako konieczność; w wielu VLCC przewody rurowe nie spełniały swojego zadania. Przy niewielkim wietrze, którego prędkość nie przekraczała pięciu metrów na sekundę, silnie wybuchowa mieszanka mogła zacząć kumulować się tuż nad statkiem. Na szczęście przy wichurze, jaka właśnie szalała po pokładzie *Calaurii*, nie było takiej możliwości.

Według oceny Trelawneya, zbiorniki były już wypełnione w osiemdziesięciu pięciu procentach. Dokładnie cztery minuty przed godziną pierwszą usłyszał głucho dudnienie grzmotu trwające przez parę sekund. Tym razem wydawało mu się, że poczuł, jak pokład przez chwilę wibruje. Grzmienie go nie zaskoczyło. Archie McDonald wypowiedział się już na temat zawodności prognoz meteorologicznych. Ale ten wstrząs...

Marszcząc czoło, PCO Trelawney podszedł szybko do prawej burty – tej od strony morza – i skierował światło latarki na wodę. Nie zauważył żadnych nieprawidłowości. Dostrzegł światła holownika udającego się do portu Neackie. To też mu się nie podobało, ale o możliwości przeprowadzania operacji rozładunkowych bez ochrony strażackiego holownika zdecydowało Dallas. Nikt nie kwestionował decyzji szefostwa w Dallas. Chryste, nikt nie odważył się nawet z nimi rozmawiać!

Przedostanie się na stronę lewej burty zajęło mu parę minut. Nie potrzebował latarki, aby stwierdzić, że na sztucznej wyspie wszystko było w porządku; błysk reflektorów oświetlał zalany deszczem beton. Cały personel wyspy schronił się z pewnością w kantine, tuż za wieżą kontrolną. Nie mieli nic do roboty, dopóki nie rozpocznie się rozładunek lekkiej ropy.

Trelawney nie był w stanie przyrzeć się dokładnie wodzie, burzącej się między statkiem a brzegiem wyspy: kontrast między ostrym światłem a czarną otchłanią był zbyt duży. Zauważył, że zbiornik o pojemności piętnastu metrów sześciennych (używany do składowania resztek ropy pozostającej w rurociągu po zakończeniu rozładunku) uległ poważnej korozji. Postanowił powiadomić o tym Duggana w poniedziałek rano.

Oczywiście, nic nie zostanie zrobione natychmiast; od chwili gdy zredukowano im budżet, większość urządzeń terminalu Rora zaczęła wyglądać na lekko podniszczone.

Potraktował wstrząs, który odczuł parę minut temu, jako wytwór wyobraźni. Odwrócił się od bariery i zobaczył drugiego oficera De Mitę, trzęsącego się żałośnie, co sprawiło, że sam zaczął odczuwać skutki wiejącego znad Atlantyku wiatru. Uznał, że obaj zasłużyli na chwilę wytchnienia, i skierował się w stronę ciepłej pompowni, gdzie pierwszy oficer Spedini czuwał nad przyrządami. Nie dostrzegł czarnej plamy unoszącej się na wodzie między statkiem a wyspą. Tworzyło ją parę pierwszych ton wyciekającej ropy, która rozlewała się powoli w stronę brzegu. Nos Trelawneya już dawno przestał być wyczulony na zapach paliwa; zresztą i tak w tej nasilającej się wichurze nie byłby w stanie odróżnić specyficznego słodkiego zapachu ropy od innych woni towarzyszących tankowcom.

Był to rodzaj intensywnego „garażastego” odoru, jak to określił trochę wcześniej coraz bardziej zdenerwowany Alec Bell.

Oczywiście, Bell znajdował się wówczas w miejscu, w którym trudno było nie poczuć zapachu tej ohydnej substancji. Czarna maź, która sprawiła, że fale wydawały się teraz o wiele łagodniejsze, dotarła już prawie do ich nędznej łódki. Bardzo Duży Przewoźnik Ropy *Calauria* zaczął krwawić. Jego koniec był bliski.

Rozdział X

Niedziela: katastrofy faza druga

Gdy Shona Simpson wykazywała nadmierne zainteresowanie poczynaniami ekspedytora Blaira, nieostrożny amator przygód Caird był bliski odkrycia, że nagle uspokojone wody Quarsdale w pełni usprawiedliwiały bezpodstawny, wydawało się, niepokój Aleca. W tym samym czasie PCO Trelawney i drugi oficer De Mita rozgrzewali się w ciepłe pomieszczeń *Calaurii*. Natomiast młody policjant Lawson – uczyniwszy już pierwszy krok w kierunku utrzymania Prawa i Porządku polegający na umyciu własnego pojazdu – jechał powoli wzdłuż ulicy Reform, przyglądając się badawczo mijanym budynkom. Szczególnym zainteresowaniem obdarzał sklepy, usiłując dopatrzeć się śladów ewentualnego włamania.

Większość praworządnych mieszkańców – a stanowili oni około dziewięćdziesięciu procent populacji Vaila – zakończyła już życie towarzyskie. Parę samochodów było jeszcze w drodze, natomiast szare chodniki opustoszały już dawno, przegrywając konkurencję z ciepłymi łózkami lub końcówką filmu w telewizji.

Jedynym pieszym, jakiego Hamish zauważył od momentu opuszczenia komisariatu, był rostry mężczyzna ubrany w kalosze, płaszcz od deszczu i damski kapelusz. Kroczył rześko, sprawiając wrażenie, że lodowata ulewa sprawia mu ogromną przyjemność, a wyszedł właśnie po to, by się nią nacieszyć, nie zaś po to, by zadowolić ogromnego niemieckiego owczarka z wywieszonym jęzorem.

Gdy Hamish dotarł wreszcie do miejsca zderzenia nieszczęsnego kota Thomasa z przednimi kołami samochodu Annie Clunie, odkrył, iż dowód zbrodni w postaci ciała zniknął w tajemniczy sposób. Po dokładnym przeszukaniu zalanego wodą rynsztoku zdecydował się nie podejmować dalszych oficjalnych kroków: przypadek zniknięcia kota nie dawał powodów do podejrzeń o nekrofilie. Należało raczej przypuszczać, że miejscowy gospodarz wrzucił Thomasa do najbliższego kosza na śmieci.

Wrócił do samochodu i postanowił pojechać pod bramy terminalu, aby przekonać się, czy deszcz zniechęcił demonstrantów. Miał nadzieję, że rybacy zdecydowali się poddać. Współczuł im serdecznie, bo sam doświadczał już przyjemności przebywania godzinami w nie osłoniętym ani od wiatru, ani od deszczu miejscu. Nie zamierzał jednak obserwować ich cierpień, gdyż uważał, że męczą się na próżno.

Statki z ropą i tak będą przyplływać do Quarsdale. Chyba że wydarzy się jakaś katastrofa. Ale to było mało prawdopodobne, niezależnie od tego, co twierdziła ciotka Jesse.

Policjant Lawson spojrzął na zegarek. Była pierwsza trzynaste.

Fran kończyła właśnie swój wywiad z Dugganem.

– Czyli mimo podjętego siedem lat temu przez „Panoco” zobowiązania, że jeden strażacki holownik stacjonować będzie nieprzerwanie przy sztucznej wyspie, a dwa inne będą dyżurować w porcie Neackie – podsumowała chłodno – stopniowo zredukowano ochronę i teraz na wypadek awarii dysponujecie jednym tylko holownikiem. Co gorsza, w sytuacji, jaka zaistniała dzisiejszej nocy, nie ma tam żadnego holownika.

– Takie sytuacje zdarzają się rzadko – bronił się Duggan. – Poza tym pamiętaj, że usprawniliśmy wyposażenie holowników. Nowe statki, *William Wallace* i *The Bruce*, mają na pokładzie działko o zasięgu siedemdziesięciu metrów. Urządzenie to może pokryć każdą część gorącego VLCC pięcioma tysiącami galonów piany w ciągu minuty.

– Ale nie wtedy, gdy w momencie wybuchu pożaru holownik jest oddalony o dwie mile – dodała Fran. – Gdyby ekspedytorowi zdarzył się właśnie atak serca, to statek nie dotrze tam nawet w ciągu dwudziestu minut. I wtedy załoga dowie się o wypadku w terminalu, czytając o nim w gazecie następnego dnia.

– Nie bądź niemądra!

– Nie jestem niemądra, może najwyżej sarkastyczna. Chociaż dla dobra Vaila lepiej byłoby, gdyby to, co mówię, okazało się kompletną bzdurą.

Wstał i podszedł do okna. Deszcz spływał strumieniami po szybach. Oświetlony statek spoczywający na środku zatoki wydawał się rozpadać na tysiące małych kawałków. Widział to już wiele razy – nigdy jednak w ten sposób. Teraz wyglądało to tak, jakby tankowiec wyleciał w powietrze.

– Jest dwadzieścia po pierwszej – powiedział. – Nie przypuszczam, abyś chciała iść teraz ze mną do łóżka?

Nie odpowiedziała. Odwrócił się i zobaczył, iż Fran wpatruje się w żarzące się szaroczerwonym płomieniem węgle.

– Boję się, Duggan – wyszeptała. – Nie wiem dlaczego. Po prostu się boję.

– Mnie się boisz?

– Nie... czegoś, co jest we mnie, w środku.

– Ale czujesz się dobrze, prawda?

Nagle zaczął się o nią martwić, chociaż wiedział, iż jej zawodowa działalność nie przyniesie ani jemu, ani „Panoco” nic dobrego. Jeśli chodziło o kompanię, to ataki prasy będą trwały tak długo, jak długo czytelnicy gazet będą chcieli za nie płacić. W ciągu paru tygodni „Panoco” załagodzi całą sprawę: kierownictwo wyrazi szczerze zainteresowanie, postara się nie nadawać sprawie międzynarodowego rozgłosu, wyda kilkaset tysięcy dolarów na środki bezpieczeństwa i oskarży miejscowy zarząd o nieudolność oraz brak efektywności działania. Charlie i Duggan zostaną przedstawieni znudzonym już wtedy czytelnikom jako odpowiedzialni za całą sytuację.

Szefowie w Dallas natomiast zrekompensują sobie wydatki wprowadzając oszczędnościową politykę gdzie indziej, prawdopodobnie na terenie Trzeciego Świata.

– Czy martwi cię terminal? – spytał Duggan. – Jeśli tak, to przesadzasz. To nie jest bomba. Wiesz o tym, niezależnie od tego, co twierdzą nasi wrogowie. Bardzo łatwo krytykować i dać się ponieść emocjom, dyskutując o rafineriach i portach rozładunkowych, takich jak Rora. Ostrożność też musi mieć jakieś granice. Bez nich transport paliw stałby się zarówno ekonomicznie, jak i praktycznie niemożliwy.

– To nie tylko to – powiedziała Fran. – Chodzi mi o ten konkretny statek, o *Calaurię*. Jest coś...

Czy wierzysz w jasnowidztwo, Duggan?

– W umiejętność przepowiadania przyszłości? Szczerze mówiąc, nie wierzę.

– Ja też nie wierzyłam – powiedziała cicho Fran i Dugganowi wydało się, że po jej ciele przebiegł dreszcz – dopóki nie przyjechałam do Vaila.

Kapitan Bisaglia kręcił się niespokojnie w swoim łóżku. Nie było żadnego specjalnego powodu do tej bezsenności. W kwaterze dowódcy, znajdującej się po prawej stronie mostka, panowała kompletna cisza. Nikt z załogi nie odważyłby się teraz spacerować w tym miejscu.

Być może, przyczyną złego samopoczucia kapitana był zbyt obfity lunch. Tommaso Bisaglia odżywił się raczej skromnie, nic więc dziwnego, że przysmaki pani McAllister mogły wstrząsnąć jego systemem trawiennym. Poza tym od momentu przybycia do Quarsdale nie dawał mu spokoju ból w zranionej niegdyś nodze.

A może po prostu kapitan czuł, że coś nie jest w porządku z jego statkiem? Może, mimo starzejącego się umysłu, nie stracił swojej żeglarskiej intuicji, która rozpaczliwie starała się podpowiedzieć mu, że egzystencja *Calaurii* nieubłagane zbliża się do końca?

Kapitan nie zauważył żadnych oznak nadchodzącej tragedii. A nawet gdyby mu się to udało i postanowił natychmiast przejąć odpowiedzialność, którą tak niemądrze zrzucił na barki pierwszego oficera Spediniego, to i tak było już o wiele za późno.

O pierwszej dwadzieścia cztery stalowe płyty opustoszałego pokładu zaczęły się lekko wyginać.

O pierwszej dwadzieścia pięć ból brzucha nękający ekspedytora Blaira stał się nie do wytrzymania. Wykręcił numer Duggana, zamierzając prosić o zwolnienie, ale gospodyni Duggana, wdowa Doig, wyjechała właśnie odwiedzić swoją siostrę. Nikt więc nie odebrał telefonu.

Reg domyślił się, że Duggan musi być wciąż w hotelu „Meall Ness”, sięgnął więc znowu po słuchawkę. Chwycił go skurcz. Pomyślał: Chryste, to śmieszne; weź się w garść, Blair! Nagle poczuł, że musi natychmiast iść do toalety, zerwał się więc ze swego miejsca i popędził w stronę korytarza.

Po raz pierwszy zapomniał nastawić VHF-radio na pełną głośność.

Z odległości dwudziestu stóp Shona Simpson obserwowała to niezbyt dostojne odejście Blaira. Zaczęła chichotać; ten człowiek wyglądał tak zabawnie i nawet nie domyślał się, że ktoś go obserwuje.

– Jak myślisz, dokąd on poszedł? – spytała McLeana.

Chłopak uśmiechnął się.

– Przypuszczam, że do ubikacji. Wygląda na to, że jego kanapki działają lepiej niż środek przeczyszczający, no nie?

Shona podniosła się.

– Chodźmy więc. Dopóki mamy szansę – ponaglała.

– Do domu? – Janey Menzies spytała z nadzieją w głosie.

– Jak chcesz, to idź do domu – powiedziała zniecierpliwiona Shona. – Ja z Johnem idę tam.

– Gdzie? – McLean skrzywił się, znów czując się niepewnie, bo domyślał się, co miała na myśli.

– Nie pozwól jej, John! – Janey zaczęła piszczeć, patrząc z przerażeniem na oddalającą się postać. – Przez nią wszyscy wpadniemy. Ona jest kompletnie stuknięta!

– Och, kurde! – warknął McLean czując, iż nienawidzi kobiet, i podążył śladem Shony. Ale zanim ją dogonił, zdążyła już wejść do pomieszczenia kontrolnego. Odwróciła się do niego i przytknęła

palec do ust.

– Jest tam – wyszeptała wskazując na koniec korytarza. – Myślę, że siedzi w ubikacji.

McLean nerwowo rzucił wzrokiem na dużą, metalową konsolę stojącą pod oknem. Było na niej mnóstwo tarcz instrumentów i przełączników. Na środku znajdowały się dwa czerwone guziki oznaczone napisami *Główny system przeciwpożarowy* i *Wyłącznik zaworów sztucznej wyspy*; obok stał czerwony telefon z tabliczką: *Do użytku wyłącznie w razie awarii!* Miedziany przełącznik znajdujący się za szklaną szybą oznaczony był jako *Syrena ostrzegawcza*; po lewej stronie konsoli umieszczono dwa odbiorniki radiowe z głośnikami, z których wydobywało się ciche buczenie. Dla McLeana było oczywiste, że znaleźli się w najważniejszym punkcie terminalu; fakt, że nie powinni tu przebywać, był jeszcze bardziej oczywisty.

– Lepiej stąd chodźmy, bo...

Przestał szeptać; Shona znowu zniknęła. Stąpając na palcach wyszedł na korytarz. Shona zmagala się właśnie z ciężką drewnianą listwą pozostawioną przez malarzy. Po prawej stronie korytarza znajdowała się mała kuchnia. Po lewej – toaleta. Dziewczyna usiłowała przeciągnąć listwę w stronę drzwi ubikacji, nie czyniąc zbytniego hałasu.

– Drzwi otwierają się na zewnątrz – wysapała. – Pomóż mi je zablokować.

McLean przecząco potrząsnął głową. Shona rzuciła mu pogardliwe spojrzenie.

– Wiesz, myślałam, że jesteś równie odważny jak Peter – syknęła przez zaciśnięte usta.

Może sprawił to ton jej głosu – sposób, w jaki wypowiedziała imię „Peter” – a może wspomnienie słów ojca. W każdym razie McLean wyjął listwę z jej rąk i wpasował jednym końcem pod klamkę drzwi, zaś drugi oparł o kuchenkę.

Wyszli już z pomieszczenia kontrolnego – chichocząc i nie mogąc złapać oddechu z emocji – kiedy usłyszeli szum wody w toalecie.

W ostatnim odruchu gniewu Shona namalowała na ogromnym oknie słowa: *Caird był tutaj!* Szyba była tak mokra, że nawet olejna farba zaczęła po niej ściekać czarnymi strugami. Wyglądała mniej więcej tak, jak rozmazany pod oczami Janey Menzies tusz. Janey miała już dosyć ich głupich wybryków i zalewała się łzami, drżąc przed konsekwencjami. Być może ogromne okno także płakało. W końcu wychodziło prosto na zatokę.

Zupełnie nagle łódka w ogóle przestała się kołysać. Przesuwała się teraz łagodnie w ciemności. Jedyne porywisty wiatr burzył ten tajemniczy spokój. Wiatr – i zapach tak silny, że podrażnił już Peterowi gardło. Były to oczywiście opary ropy. Nigdy nie wyobrażał sobie, że mogą być tak gryzące.

– Widzisz? – zapytał z ulgą, odkładając na moment wiosła. – Jesteśmy już przy tankowcu.

– Myślałem, że tankowiec ma nas osłonić od wiatru – wtrącił niepewnie Alec. – Na razie czuję, że za chwilę urwie mi łeb.

Caird zmarszczył czoło. Faktycznie, wydawało się to nielogiczne: wiatr nie osłabł ani trochę, a dokoła nie było ani jednej fali. Zaczął ponownie wiosłować. Wiosła stawiały coraz większy opór. Miał uczucie, że rozgarnia nimi nie wodę, ale jakąś mazistą ciecz. Po chwili przestał się nad tym zastanawiać, koncentrując się na celu swojej wyprawy. Miał zamiar wymalować jakiś slogan o ochronie środowiska na obu bokach kadłuba *Calaurii*. Niedogodne warunki atmosferyczne sprawiły jednak, że Peter postanowił zająć się wyłącznie bokiem statku skierowanym w stronę lądu: między platformą a statkiem istniał obszerny prześwit. Wszyscy mieszkańcy Vaila będą mieli jutro

rano sposobność dowiedzieć się o jego pogardzie dla usankcjonowanego przez rząd wandalizmu.

Liberyjski tankowiec zasłonił im widok na morze. Nie dalej niż dwieście jardów przed nimi czarna sylweta statku górowała nad równie czarną powierzchnią wody – groźna i tajemnicza, mimo powodzi zalewającego ją światła. Teraz dopiero zobaczyli, jak kolosalnych był rozmiarów. Niezaprzeczalnie VLCC prezentował majestat, ogrom i jeszcze coś groźnego, czego żaden z chłopców przyzwyczajonych do oglądania tych gigantów z większej odległości nigdy jeszcze nie doświadczył. Aby spojrzeć na brzeg komina *Calaurii*, który wydawał się wbijać w powłokę chmur, musieli zadrzeć wysoko głowy.

– Peter, wracajmy do domu, proszę cię.

Alec patrzył na Petera błagalnym wzrokiem. W świetle reflektorów wyglądał jak przestraszone stworzenie ze świecącą bladą plamą zamiast twarzy i powiększonymi przez szkła wytrzeszczonymi oczami. Caird zawahał się; będąc tak blisko statku czuł się równie oszołomiony ogromem ich przedsięwzięcia jak Bell. Pomyślał jednak natychmiast o swoim bohaterze Hornblowerze i pozbył się wewnętrznego drżenia.

– Nie, musiałbym być idiotą, żeby wracać teraz, skoro jesteśmy już tak blisko – wyszeptał. – Zdejmij swoją kamizelkę ratunkową.

Szeptanie w tej sytuacji było całkiem zbędne, ale otaczająca ich śmiertelna cisza skłoniła go do ściszenia głosu. Naprawdę dziwne. Miał wrażenie, że ktoś pokrył wodę dźwiękoszczelnym materiałem.

– Jeszcze czego – odrzekł Alec, wciąż pełen animuszu, jeśli chodziło o własną ochronę. Ciekawość nakazała mu jednak spytać: – A można wiedzieć po co?

– Bo będziesz musiał namalować napis. W tej kamizelce będziesz równie zręczny jak pingwin w kaftanie bezpieczeństwa – wyjaśnił uszczypliwie Caird. – Ja zajmę się utrzymaniem łódki przy kadłubie.

– I tak nie zdejmę kamizelki. I powiem ci coś jeszcze, Caird: nie bardzo mi się to wszystko podoba. Nie jestem żeglarzem, ale mam przeczucie, że to, co się dzieje, nie jest normalne. Lepiej stąd zjeżdżajmy. I to teraz!

– Dobra. – Peter przestał wiosłować. W sumie to był zadowolony, bo ręce odmawiały mu już posłuszeństwa. Wiosła robiły się coraz cięższe i zaczynały wymykać się spod kontroli. – Ja w każdym razie nie zostanę w mieście. Przynajmniej nie będzie mi tego wypominał przez następne dziesięć lat.

– Kto? Co wypominał?

– John McLean. No, on już na pewno znajdzie sposób, aby odegrać się na tobie za to, że poddałeś się w ostatniej chwili.

Bell walczył ze sobą przez parę minut. Wreszcie zrzucił z siebie kamizelkę.

– Pośpiesz się – wymamrotał. – Załatwmy to wreszcie.

– Wiesz, może masz rację. Może powinniśmy wró...

– O, Chryste Panie, zróbmy to wreszcie, Caird!

Peter Caird nie wiedział, jak przyjdzie mu ciężko zapłacić za to zwycięstwo. Po upływie paru minut ostry zapach ropy wydawał się dosłownie ich oplatać. Coraz trudniej było im oddychać, szczególnie wiosłującemu z wysiłkiem Peterowi. Zaczynał żałować, że nie zrezygnował z operacji w momencie, gdy miał szansę zrzucić całą winę na Bella. Teraz nie było już odwrotu – nie po tym, jak sprowokował Bella do kontynuowania misji. Nigdy nie przypuszczał, że zapach ropy może być

tak ohydny. Nie mógł zrozumieć, w jaki sposób nadzorcy zakładu aprobują zatrudnianie ludzi w tak niezdrowej atmosferze.

Statek wyglądał teraz jak jakieś ogromne urwisko, wiszące tuż nad ich głowami. Nie mogli już odróżnić, gdzie kończyły się betonowe wsporniki platformy i zaczynał kadłub *Calaurii*. Caird wiosłował jeszcze przez chwilę w zupełnej ciszy, wreszcie osunął się ze zmęczenia, opierając się na prawym wiosle. Pióro uniosło się do góry i z pluskiem uderzyło w powierzchnię wody.

Alec zaczął wrzeszczeć:

– Uważaj! Pochlapałeś mnie. – Po chwili dodał zdziwiony: – Rany... poczekaj, Caird!

Caird westchnął głęboko, zamierzając powiedzieć coś złośliwego, ale zamiast powietrza wciągnął w nozdrza wstrętny, drażniący smród ropy i zaczął gwałtownie kaszleć. Ogarnęła go fala przerażenia; poczuł, że się dusi.

W tym samym czasie Alec Bell wychylił się za burtę i zanurzył rękę w wodzie. Prawie natychmiast krzyknął:

– O Jezu! – Potem cofnął się gwałtownie, zupełnie jakby dotknął rozgrzanego do czerwoności żelaza.

– Co? – wykrztusił Peter, zamierając w bezruchu. Reakcja Bella bardzo go zaniepokoiła. Alec podniósł się ze swojego miejsca i bacznie oglądał swoją rękę w świetle reflektorów. Caird wiedział już, o co chodzi. Wyglądało to dokładnie tak, jakby Alec Bell nałożył grubą, ciemną rękawicę.

– O Jezu! – Alec zaczął pochlipywać. – O Jezu, człowieku, pływamy w morzu czystej ropy!

Pod wpływem spacerów Aleca łódka zaczęła się niebezpiecznie kołysać.

– Siadaj! – krzyknął Peter, zelektryzowany realną wizją wywrotki. Po czym zrobił dokładnie to, czego nie powinien: chcąc potwierdzić histeryczne stwierdzenie Bella, wciągnął jedno wiosło na pokład i przejechał po nim ręką. Natychmiast jego palce napotkały oślizgłą maź pokrywającą gładką, okrągłą rączkę wiosła, które zaczęło mu się wysuwać z ręki.

– Pomóż mi! – zawołał. – Zaraz stracę wiosło!

Panicznie wystraszony Alec Bell zaczął przesuwać się w kierunku dzioba. Zamazane okulary przekrzywiły mu się na nosie. Łódka zaczęła się bardzo kołysać.

– Uważaj! – krzyknął Peter, świadom niebezpieczeństwa. – Wszędzie jest ropa: pokład jest śliski jak lodowisko!

Ostrzeżenie nadeszło jednak za późno. Przez okropnie długą chwilę Bell chwiał się niepewnie, młóćąc zaciekle rękami i ślizgając rozpaczliwie na gumowych podeszwach. W końcu zupełnie stracił równowagę i wypadł za burtę, pociągając za sobą wiosło.

Nie było nawet plusku, tylko ten koszmarny bulgot, podobny do tego, jaki wywołało wcześniej niezdarne uderzenie wiosłem. Z tym że tym razem ten dźwięk brzmiał przerażająco. Caird obrócił się, aby spojrzeć na miejsce, gdzie zniknął jego towarzysz – i w tym momencie Bell wypłynął na powierzchnię.

To, co wyłoniło się z wody, w niczym nie przypominało twarzy Aleca Bella: bezkształtne, mrozące krew w żyłach straszdyło, pokryte czymś, co wyglądało na bezustannie ruszającą się maskę z czarnych cząsteczek, spływających do dołu, aby zaatakować czerwoną dziurę, z której ciągle wydobywały się chrapliwe dźwięki.

– O dobry Boże! – Peterowi zebrało się na wymioty. – O Boże! Na pomooc...!

Z ust straszdyła wydobył się cichy jęk. Ociekające ropą ramię wyłoniło się nad powierzchnię wody, błagalnie prosząc o pomoc. Caird płakał, nie panując nad sobą. Starając się pozostać na

swoim miejscu, przerażony perspektywą tego, co może mu się przydarzyć, jeśli się poruszy, wyciągnął śliskie wiosło w kierunku ręki Bella. Alec chwycił je kurczowo. W tym momencie podmuch wiatru zarzucił łódką i drugie wiosło wyślizgnęło się Peterowi z rąk.

Wystające z morza lśniącej mazi ramię, uczipione błyszczącego czernią wiosła, skierowanego prosto w niebo, zaczęło się powoli zanurzać pod powierzchnią. Po chwili zniknęło. Nie było słycać żadnych dźwięków oprócz wycia wiatru, chlupotania wody zgromadzonej na dnie łódki i rozpaczliwego płaczu młodego człowieka, dryfującego w łatwo palnej cieczy. Była to sytuacja ponad siły jakiegokolwiek heroicznego bohatera.

Dochodziło pół do drugiej, kiedy Alec Bell stał się pierwszą ofiarą wydarzeń tej nocy. W tym samym momencie ponownie dało się słyszeć grzmienie. Z tym że teraz żaden człowiek na pokładzie *Calaurii* nie uznał już tego za zwyczajny grzmot. Był to dźwięk świadczący o kolejnych pęknięciach płyt kadłuba. Tysiące ton stali straciło swoją wytrzymałość. Według zegara na wieży kościelnej, oddalonej o niecałe ćwierć mili, do godziny drugiej pozostało dokładnie dwadzieścia siedem minut. Wtedy nastąpił od dawna przewidywany kataklizm.

Na statku

Przepis na katastrofę – niszczycielskie połączenie chemii, fizyki, ludzkiej omylności i zwykłego przypadku – przygotowywano już od lat. Od poznania skutków jego zastosowania dzieliły wszystkich jedynie minuty.

Druga faza dobiegała końca. Z powodu nierównomiernego rozmieszczenia balastu statek wygiął się już nieodwracalnie. Od chwili kiedy pękły pierwsze poważnie skorodowane podłużne wzmocnienia w stałych zbiornikach balastu, proces umierania nabrał gwałtownej i stale rosnącej szybkości. Część lekkiej ropy wyciekła już przez szczeliny. Z każdym kolejnym pęknięciem płyty czy wzmocnienia konstrukcja statku stawała się coraz słabsza. Pozostałe części wyginały się lub rozchodziły po prostu w szalonym tempie.

Gdy naprężenie ściskające ostatecznie przewyciężyło opór pokładu *Calaurii*, nastąpił koniec. Rozpad przypominał reakcję łańcuchową. Pokład wygiął się, zapadając do środka. Pozbawione obciążenia dziób i rufa uniosły się do góry, zaś cały ciężar skoncentrował się w części środkowej, odkształcając grzbiet statku. Prawie natychmiast kręgosłup VLCC, najistotniejsza część jego szkieletu, złamał się z hukiem, powodując pęknięcie obu stron kadłuba – od dna aż do głównego pokładu. Drugi etap katastrofy zakończył się w ciągu sześćdziesięciu sekund. W momencie gdy wskazówki zegara na kościelnej wieży przesunęły się na godzinę pierwszą trzydzieści cztery, statek przełamał się.

Następna faza była najstraszliwsza. Ociekający wodą dziób i rufa *Calaurii* zaczęły się wznosić do góry, natomiast ciężkie środkowe części zaczęły tonąć, trzeszcząc i rozpadając się. Wkrótce dał się słyszeć stłumiony, podwodny huk, świadczący o tym, iż tony żelastwa dosięgły skalnego dna zatoki.

Przełamany statek na moment zamarł w bezruchu. Legł na dnie zatoki, wyciągając w górę dziób i rufę niczym ramiona ukrzyżowanego giganta. Fragmenty jego części środkowych wystawały nad powierzchnię zatoki. W wirującej dookoła nich wodzie zaczęły się pojawiać czarne pasma smolistej mazi.

Agonia superstatku była przerażająca. Jednakże dopiero teraz zaistniało niebezpieczeństwo katastrofy o skutkach znacznie tragiczniejszych niż przełamanie się kolosa.

Kręgosłup *Calaurii* złamał się w miejscu, gdzie usytuowane były stałe zbiorniki balastu wypełnione w dziewięćdziesięciu procentach morską wodą, a więc pozbawione gazu. Ale tuż przed nimi znajdowały się zbiorniki skrzydłowe numer 3 – wciąż wypełnione ropą.

Pęknięcie kadłuba poważnie osłabiło przegrody tych zbiorników. Pozbawione wzmocnienia – rozpadły się, wylewając swoją zawartość do wody. W ciągu paru chwil dwanaście tysięcy ton potencjalnie łatwo palnej ropy wypełniło zatokę. Zaczął się wydzielać petrochemiczny gaz. Gdy zagęszczone wyziewy zmieszały się z powietrzem, gaz uległ rozrzedzeniu, tworząc wybuchową, węglowodorową mieszankę.

W pobliżu *Calaurii* i terminalu Rora morze ropy wydzielało więc opary wybuchowego gazu. Do spowodowania całkowitej zagłady brakowało jedynie „jednej małej iskry”.

Wyobraźmy sobie duże, uderzające o siebie części Bardzo Dużego Przewoźnika Ropy, z postrzępionymi stalowymi płytami, nieprzerwanie ocierającymi się jedna o drugą...

To tak, jakby wyobrazić sobie największy aparat zapłonowy stworzony przez pomyłkę ręką szalonego naukowca.

Rozdział XI

Niedziela: katastrofy faza trzecia

Guardia Marina Bisaglia poczuł, jak celownik pochyła się coraz bardziej. Okręt chwiał się pod wpływem ostrzału dział Cunninghama. Rozległ się dźwięk odległego grzmotu, przednie przegrody kładźownika załamały się i nie zabezpieczone przedmioty zaczęły staczać się do morza. Słysząc było krzyk ludzi. Pot zalał mu twarz. Roztrzaskane szrapnelem biodro piekło go tak, jakby w każdej żyłce zamiast krwi płynął kwas...

...Siedemdziesięciodwuletni dowódca Bisaglia wynurzył się z gryzącego dymu oplatającego Matapan i leżał przez chwilę, mrużąc oczy. To przebudzenie po koszmarnym śnie było inne niż zwykle. Zwykle światło lamp znajdujących się przy głównym maszcie wpadało przez nie zasłonięte okna do jego kabiny, rysując na ciemnych ścianach znane mu już dokładnie wzory. Tym razem wzory były nowe, a światło wydawało się padać z zupełnie innego miejsca. Całkiem tak, jakby jego źródło – to znaczy maszty – przeniosło się gdzieś indziej.

Dopiero wtedy Bisaglia uświadomił sobie, że ciągle słyszy huk brytyjskich dział. Z tym że w tej chwili już nie śnił i wiedział, że od owej straszliwej nocy na Morzu Śródziemnym dzieliły go ponad cztery dekady. Ale dudnienie nie ustawało. I ogromny... ogromny statek przechylał się: wpadał głową w dół do wody!

Pozostawiona przez stewarda Gioię taca z dzbankiem soku pomarańczowego i szklanką zaczęła powoli przesuwając się po stole, uderzyła w listwę i z trzaskiem spadła na podłogę.

Chwiejąc się na nogach kapitan potoczył się w stronę okna. Zatrzymał się gwałtownie, zaszokowany, patrząc z niedowierzaniem na roztaczający się przed nim widok. Nie rozpościerały się przed nim rury, połączone stali i wąskie przejścia, biegnące w kierunku dzioba *Calaurii*. Patrzył w górę, na cofnięte czoło statku, uniesione nieprawdopodobnie wysoko wraz z pokładem zbiorników widocznych teraz jak na planie.

Oślepiały Bisaglia zaczął krążyć po kabynie, potykając się o porozrzucone przedmioty. Kiedy przechodził koło małej lodówki umocowanej na wyłożonej mahoniem ścianie, jej drzwiczki otworzyły się nagle. Kostki lodu wraz z nielicznymi butelkami z winem i wodą mineralną wysypały się z brzękiem.

Wyskakując ze swojej kabiny wpadł prosto na Borgę. Główny mechanik *Calaurii* miał na sobie jedynie rozpiętą kurtkę. Jego biały, wydatny brzuch kołysał się śmiesznie. Bisaglia był zbyt oszołomiony, aby czuć jakiegokolwiek zażenowanie.

Mechanik był również wstrząśnięty.

– Załamał się, Tommaso! – powiedział z niedowierzaniem. – Ten sukinsyn się po prostu, cholera, załamał!

– Wracaj do maszynowni! – zarządził kapitan. – Musimy mieć światło. Nie wyłączaj generatorów. I, na rany Chrystusa, podtrzymuj ciśnienie dla miotaczy piany!

– Są duże szanse, że zawory wlotowe do wody też już wywindowały do góry – warknął Borga, usiłując myśleć realnie. – Generatory staną wkrótce, wysiądą tak czy siak. Opuśćmy statek, *capitano*; wydaj rozkaz; teraz!

– Proszę, Borga – powiedział błagalnie Bisaglia – musimy próbować...

Mechanik opanowywał się powoli. Dobry, niezawodny, zawsze praktyczny Borga.

– W każdym razie – rzucił ze złością – jeśli zacznie się palić, to będziemy potrzebować czegoś więcej niż paru kropel piany; będziemy potrzebować pieprzonego cudu!

Korytarz pochylił się w dół o dwadzieścia stopni. Otwarte drzwi, prowadzące kapitana na pokład, wisiały smutno na zawiasach. Przez nie Bisaglia mógł dostrzec przyćmione sklepienie rufy, zarysowujące się na tle czarnego nieba. Nie przypuszczał, aby możliwe było w tej chwili opuszczenie na wodę łodzi ratunkowych. Wyciągi nie poradziłyby sobie z tak ostrym nachyleniem. Znajdowali się tak wysoko nad poziomem zatoki, że nic nie wskazywało na to, iż betonowa przystań ciągle jest pod nimi.

Poleciał nagle:

– Sprawdzaj moc. I ciśnienie. Jeśli ci się nie uda, to zbierz wszystkich i ewakuujcie się jakoś na wyspę. Nie czekaj na mój rozkaz. Wybacz, że jestem obcesowy, ale muszę iść na mostek.

Były to osobliwe przeprosiny człowieka, który podejrzewał, że wkrótce umrze. No, ale kapitan Tommaso Bisaglia zawsze był oryginalnym, staroświeckim gentlemanem.

Ludzie wymyślali sobie nawzajem; w ich głosach można było wyczuć przerażenie. Bisaglia uświadomił sobie nagle, że nie uratuje już swojego statku. Załogą zaś owładnęła panika.

Mechanik uściśnął mu rękę. Nie uczynił tego nigdy przedtem.

– Do widzenia, przyjacielu – powiedział gburowatym, ale spokojnym głosem.

Kapitan zrozumiał, że Borga pogodził się już z faktem, że jego życie też zbliżało się do nagłego końca. Obaj pływali zbyt długo na tankowcach, aby mieć złudzenie na temat tego, co stanie się dalej.

Nie zdążył nic odpowiedzieć.

W tym samym momencie bowiem ktoś krzyknął z dołu:

– Pali się! Matko Przenajświętsza, pożar na morzu!

Czekając, aż zakończy się pobór balastu, pilot McDonald gawędził – przynajmniej usiłował, mimo trudności językowych – z pierwszym oficerem Spedinim, dyżurującym w pomieszczeniu kontrolnym ładowni.

Właściwie Archie McDonald nigdy nie lubił przebywać w tych sterylnych, zautomatyzowanych pomieszczeniach. Być może były one punktami centralnymi statków, ale według McDonalda nie miały nic wspólnego z prawdziwym żeglarstwem. Żeglarz tracił orientację wchodząc do tych klimatyzowanych, wyposażonych w najnowocześniejszy sprzęt więzień, oświetlonych nieprzyjemnym jarzeniowym światłem.

Dla Archiego, który czuł się naprawdę szczęśliwy zarzucając wędkę nad górskim stawem lub żeglując po pełnym morzu, te funkcjonalne przestrzenie były bardzo obce i nieprzyjazne. Przyzwyczajony był do widoku rozciągającego się w nieskończoność horyzontu. Natomiast tutaj, w pomieszczeniu kontrolnym ładowni, nie było nawet okna. Jedynie ekrany monitorujące przestrzenie różnych zbiorników.

Pierwszy oficer Spedini sprawiał jednak wrażenie, że pasuje tu idealnie. Rozsiadł się wygodnie na krześle i wyglądał jak całkowicie nowoczesny morski technokrata, obsługujący zdalnie sterowaną konsolę pełną liczników, przełączników, zaworów i wskaźników.

Mike Trelawney wszedł do pomieszczenia w towarzystwie zmarzniętego drugiego oficera De Mity. De Mita sięgnął po dziennik i zaczął sporządzać raport z obchodu. PCO rozcierał zimne i szorstkie ręce, rozgrzewając się powoli. Strugi wody ściekały z jego kombinezonu prosto na plastikową podłogę.

– Boże, pomóż żeglarzom w noc taką jak ta – zachrypiał radośnie. – Jak idzie balastowanie, oficerze? Obliczyłem, że parę minut temu pańskie zbiorniki były już wypełnione w osiemdziesięciu pięciu procentach.

Spedini wyglądał na zmieszanego.

– Jak idzie co, *signore*? I gdzie, proszę?

– Ach! – Trelawney zakaszłał, nic nie rozumiejąc.

Skrywając uśmiech, McDonald spytał trochę bez sensu:

– Wciąż leje, Mike?

– Jak z cebra! A do tego jeszcze grzmi.

Właśnie zagrzmiało – znowu. Na potwierdzenie słów Trelawneya. Grzmot musiał być potężny, bo usłyszeli go wyraźnie w tym odizolowanym pomieszczeniu. Pilot wyglądał na zde gustowanego:

– Cholerni meteorolodzy!

Obaj ludzie „Panoco” spojrzeli jednocześnie na zegar. Zbliżała się pierwsza trzydzieści.

– Pozostało mniej więcej pół godziny do zakończenia poboru balastu. – Archie zamyślił się. – Jak uważasz, Mike?

Statkiem wyraźnie zatrzęsło. Pierwszy oficer Spedini zmarszczył brwi i pochylił się nad instrumentami. PCO zawahał się, nasłuchując, po czym powiedział stanowczo:

– Czuję, iż czeka nas burza. Powinniśmy wstrzymać się na razie z rozładunkiem lekkiej ropy. Przynajmniej do czasu kolejnej prognozy.

De Mita skończył raport i odłożył ołówek na biurko. Ołówek stoczył się na podłogę. Podniósł go i umieścił ponownie na biurku. Znow spadł.

Wszyscy patrzyli w ten jeden punkt, a ołówek powoli zaczął toczyć się w kierunku krzesła pierwszego oficera Spedinięgo.

Pilot McDonald przełknął niepewnie ślinę, otworzył usta, pomyślał chwilę i zaczął mamrotać:

– Mike...

Nastąpił donośny huk i cały przedział przechylił się do przodu. Krzesło Spedinięgo runęło z trzaskiem na konsolę. Drugi oficer De Mita potoczył się w dół piszcząc z przerażenia i zderzył się ze swoim przełożonym. McDonald i PCO, bladzi jak ściana, uczepili się kurczowo biurka.

Archiemu wydawało się, że pozostaną już na zawsze uwięzieni w tym stalowym przewracającym się pudełku. Ogarnęła go nagle obawa, że to ohydne pomieszczenie może stać się ich grobowcem, i usłyszał własne błagania:

– Nie, nie, nie! Nie tutaj, na rany Chrystusa!

Oszołomiony PCO Trelawney zorientował się natychmiast, że stała się rzecz koszmarna: liberyjski statek przełamał się. Spojrzał na monitory. Obraz ogromnych fal burzących się wściekle we wnętrzach zbiorników nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Tysiące ton wody przemieszczało się gwałtownie w pękniętym brzuchu *Calaurii*.

Pokład wciąż się unosił, pchany jakąś monstrualną siłą, działającą na łamiący się grzbiet VLCC. De Mita zaczął pochlipywać z cicha. Spedini uczeplił się rozpaczliwie konsoli i spojrzał przed siebie... lub w dół... Gdzieś spojrzał, kompletnie zdezorientowany.

Dał się słyszeć ostatni trzask rozdzierającej się stali, po czym nastąpił potworny wstrząs. Środkowe części *Calaurii* uderzyły o dno. Na krótką chwilę zgasło światło.

Nikt się nie poruszył. Błady Trelawney zawołał do chlipiącego De Mity:

– Uspokój się, chłopie. Statek się zatrzymał. Przynajmniej na chwilę.

Drugi oficer nie rozumiał słów Trelawneya, ale z wyrazu jego oczu wyczytał, o co chodzi, i zamknął się wreszcie. McDonald westchnął głęboko i zastanawiał się, co robić dalej. Wydostać się stąd, to było najważniejsze! Wydostać się na powietrze, zanim staną twarz w twarz z kolejnym niebezpieczeństwem. Jezu! Holownik McFadyena opuścił posterunek godzinę temu! Będzie więc musiał wezwać pomoc przez radio. Generatory VLCC wciąż jakimś cudem pracowały. Światła statku musiały więc być widoczne – nawet jeśli ci na brzegu nie usłyszeli huk, to musieli coś zauważyć. Trudno było nie spostrzec, że masa światła uniosła się nagle do góry. Kontrola „Panoco”, jeden z PPO, nawet stary strażnik Phimister... Ktoś w terminalu musiał widzieć katastrofę. Reg Blair na pewno zawiadomił już ekipy ratunkowe i – co ważniejsze – nakazał holownikowi *Wallace* ewakuację załóg statku i przystani.

Natychmiastowa akcja holownika McFadyena dawała jedyną możliwość ratunku. Przyłączając się do walki o wydostanie z ładowni, pilot McDonald ocenił szybko, że – łącznie z nim i Trelawneyem – na pokładzie znajdowało się pięćdziesiąt osób. Plus pięciu ludzi na przystani – prawdopodobnie wiele metrów pod nimi. Nie ufał tratwom ratunkowym, niezależnie od tego, czy były poddane kontroli, czy też nie; gumowa łódka dryfująca po morzu ropy nie dawała wielu szans ocalenia w razie pożaru.

McDonald zachował jasność umysłu. Porzucił już nadzieję, że uda się uratować *Calaurię*. Chryste, aby uratować kogokolwiek z tej wieży z krzesiwem sterczącej w oparach gazu, potrzeba będzie cudu. A Archie w cuda nie wierzył. Podobnie jak kapitan i główny mechanik Borga pilot przeczuwał, że wraz z pięćdziesięcioma towarzyszami przyjdzie mu pożegnać się wkrótce z życiem.

Może to i lepiej, że Archie McDonald nie miał złudzeń co do perspektywy ocalenia.

Pierwszy wybuch wstrząsnął statkiem, zanim jeszcze udało mu się dotrzeć na pokład.

Ekspedytor Blair spuścił wodę, zapiął pasek i przed umyciem rąk w niezbyt czystej umywalce zdjął zegarek, który dostał od Elli na Gwiazdkę. Zauważył, że minęło już pół do drugiej. Nie była to całkiem odpowiednia pora na telefony do szefa. Albo zadzwoni do Duggana natychmiast, albo będzie musiał zrezygnować z zamiaru zwolnienia się ze służby.

Nie skończył jeszcze myć rąk, kiedy na zewnątrz coś zahuczało. Cholerni meteorolodzy! To musiał być grzmot – pomyślał i postanowił przeprosić Archie McDonalda za swoje wcześniejsze poirytowanie.

Po chwili zagrzmiało znowu. Tym razem głośniejsz, wyraźniej z zachodu. Zdaje się, że czekają ich wyładowania atmosferyczne. Domyślił się, że albo McDonald, albo PCO będą dzwonić lada moment, aby poinformować go, iż odkładają końcową fazę rozładunku na po...

– O, jasny gwint! – krzyknął nagle Blair. Zapomniał nastawić głośniki radia na pełną moc. Pośpiesznie wsunął na rękę zegarek i złapał za kłamekę. Przekreśliła się bez problemu, ale poza tym nic się nie stało; drzwi się nie otworzyły.

Zdenerwowany Blair sprawdził zamek, chociaż pamiętał, że przecież go nie zamykał. Faktycznie, nie był zamknięty. Przekręcił ponownie klamkę i popchnął drzwi. Wciąż były zablokowane.

Jęknął:

– Jezu Chryste! – Kopnął ze złością drzwi. Prawo morza: jeśli mają się dziać złe rzeczy, to będą się działy. I to zawsze seriami i równocześnie.

Spróbował wyważyć drzwi ramieniem. Bez skutku. Jedynym efektem był ból ręki. Jeśli Reg miałby w zasięgu ręki siekiere, to z pewnością użyłby jej z dziką przyjemnością i porąbał to całe pieprzone, źle skonstruowane pomieszczenie.

Ekspedytor usiadł na sedesie i rozejrzał się posepnie dookoła. Nie było tu nawet okna: tylko mały wentylator, który włączał się automatycznie po zapaleniu światła. Ale zepsuł się już dwa miesiące temu. Blair był skutecznie uwięziony do czasu, aż Downie lub ktoś inny nie nadejdzie i nie uwolni go z pułapki. Reginald Blair – zatrzaśnięty w ubikacji!

Kolejny grzmot wstrząsnął niemalże całym budynkiem. A już na pewno wstrząsnął Regiem. Rany boskie, to naprawdę było blisko; dla doświadczonych uszu byłego podoficera brzmiało to raczej jak eksplozja, a nie odgłos burzy.

Zaniepokojony zaczął wołać Downiego, kopiąc jednocześnie drzwi, chociażby dla samej satysfakcji. Po chwili przykucnął zrezygnowany. Nie mógł już nic więcej zrobić.

Cholerni meteorolodzy... cholerni dziennikarze... cholerna robota! A przede wszystkim: cholerna Ella!

Gdy policyjny samochód z Lawsonem w środku podjechał pod terminal, pod bramami wciąż kręcili się czterej demonstranci. McLean, właściciel łódki *The Vian*, patrzył z obrzydzeniem na strażnika Phimistera przyklejonego do telewizora w swojej budce. Lawson nie lubił McLeana seniora; był to człowiek mający ogromne zamiłowanie do whisky i do sprzeczek. Nie przepadał również za jego synem. Hamish pamiętał zbyt dobrze Wielkiego Johna jeszcze z czasów szkolnych. Ten chłopak zawsze wykazywał szczególne upodobanie do wywoływania awantur.

Był też tutaj Jamie Kennerty w towarzystwie dwóch zrezygnowanych i zmokniętych stronników. Kennerty był może nieco gruboskórnym, ale ogólnie miłym człowiekiem. Cioteczka Jesse zawsze traktowała go z większym niż resztę towarzystwa pobłażaniem, jeśli przydarzyło mu się okazać więcej entuzjazmu w stosunku do baru „Stag” niż do jej politycznych przekonań.

McLean wsadził głowę w okno samochodu i powiedział:

– Nie wątpię, chłopcze, iż przyjechałeś tu, aby namawiać nas do rozejścia się?

Hamish wzruszył ramionami:

– Może pan robić, co pan chce, panie McLean. Nie ma prawa zabraniającego stania na ulicy.

– A szkoda – skomentował Jamie Kennerty. – Gdyby było, mielibyśmy dobrą wymówkę, aby iść do domu, no nie? – Zaśmiał się radośnie, jakby powiedział wspaniały dowcip.

– Powinieneś stać tu z nami, w tym deszczu – burknął McLean. – Spełniać swój obowiązek tak, jak policjanci robili to dawniej, zanim dostali te wymyślne samochody.

– Jesteśmy bardzo wygodni, panie McLean. Jak wszyscy młodzi ludzie – powiedział Hamish łagodnie. Nie zawracał sobie głowy tłumaczeniem, że do dzisiejszej nocy mógł tak jak i oni.

Od strony zatoki dobiegł ich odgłos dalekiego grzmotu. McLean wyprostował się, aby spojrzeć w kierunku przystani. Policjant Lawson popatrzył w tę samą stronę.

– Da nam wkość dziś w nocy – McLean skomentował kwaśno. – W prognozie nie było żadnej

wzmianki o burzy, a jednak wyraźnie się na nią zanosi.

– To kara boska za pikietowanie w dzień święty. – Jeden z rybaków wznosił ręce do nieba i Hamish nie był całkiem pewien, czy mówił poważnie, czy żartował. W miasteczku takim jak Vaila nigdy nie było takiej pewności.

Kolejny odgłos grzmotu przetoczył się nad nimi. Kennerty zachichotał:

– Wolę już, żeby Bóg się na mnie złościł niż radna McLeish.

– A w ogóle, to która jest godzina? – spytał jeden z rybaków, podnosząc wyżej kołnierz.

Hamish spojrzał na zegarek.

– Tuż po pół do drugiej. Dokładnie za dwadzieścia siedem druga.

– Na pytanie „która godzina” odpowie ci tylko glina – zanucił Kennerty, któremu obrzydliwa pogoda nie zdołała popsuć humoru.

– W każdym razie, ja mam dosyć – wymamrotał żałośnie młodszy z rybaków. – Uważam, że powinniśmy odłożyć to do rana.

– Widzisz? – McLean spojrzał na Lawsona z triumfem, nie zwracając uwagi na kolejny grzmot. – Teraz on chce iść do domu. Wszyscy jesteście wygodni, całe młode pokolenie. Znasz mojego syna, Johna? Jest najlepszym przykładem. Wygodny i tak cholernie leniwy, że...

Właściciel łódki *The Vian* przerwał gwałtownie, przyglądając się bacznie czemuś na zatoce. Hamish skrzywił się. Sposób, w jaki McLean zakończył konwersację był nieco dziwny.

W tym momencie Jamie Kennerty krzyknął bez widocznego powodu:

– Chryste! Jezu Chryste!

Wszyscy czterej wpatrywali się z osłupieniem w zatokę. Hamish odwrócił głowę – i natychmiast zamarł w bezruchu.

Olbrzymi tankowiec unosił się powoli do góry, zupełnie jakby zamierzał wzbić się w powietrze.

Policjant Lawson przełknął ślinę, starając się coś z tego zrozumieć. W przedniej części statku zgasły wszystkie światła, w tyle natomiast błyszcząły jasno rozświetlone okna pomieszczeń mieszkalnych.

Po chwili, kiedy ich oczy przyzwyczaiły się do ciemności otaczającej kontury statku, zauważyli kłębowisko monstrualnie wzburzonych fal mniej więcej na środku kwitującego tankowca; spostrzegli również, że oświetlony komin przechyla się gwałtownie, wznosząc się jeszcze wyżej. Bulwiasty dziób wyłonił się całkowicie z wody – zupełnie jakby chciał wyjść na spotkanie sterczącej prawie pionowo rufie.

Statek wyglądał teraz jak ogromna litera V. Grzmiało nieprzerwanie.

– Przełamał się – wyszeptał w końcu McLean, patrząc zahipnotyzowany na zatokę. – O rany, przełamał się!

Policjantowi Lawsonowi nie przyszło do głowy użyć radia zamontowanego w samochodzie. Nie odrywając wzroku od tego niesamowitego zjawiska, wyciągnął z kieszeni podręczny telefon.

– Delta Jeden do Romeo Tango. Romeo Tango... Delta Jeden.

Nie trać głowy, chłopcze – pomyślał czując, iż ogarnia go panika. W słuchawce rozległo się delikatne buczenie i nic poza tym. Jest tam sierżant, musi się wkrótce odezwać.

Huk grzmotu zamienił się w potworne bum, które odbiło się echem od groźnych, pokrytych śniegiem wierzchołków gór.

– O Jezusie... Tam się pali, pośrodku statku – wykrzyknął zdumiony Kennerty.

– Romeo Tango tu Delta Jeden. Słyszysz mnie?

– Statek się pali! Boże!

– Będą go musieli ewakuować. Gdzie jest holownik McFadyena? Widzisz go gdzieś?

W słuchawce coś zabrzączało. Głos sierżanta Robertsona. Powolny. Spokojny:

– Tak, Lawson? Przekaż wiadomość.

– Tankowiec się rozpada, sierżancie – powiedział młody policjant z trudem łapiąc oddech. – Na platformie „Panoco”. Potrzebne posiłki.

Pamiętał, aby powiedzieć „Over”. Na chwilę wszystko ucichło.

Ponownie dobiegł go głos sierżanta:

– Delta Jeden, powtórz.

Chryste, ze środkowej części czarnego kadłuba zaczęły wydobywać się płomienie. Na razie niewielkie, ale rozszerzające się powoli; czołgające się jak pulsujący czerwony robak w stronę przekrzywionego dzioba i sterczącej rufy. Monstrualny robak... monstrualny odblaskowy robak. Budzący większe niedowierzanie niż wściekłe gąsienice zżerające naukowców.

– Ten duży tankowiec, w zatoce. Przełamał się w połowie i zaczął się palić, sierżancie. Potrzebuję... będziemy potrzebować ekip ratunkowych na pokładzie. *Over*.

Głos sierżanta Robertsona zabrzmiał dziwnie. Zupełnie tak, jakby rozmawiał z wariatem:

– Nabierasz mnie, Lawson, prawda?

– Nie, sierżancie. Na miłość boską, to prawda!

Na zatoce nastąpił nagły wybuch. Ogień rozprzestrzenił się wzdłuż kadłuba statku. Mogli teraz dostrzec czarny dym, czarniejszy niż najczarniejsza noc, unoszący się nad zatoką. Ludzie w komisariacie musieli usłyszeć odgłos wybuchu, gdyż głos Robertsona zabrzmiał ponownie, tym razem stanowczy i pewny:

– Inspektor pojechał do Lecky, ale ja ogłoszę alarm. Rób wszystko, co możesz, chłopcze, aby otworzyć drogę dojazdową do terminalu; posiłki policyjne są już w drodze. Wiadomość przekazałem o godzinie pierwszej trzydzieści pięć. Potwierdź odbiór, synu. *Over*.

– Przyjąłem. Delta Jeden wyłącza się.

Policjant Lawson uruchomił niebieskie pulsujące światło, wyskoczył z samochodu i podbiegł do zamkniętej bramy. Z tego miejsca nie można już było dojrzeć zatoki, gdyż zasłaniały ją ogromne srebrne zbiorniki.

Stary strażnik Phimister wyszedł kaszląc ze swojej budki i zaczął spoglądać podejrzliwie na Hamisha przez druciane ogrodzenie.

– Wydawało mi się, że słyszałem jakiś huk.

– Chryste, człowieku, macie katastrofę na zatoce. Otwórz bramy.

Nie wywołało to żadnego wrażenia na Phimisterze. Policjant Lawson też nie mógł uwierzyć w to, co się działo, a widział to na własne oczy.

– Muszę mieć pozwolenie od pana Duggana.

McLean pojawił się nagle koło policjanta i strażnik powiedział stanowczo:

– No, jego to już na pewno nie wpuszczę. To demonstrant.

McLean wrzasnął:

– Idziemy do portu uruchomić łódź! Chłopaki, tam na zatoce będą potrzebowali naszej pomocy... Ten skurczybyk może w każdej chwili wylecieć w powietrze!

Phimister spojrział na niego ponuro.

– Kogo on nazywa skurczybykiem? – zapytał.

Zagrzmiało przerażająco. Ponad zbiornikami można już było dostrzec unoszący się dym. Auld Phimister nie odwrócił nawet głowy.

– Jeśli nie otworzysz tej cholernej bramy – warknął zdenerwowany Lawson – oskarżę cię o utrudnianie policji wykonywania obowiązków służbowych.

– A jak otworzę – stary strażnik odrzekł z właściwą sobie sztywnością – to ty będziesz odpowiedzialny przed amerykańskim kierownictwem terminalu.

W domach na ulicy Cross i ulicy Reform zaczęły się zapalać światła. Dla mieszkańców spokojnej miejsciny Vaila był to początek gwałtownego Przebudzenia.

Nie dla wszystkich, oczywiście. Wydawało się, że nic nie jest w stanie otworzyć oczu strażnika Phimistera.

Wullie Gibb smażył właśnie bekon w kuchni holownika *Wallace*, gdy rozległ się pierwszy grzmot. Zaproponowanie szyprowi kanapki z bekonem było delikatnym, dyplomatycznym zagranem ze strony Gibba. Mógł teraz wykorzystać w pełni swoje kulinarne uzdolnienia, gdyż holownik spoczywał nieruchomo pod osłoną portu Neackie. Nie zamierzał jednak gotować niczego dla reszty tej bandy głupków. Robił to wyłącznie dla dowódcy.

Nietypowa dobroć Wulliego miała swoje podstawy: wykalkulował sobie, że uda mu się w ten sposób zostać przy swoim zdaniu, nie narażając się na stratę pracy. Eck Dawson miał na to nieco inny pogląd. Wszedł do kuchni, aby schronić się na moment przed deszczem, a kiedy Wullie powiedział mu, aby spieprzał, bo i tak nic nie dostanie po tym, jak nazwał go insektem i o mały włos nie udusił, ryknął z wściekłością:

– Ty cholerny lizusie! Ale z ciebie wazeliniarz!

Wullie pomacał badawczo dymiące i prawie zwęglone kawałki boczku; uznał, że za parę minut będą gotowe. Ukroił dwie ogromne kromki chleba i posmarował je masłem.

Zignorował z pogardą swojego pierwszego oficera. Wkrótce się okaże, który z nich jest wazeliniarzem.

Usłyszeli kolejny grzmot. Dawson przesunął się w stronę drzwi i wyjrzał na zewnątrz, ale oprócz paru świateł portowych i mokrej kamiennej ściany odgradzającej ich od zatoki nie zauważył niczego.

– Pewno nadchodzi fala ciepła znad Atlantyku – zawyrokował ze znawstwem. – Och, Wullie, nie bądź taki i daj nam po kanapce z boczkiem.

Trzy minuty po tym, jak ładunek *Calaurii* zaczął się palić, na pokładzie jedyne statku ratowniczego – nie licząc oczywiście małego promu dla pracowników – panował całkowity spokój.

Radna McLeish pracowała w swoim domowym gabinecie. Było już po pierwszej, gdy skończyła przygotowywać notatki na zbliżające się spotkanie Rady Vaila. Postanowiła więc iść spać.

Pan McLeish – który nie interesował się zbytnio sprawami społeczności Vaila, ale rozumiał poświęcenie swojej żony – spał przed telewizorem. Ciotka policjanta Lawsons musiała go w końcu obudzić.

– Kakao czy mleko, Frank?

– Kakao, Jesse. Pójdę włożyć piżamę, a ty bądź tak dobra i przygotuj mi gorące kakao.

Wstawiając dwa kubki mleka do kuchenki mikrofalowej, spojrzała na zegar: właśnie minęło pół do drugiej. Zagotowanie mleka zabierało dokładnie trzy minuty i piętnaście sekund. Usiadła na wprost kuchennego okna i spojrzała na zatokę z mieszanymi uczuciami dumy i złości. Duży tankowiec

leżał zalany światłem; swoją jasnością tłumił całe naturalne piękno wokół niego. Arogancja tego giganta czyniła go jeszcze bardziej nienawistnym.

Przygotowała kakao, postawiła kubki na tacy, zgasiła światło i spojrzała raz jeszcze w kierunku statku, wyraźnie rysującego się na tle ciemności... Po chwili oszołomienia pobiegła zatelefonować na policję.

Kiedy wujek Frank zszedł na dół w piżamie i szlafroku, aby spytać, czy coś się stało, Jesse siedziała w ciemności przy kuchennym stole. Spojrzał w jej zwykle surowe oczy i zobaczył – po raz pierwszy od czterdziestu lat – że płacze.

Młody Ken Blair siedział w swoim pokoju, czytając książkę o futbolu, gdy usłyszał pierwszy grzmot. W głębi duszy nawet zadowolony był z tego, że ojciec pracuje nocami, chociaż wiedział, iż te nocne zmiany są powodem sprzeczek rodziców. Gdyby ojciec nie pracował dziś w nocy, to syn byłego podoficera nie odważyłby się siedzieć nad książką do tej pory. Tata uwielbiał wprowadzać w domu wojskowe porządki. Gasić światło i tak dalej. „Kiedy byłem w Marynarce, chłopcze...”

Grzmiało dalej, hucząc groźnie i tajemniczo; wreszcie siedemnastolatek nie mógł już dłużej tego ignorować. Wyskoczył z łóżka, aby popatrzeć na przystań. Zauważył, że w domu Trelawneya także zapaliło się światło. Tak naprawdę to wiele innych domów również zaczęło rozbłyskiwać światłami.

– Mamooo! – zaczął krzyczeć zupełnie jak mały chłopiec, obudzony jakimś koszmarem. Z tym że Ken był w tej chwili całkowicie przebudzony, a to, co zobaczył na zatoce, w niczym nie przypominało dziecinnych halucynacji.

Wbiegła do pokoju, wyjrzała przez okno i głosem, którego Ken nigdy przedtem nie słyszał, wyszeptała:

– O Boże... o mój Boże! – Potem popędziła do telefonu.

Telefon w komisariacie był zajęty. Zawahała się, czując strach przed wykręceniem numeru kontroli „Panoco”, zrobiła to jednak. Czekala parę minut, ale Reg się nie odzywał. Nikt się nie odzywał, co było mało wiarygodne i wielce alarmujące.

Z trudem zebrała się w garść i pobiegła z powrotem na górę, do pokoju Kena.

– Jak myślisz, czy z tatą wszystko w porządku? – spytał syn z wahaniem w głosie. Nie odrywał wzroku od sylwetki wielkiego, walącego się VLCC. Wydawało mu się, że zauważył w jego środkowej części pierwsze płomyki ognia.

– Oczywiście, że wszystko w porządku – Ella powiedziała to pośpiesznie, jednak bez przekonania. Odwróciła wzrok od tego okropnego widowiska, któremu Ken przyglądał się z młodzieńczą fascynacją. – Muszę się ubrać i pójść do pani Trelawney. Ty zostań przy telefonie i daj mi znać, jeśli tata zadzwoni.

– Dlaczego? – Ken spytał z roztargnieniem. – Dlaczego akurat do pani Trelawney?

Nie przypuszczała, aby mógł to pojąć. Być może, sama dopiero teraz zaczynała rozumieć, co czuł Reg, i właściwie oceniać jego podejście do rzeczywistości. Nie można było zmienić całkowicie sposobu życia. Przeszłość nie zniknęła.

Śmierć *Calaurii* uświadomiła Elli Blair, że ona także miała poczucie obowiązku. Równie silne jak Reg. Żony górników, żony rybaków, żony marynarzy. Wszystkie one obciążone są tą samą smutną świadomością, rodzącą się w chwili katastrofy zagrażającej życiu ich mężów.

– Kapitan Trelawney jest inspektorem kontroli zanieczyszczenia. Jest tam, na tankowcu, Ken – powiedziała cicho. – Madge nie może zostać sama. Posiedzę z nią. Dopóki nie nadejdzie jakaś

wiadomość.

Reporterka Herschell również myślała o mniej przyjemnych stronach otaczającej ją rzeczywistości.

To był naprawdę paradoks. W ciągu całego weekendu nie myślała o niczym innym, tylko o zagrożeniu Vaila. W chwili kiedy zaczęło się ono urzeczywistniać, jej myśli powędrowały gdzie indziej.

Owszem, spoglądała przez okno na rozmazany w deszczu statek, ale w tej chwili dręczyło ją poczucie winy za to, na co zamierzała narazić Duggana.

Spostrzegła, iż światła na przednim pokładzie statku nagle zgasły.

W kominku nie buzował już ogień. Pozostało tam jedynie parę ledwo żarzących się węgli i mnóstwo szarego popiołu. Stojący przed nim Duggan spróbował ponownie:

– Fran, czy nie moglibyśmy...

Linia światła ciągnąca się nad sztuczną wyspą wciąż przecinała poziomo czarny krajobraz, ale coś wydawało się zmieniać. Tak, jakby statek zaczął manewrować. Masa skoncentrowanego światła w tyle statku nieznacznie zmieniała pozycję w stosunku do poziomu przystani, tak jakby... prawie tak, jakby rufa tankowca... unosiła się?

– Duggan? – W jej głosie brzmiały niepokój i niepewność. – Duggan, podejdź tutaj, proszę cię!

Tylne światła *Calaurii* zamrugały, zgasły, po chwili zapaliły się znowu i zaczęły... wznosić się do góry. Tym razem bardzo wyraźnie. Jak do towarzystwa, ogromny ciemny dziób również zaczął się unosić. Wyglądał niby radośnie wynurzający się okręt podwodny. W końcu zawisł w powietrzu, dziwnie przekrzywiony.

Sympatycznie mrugające światła, rozciągnięte nad platformą, tworzyły teraz pomost pomiędzy ramionami litery „V”, której kształt przybrał tak nieoczekiwanie tankowiec.

– Duggaan!

Wystarczyło mu jedno spojrzenie. Powiedział tylko jak automat:

– Stało się. Jezu, stało się! – Potem rzucił się do drzwi i wybiegł.

Fran nieraz zastanawiała się, na ile reporter może pozostać obserwatorem w sytuacji, gdy jest uczestnikiem wydarzeń. W tych pierwszych tragicznych chwilach katastrofy przyszło jej z pewnością wiele dowiedzieć się o sobie samej. Mimo oszołomienia nie zapomniała o magnetofonie i kamerze. Popędziła śladem Duggana. Dogoniła go na parkingu, gdzie zapamiętała usiłował połączyć się z ekspedytorem Blairem, ocenić sytuację na sztucznej wyspie i uruchomić jeepa – wszystko jednocześnie.

Pierwsze języki ognia, pojawiające się poniżej chmury czarnego dymu zasnuwającego Quarsdale, ożywiły jej dziennikarską wyobraźnię, napełniając ją jednocześnie obawą o kilkadziesiąt osób przebywających tam w tej chwili.

Kontroler „Panoco” wciąż nie odpowiadał czy też raczej nie mógł odpowiedzieć na radiowe wezwania Duggana. Cenne sekundy, tak istotne w każdej akcji ratunkowej (co przyznawał sam Duggan), upływały bezpowrotnie.

Twierdzi się, że istnieje granica wytrzymałości ludzkiego umysłu na pojmowanie okropności. Po przekroczeniu tej granicy umysł przestaje reagować na jakiegokolwiek bodźce – ulega narkozie.

Pewne jest, że Peter Caird nie odczuwał specjalnego bólu w krótkim okresie między śmiercią

Aleca Bella a swoją własną. Jedyne prosta mechanika rozwoju wypadków uderzyła go jako niepotrzebnie przerażająca. Gdy ujrzał pierwsze konwulsje *Calaurii*, zupełnie odrętwiały pogodził się z myślą, że pójdzie w ślady Aleca. Nie można oczekiwać, że mała łódka przetrzyma fale, które wytwarza chociażby mały fragment zanurzającego się VLCC. To prosta fizyka, nie żadne uniwersyteckie mądrości. Prawo Archimedesesa – ten to był mądry facet. Odkrył zasadę dźwigni, wymyślił śrubę bez końca i stworzył katechizm o wypieraniu cieczy przez masę.

W momencie gdy wir dotarł do łódki Petera, trudno było nazwać go wirem wodnym, gdyż składał się głównie z ropy. Zalał łódkę, jednak nie zabił chłopca. I wtedy właśnie zaczęła go drażnić technika umierania: pływaki nie pozwalały łódce zatonać, więc Peter siedział na ławce, zanurzony do poziomu klatki piersiowej we wrogim szlamie.

A potem, gdy po pierwszych eksplozjach wybuchł pożar i ogień powoli zaczął się do niego przybliżać, pomyślał, że przynajmniej będzie miał wybór między spaleniem a uduszeniem. Musiał być bardzo dzielny, żeby tak sobie to wykombinować w obliczu śmierci. Na pewno zaimponowałby Shonie Simpson i doprowadził McLeana do białej gorączki. Po chwili okazało się jednak, iż niestety nie miał żadnego wyboru.

Kiedy stary Archimedes ustanawiał swoje prawo o zanurzaniu ciał w cieczy, nie brał pod uwagę kamizelek ratunkowych. Gdy więc temperatura powietrza wzrosła już tak, że ropa oblepiająca ręce Petera zaczęła bulgotać i odpadać z kawałkami skóry, Peter postanowił się utopić. I wtedy okazało się, że nie może.

Jego kamizelka ratunkowa nie pozwoliła mu zanurzyć nosa i ust w tym grzęzawisku. Robiła dokładnie to, co miała robić – ratowała życie. Na nieszczęście, w przypadku Petera była zbyt skuteczna. Ratowała jego życie trochę za długo.

Wreszcie się zapaliła... Ale do tego czasu Peter zakończył już planowanie kolejnych posunięć.

Kadłub

Calauria przestała już być statkiem. Załoga wciąż jednak była na pokładzie: alternatory wciąż pracowały, chłodziarki również, krótkofalowe radio emitujące nocną muzykę z Rzymu w opuszczonej kabinie bosmana Egidiego, klimatyzacja, wewnętrzna linia telefoniczna... i czerwone światło nad jej mostkiem, wciąż ostrzegające świat, trochę już niepotrzebnie: *Zaladowuję, rozładowuję albo Przewożę niebezpieczne towary.*

Oczywiście, komputer pokładowy nie pracował. Ale to była całkiem inna historia.

Pierwszy wybuch nastąpił w lewoburtowych zbiornikach balastu o pierwszej trzydzieści sześć – trzy minuty po tym, jak runęła konstrukcja.

Te trzy minuty pozwoliły dwudziestu tysiącom ton stali ocierającej się o drugie tyle ton stali wytworzyć nieco więcej niż „jedną małą iskrę”. Ulatniające się opary węglowodorowe skumulowały się tuż pod poziomem pokładu, w oderwanych stałych zbiornikach balastu.

Detonacja nastąpiła w ciągu milisekund. Ponieważ obydwie PBT były już pęknięte, siła wybuchu skierowała się na zewnątrz. Ekspedytor Blair nie mylił się podejrzewając, że nie był to odgłos grzmotu. Uznał jednak swoje domysły za niedorzeczne.

W każdym razie detonacja dała początek pożarowi, którego płomień zaczęły rozprzestrzeniać się dookoła statku. Chmura płonącego gazu o temperaturze tysiąca stopni Celsjusza ogarnęła dwanaście *tysięcy* ton ropy rozlanej po zatoce Quarsdale. Powierzchnia wody zaczęła się dosłownie gotować, a ropa wydzielać jeszcze więcej oparów. To z kolei doprowadziło do tego, że zapaliła się również ropa.

Po trzech i pół minutach katastrofy środkowa część *Calaurii*, z której wydobywały się chmury smolistoczarnego dymu, przedstawiała obraz totalnej zagłady. Z tego gigantycznego głównego paleniska ogień kontynuował swoją wędrówkę wzdłuż kadłuba.

I, ponaglany zachodnim wiatrem, zaczął wczołgiwać się na teren sztucznej wyspy.

Na pokładzie *Calaurii* znajdował się skuteczny i wciąż zadziwiająco dobrze utrzymany system przeciwpożarowy. Składał się z siedmiu miotaczy piany umocowanych na platformach i dwudziestu sześciu hydrantów na pokładzie głównym. Dopływ wody do tych urządzeń zapewniał rurociąg pożarniczy ciągnący się wzdłuż pokładu. Ciśnienie wody uzyskiwano za pomocą trzech odrębnych pomp, znajdujących się w pompowni. Wszystkie były w dobrym stanie dzięki wysiłkom mechanika Borgi i jego przepracowanej drużyny.

Maszynownia zaopatrzona była w urządzenia pianowe, zawierające czterdzieści

sześć rozpylaczy. Następnym dwanaście ulokowano w pompowni. Na statku znajdowały się również urządzenia, których zadaniem było gaszenie pożaru w zbiornikach z paliwem, a w magazynach, w części dziobowej, pięćdziesiąt przenośnych gaśnic, trzy kombinezony strażackie, dwanaście zestawów aparatów tlenowych.

Wszystkie one okazały się bezużyteczne. W przypadku kataklizmu tych rozmiarów natychmiast stało się jasne – nie tylko dla pilota McDonalda, ale także dla większości załogi – że statku nie da się uratować. Jedyne powstrzymanie rozprzestrzeniania się ognia, co mogło opóźnić eksplozję, dawało ludziom szansę przeżycia.

Gdyby załoga *Calaurii* składała się z dobrze wyszkolonych ludzi, to, być może, udałoby się jej wyjść z tej katastrofy cało. Tak jednak nie było. Nie było nikogo, kto pokierowałby całą akcją. Na statku zapanował więc, delikatnie mówiąc, ogólny chaos.

A poza tym rurociąg przeciwpożarowy pękł w momencie przełamania się statku. Nawet gdyby drugi mechanik Visentini włączył którąkolwiek z pomp przeciwpożarowych – czego nie uczynił, bo porzucił swoje stanowisko w pierwszej minucie katastrofy – to ciśnienie zostałoby skierowane prosto w wody zatoki.

Pomijając to wszystko, nawet gdyby system przeciwpożarowy nie został uszkodzony i załoga statku okazała się jak najlepiej przygotowana zawodowo, to i tak nie byłaby w stanie zrobić niczego, żeby się uratować.

Dlatego mianowicie, że cała rufa wraz z maszynownią *Calaurii* uniosła się nad poziom wody. Zawory wlotowe do pomp ssalyby więc jedynie powietrze.

Wraz z oparami zabójczego gazu.

Była mniej więcej za dwadzieścia druga – według zegara na wieży kościelnej – gdy plan pierwszego oficera Spediniego stał się jeszcze bardziej groźny. Rozprzestrzeniając się wzdłuż kadłuba *Calaurii*, płonąca ropa dotarła do miejsca, w którym wystawał on ponad wodę. Tam oba płomienie połączyły się i zaczęły posuwać dalej, w stronę rufy. Ogromna stalowa struktura zaczęła się gotować, zamieniając w monstrualny grill.

Połowa zbiorników w tej części statku nie stanowiła jeszcze zagrożenia. Środkowe numer 5 napełnione były morską wodą. Skrzydłowe wciąż zawierały w swych czeluściach szesnaście tysięcy ton nie rozładowanej lekkiej ropy.

Ale zbiorniki numer 6, usytuowane tuż przed mostkiem, celowo zostały pozostawione puste, aby umożliwić ludziom Borgi naprawę zaworów. Te wielkie przestrzenie nie były wypełnione nieszkodliwym balastem: zostały w nich jedynie resztki ładunku wypompowanego dzień wcześniej i... dwadzieścia tysięcy metrów sześciennych potencjalnie wybuchowego gazu. Skumulowanego. Jak w środku bomby.

Rozdział XII

Niedziela: katastrofy faza końcowa

Duggan nie minął się z prawdą oznajmiając reporterce Herschell, że systemy przeciwpożarowe terminalu Rora były wciąż w dobrym stanie. Bo były. Szczególnie te na sztucznej wyspie, gdzie zagrożenie było największe.

Zapomnijmy o wszystkich gaśnicach, hydrantach i rozgałęzieniach. Zignorujmy nawet trzynaście pływaków ratunkowych i dwie podejrzane tratwy. Na wyspie zamontowane były dwa gigantyczne miotacze piany: mniej więcej siedemnaście metrów ponad poziomem głównego pokładu cumujących statków. Każdy z nich mógł dostarczać pięć tysięcy galonów piany na minutę. Dodatkowo znajdowały się tam dwa miotacze wspomagające, które pracując samodzielnie, były w stanie powstrzymać lub wręcz uniemożliwić rozprzestrzenianie się ognia, dopóki holownik strażacki nie nadszedł z pomocą.

Poza tym istniał ekran wodny. Cała środkowa część przystani mogła zostać osłonięta przed ogniem poprzeczną zasłoną wody o wysokim ciśnieniu. Za tym ekranem mogli schronić się pracownicy, oczekując na ratunek.

Tak więc Duggan miał rację. Faktycznie w bezpieczeństwo i ochronę personelu zainwestowano setki tysięcy dolarów.

Ale, jak zauważyła Fran Herschell, kierując się filozofią ekspedytora Blaira – jeśli może się przydarzyć coś złego, to należy liczyć się z tym, że kiedyś się przydarzy. A nieszczęścia lubią chodzić parami.

Wszystkie te wyrafinowane urządzenia na sztucznej wyspie nie mogły pracować, jeśli nie były zaopatrywane w wodę pod ciśnieniem. Z powodu oszczędnościowej polityki, dostawa wody była możliwa dopiero po włączeniu przełącznika znajdującego się w odległości ćwierć mili. Uplłynęło już sześć minut od rozpoczęcia kataklizmu, a człowiek, który powinien był nacisnąć guzik – i, jeśli już o tym mowa, wszcząć inne postępowania – nie wiedział nawet, że wydarzyła się katastrofa.

Reg wciąż bowiem siedział uwięziony w toalecie.

Shona Simpson pierwsza dotarła do ogrodzenia, zaczerwieniona z euforii, iż odegrała się na Peterze. Spocznie na nim cała wina za ten wybryk. Co prawda Shona nigdy nie przejmowała się konsekwencjami, jakie mogły spotkać ją osobiście – każda kłótnia rodzinna umacniała ją jedynie w przekonaniu, że musi opuścić Vaila, kiedy tylko nadarzy się ku temu okazja.

Uciekając uświadomili sobie, że nadchodzi burza. Dopiero ostatni grzmot, głośniejszy od innych, sprawił, że nagle się zatrzymali i spojrzeli za siebie.

Shona usłyszała krzyk drugiej dziewczyny i odwróciła się.

– Przestań, ty głupia idiotko!

John McLean wyszeptał słabym głosem:

– Pali się! O Chryste, on się cały pali!

Mimo ulewnego deszczu mogli wyraźnie dostrzec płomienie zabarwiające na pomarańczowo spód sterującego w górę kadłuba tankowca. Wokół unosiły się chmury czarnego dymu.

– Peter! – wrzasnęła Janey Menzies. – On tam jest!

Nikt nie pomyślał o Alecu Bellu. Nie od razu. Ale Alec nigdy nie był na pierwszym miejscu. Tak było w szkole, tak było i teraz. Bell nigdy nie usiłował konkurować z mądrością Cairda czy siłą przebiccia McLeana.

W terminalu panowała wciąż złowroga cisza. Należałoby oczekiwać syren, biegających ludzi, jakiejś szybkiej reakcji. Tymczasem nic się nie działo, a upłynęło już pięć czy sześć minut od momentu, gdy rozpoczęło się grzmienie. Jedynie koło bramy terminalu migało niebieskie policyjne światło.

Wielki John McLean przypomniał sobie o pomieszczeniu, do którego wdarli się wraz z Shoną, i o człowieku, którego zamknęli w toalecie. Oraz o wszystkich przełącznikach i guzikach – do użycia wyłącznie w razie awarii. I nagle uświadomił sobie, że zrobili rzecz potworną.

Shona rzekła spokojnie:

– Ci dwaj zginą. Idźcie do domu. Oboje. Nic nie wiemy o całej sprawie.

Tak po prostu. Chłodno. Bez emocji. Przeróżająco.

Janey Menzies zaczęła krzyczeć histerycznie. Nie mogła się opanować. Spędziły razem całe dzieciństwo i Janey nie zauważyła, aż do tej chwili, że Shona ma zaburzenia psychiczne – może nawet była szalona.

John nie dostrzegł grupy mężczyzn biegnącej wzdłuż ogrodzenia. Ogarnęła go panika. Przedzierając się gwałtownie przez wyrwę w drucie, zderzył się ze swoim własnym ojcem pędzącym wraz z innymi do portu rybackiego.

McLean senior najpierw spojrział oszołomiony na swojego syna, krzyczącą dziewczynę i jej dziwnie spokojną towarzyszkę, potem na dziurę w ogrodzeniu i wrzasnął:

– Mój Boże, chłopcze, coście zrobili?

Po chwili jego wściekłość i pogarda dla pasożyta, jakiego spłodził, przekroczyły wszelkie granice i zanim inni zdążyli go powstrzymać, uderzył młodego McLeana z całej siły w głowę. Był to potężny cios. John ze złamaną szczęką, płacząc, upadł na ziemię.

Policjant Lawson oskarżył później McLeana seniora o spowodowanie poważnego uszkodzenia ciała syna. Inne wyższe władze natomiast postawiły w stan oskarżenia młodego McLeana, Shonę Simpson i Janey Menzies za ich głupotę. Sąd nie stwierdził, aby działaniem swym celowo zamierzali opóźnić akcję ratunkową, i nie dopatrzył się poważnego wykroczenia.

Ale to była przyszłość.

Tymczasem ogień rozprzestrzeniał się swobodnie dookoła Bardzo Dużego Przewoźnika Ropy.

W ulewnym deszczu, z odległości dwóch i pół mili, trudno było zauważyć statek przycumowany przy sztucznej wyspie. Nie żeby Wullie był nim specjalnie zainteresowany: wdrapał się na mur portowy tylko po to, by odpocząć trochę od gorąca panującego w kuchni. Nie trzeba dodawać, że przedtem zaniósł szyprowi jego kanapkę z bekonem, lekceważąc kompletnie pożądlive spojrzenia Ecka Dawsona i reszty towarzystwa.

Odwrócił się, by spojrzeć na holownik. Musiał przyznać, że statek prezentował się dobrze.

Nieskazitelnie biały pokład lśnił w ciemności. Czarny kadłub wyglądał tak, jakby opuścił stocznię pół roku temu. Holownik leżał, czekając cierpliwie i mrugając czerwonymi światłami. Wullie wyobraził sobie, że to oczy lisa: dwa najwyższe miotacze odstawały od mostka niby nasłuchujące uszy.

Wullie zaczął zastanawiać się, co pomyślałby o holowniku jego ojciec, stary Chippie Gibb ze swoją torbą narzędzi stolarskich, które co najmniej sześćdziesiąt razy opłynęły świat dookoła. Prawdopodobnie nie wzięłyby nawet holownika za statek. Tak samo zresztą, jak nie uznałby swojego syna – przygotowującego kanapki z bekonem, smażącego kielbaski i kłóćącego się ze swoim pierwszym oficerem – za prawdziwego żeglarza.

Idąc w stronę schodów prowadzących na nadbrzeże, Wullie spojrzął w kierunku zatoki. Ponad ciemną sylwetką Diabelskiej Ręki rozpościerała się zorza. Czerwona, tak jak światła holownika.

Całkiem ładna. Zupełnie jak zachód słońca nad Morzem Śródziemnym. Z tym że teraz był środek zimy, druga w nocy i Wullie był w Szkocji.

Fala deszczu przesunęła się trochę i Gibby wyraźnie zobaczył, że całą środkową część statku ogarniały płomienie.

Tupot butów na stalowym pokładzie zmusił Ecka Dawsona do wystawienia głowy na zewnątrz.

– Zjeżdżaj stąd – warknął. – Dla insektów nie ma miejsca na pokładzie.

– Statek stanął w ogniu! – krzyknął Gibb. – Pali się cały! Tankowiec na przystani.

– Tak? – powiedział Dawson. – Może jestem łagodny, ale potrafię przyłożyć, więc spieprzaj stąd, Gibb!

– Eck, proszę cię. – Poblądłe usta Wulliego zaczęły drżeć. – On się pali, człowieku! Mamy poważną katastrofę!

Zachlapany olejem mechanik Burns pojawił się nagle przy wyjściu z maszynowni.

– Przestańcie się awanturować! Nie wiecie, że mam słabe serce?

– O rany, spójrz na pieprzone niebo! – wrzasnął Gibb.

Dawson spojrzął i ryknął przeraźliwie:

– Jezu!

Tam Burns popatrzył w niebo i powiedział z zadziwiającym spokojem jak na człowieka o słabym sercu:

– Zawołaj szypra. Wszyscy na stanowiska. Uruchomić silnik.

No, ale mechanik Burns był przygotowany na takie wydarzenie. Czyż nie przewidywał go od dawna? Czy nie upierał się, że wszystko, czego potrzeba, to jedna mała iskra?

Szyper McFadyen zanotował w dzienniku pokładowym *Williamia Wallace*, że wypłynęli z portu Neackie do tankowca o pierwszej czterdzieści sześć czasu Greenwich – trzynaście minut po tym, jak *Calauria* się przełamała. Drżała mu ręka.

Gdyby nie posłuchał Wulliego, gdyby pozostał na stanowisku trzy kwadransy dłużej, wtedy na pewno mógłby pomóc powstrzymać ogień. I, co bardziej istotne, ewakuowałby cały personel VLCC i ludzi z przystani.

Gdy McFadyen, który pływał kiedyś na tankowcach, ujrzał *Calaurię*, nie miał wątpliwości, że statku nie uda się już uratować. Ani przystani. Pożar przybrał ogromne rozmiary. Patrząc przez lornetkę zauważył, że ogień dotarł już do zbiorników numer 6. Z rozmów pomiędzy kontrolą „Panoco” a pilotem dowiedział się wcześniej, że te zbiorniki były puste i nie przewietrzone. Jeśli wybuchną teraz, to *Wallace* nie będzie miał chyba kogo ratować. Jeśli eksplodują za dziesięć,

piętnaście minut, gdy *Wallace* przybliży się już do tankowca...

Dawson próbował usilnie połączyć się z Regiem Blairem.

– Kontrola, kontrola „Panoco”, tu Watchdog. Słyszysz mnie? Kontrola, kont... – Eck cisnął aparatem i wrzasnął: – Skurczybyk! Gdzie on się podziewa? Chryste, czy on nie wie, że oni tam umierają?

– Spokojnie, Eck. Spokojnie, chłopcze. Idź na dół i zajmij się resztą.

Stojący przy sterze McFadyen nie wyraził swojej opinii na temat Rega. Wolał się nie odzywać. Doskonale wiedział, że gdyby zwykle niezawodny ekspedytor zawiadomił ich w chwili, gdy zagrożenie stało się jasne, to jego *Wallace* mógłby już w tej chwili ratować pięćdziesiąt, sześćdziesiąt osób przed zagładą. Widząc co się dzieje, podejrzewał również, że nie podjęto żadnej akcji ratunkowej ani na przystani, ani na pokładzie statku. Czy był to rezultat paniki? Czy też może Reg z jakiegoś trudnego do wyobrażenia powodu nie uruchomił urządzeń pompujących wodę?

Wullie Gibb wraz z dwoma innymi pokładowymi, Stuartem i McDadem, przygotowywał miotacze. Co chwila któryś z nich unosił głowę i ze strachem w oczach spoglądał w kierunku przełamanego tankowca oddalonego teraz o niecałe pół mili. Wyglądało na to, że pali się także pod przystanią, że pali się morze, szalejące wokół gigantycznego kadłuba.

Gdzie, u diabła, był Blair? Dlaczego się do nich nie odzywał?

Reg był wciąż zabarykadowany w cholernej toalecie. Momentami ogarniała go furia i rzucał się całym ciałem na drzwi. One jednak nic sobie z tego nie robiły, kpiły z niego wyraźnie, powodując, że jego wściekłość narastała w geometrycznym postępie.

Gdy z pomieszczenia kontrolnego dobiegł go rozpaczliwy głos Downiego, ogarnęło go nagłe przerażenie. Domyślił się natychmiast, że musiało stać się coś strasznego. Downie był zwykle bardzo flegmatycznym i spokojnym człowiekiem. Coś go musiało niezle przestraszyć. Reg zaczął histerycznie wzywać pomocy.

Downie otworzył drzwi i stanął w nich, blady jak śmierć. W jego oczach malowała się panika.

– Statek się pali, Reg. Jezu Chryste, człowieku, czy ty nie wiesz, że on się cały pali?

Blair odepchnął zszokowanego strażnika, pobiegł do pomieszczenia kontrolnego – i stanął jak wryty. Nie wierzył własnym oczom. Ogromne okno wychodziło wprost na piekielną panoramę płomieni i dymu.

Jakiś głos krzyczał rozpaczliwie przez radio. Głos Archie McDonalda:

– Pomóżcie nam! Przyślijcie natychmiast pomoc!

– O dobry Boże! – ekspedytor Blair załkał, sparaliżowany koszmarem. – O dobry, łaskawy Boże!

– Mayday, Mayday, Mayday! Wszystkie stacje, tu liberyjski tankowiec *Calauria*. Przyślijcie natychmiast pomoc...

– Rób coś, Reg. Jesteś marynarzem, Reg! Dyscyplina! Opanowanie! Wypełniaj swój obowiązek, Reg. Nie mogą uruchomić promu dla personelu. Zrób coś – błagał Downie, ledwo nad sobą panując.

– Zrób coś, Blair!

Były podoficer Blair przycisnął guzik aktywujący główny rurociąg przeciwpożarowy i zamknął awaryjne zawory w rurociągach przeładunkowych. Uruchomił system pianowy chroniący nadbrzeżną stronę terminalu Rora i wyłączył kanał dziewięćdziesiąty z obwodu, brutalnie przerywając błagania McDonalda.

– Watchdog, kontrola „Panoco”. Awaria!

Głos McFadyena odezwał się natychmiast:

– Watchdog. Jesteśmy już w drodze. ETA* [* ETA (Estimated Time of Arrival) – przewidywana godzina przybycia (*przyp. tłum.*)] za około dziesięć minut. *Over*.

Żadnych wymówek – przyjdzie na nie czas.

– Przyjąłem, Jimmie. Przede wszystkim wydobądźcie ich stamtąd. *Out*.

Blair połączył się z operatorem i polecił mu powiadomienie odpowiednich służb, po czym włączył syrenę ostrzegawczą. Natychmiast jej smutny dźwięk rozdarł nocną ciszę panującą w Vaila.

Reg był kompletnie przybity. Wiedział, że to wszystko, co teraz zrobił, powinno zostać wykonane dużo wcześniej.

W końcu spełnił najcięższy obowiązek. Połączył się z pilotem McDonaldem przebywającym na płonącej *Calaurii*.

Głos Archiego brzmiał spokojnie. Nie był urażony, zagniewany czy zły na Rega, który tak strasznie zawiódł i jego, i wszystkich pozostałych.

– Jeszcze dziewięć minut – powiedział Blair. – Przykro mi, Archie.

– Będziemy więc musieli opuścić statek przed ich przybyciem – odpowiedział po długiej chwili McDonald. – Jestem na górze w sterowni. Udało się nam ją uszczelnić, ale okna zaczynają eksplodować z powodu temperatury.

Blair zamknął na chwilę oczy. Usłyszał za sobą zdyszany oddech Downiego.

– Czy uda się wam przedostać na przystań? Ekran wodny powinien już pracować.

– Przystań się pali. Wszystko tu się pali...

W oddali rozległo się dzwonienie. Pierwsze wozy strażackie przybywały do terminalu. Ich zadaniem była głównie profilaktyka; powstrzymać płonącą ropę od wtargnięcia na brzeg, nie dopuścić, by ogień rozprzestrzenił się w terminalu Rora, a tym bardziej w mieście.

Nie będą jednak w stanie pomóc Archiemu. Ani pozostałym ludziom uwięzionym tam, razem z nim. Potrzebny im był statek ratowniczy, lepszy system przeciwpożarowy i parę niezwykle cennych minut, straconych już bezpowrotnie.

– Przykro mi, Archie – powtórzył Blair, przyglądając się przez zachlapane deszczem okno skazanemu na zagładę statkowi. – Chryste, tak strasznie mi przykro!

O pierwszej pięćdziesiąt jeden czasu Greenwich – osiemnaście minut po wystąpieniu pierwszych oznak katastrofy – zbiorniki numer 6 eksplodowały, wysyłając w kierunku brzegu monstrualną falę ciśnienia o temperaturze zbliżonej do temperatury pieca hutniczego.

Ekspedytor Blair wiedział już wtedy, że Archie nie żyje i Mike Trelawney, i ten kapitan... chyba Bisagleri? I wszyscy pozostali.

Uświadomił to sobie, zanim szyba okienna wystrzeliła z hukiem, zasypując jego i Downiego tysiącem odłamków.

Po katastrofie

Radna McLeish myliła się co do jednego ważnego szczegółu. Także najgorsze obawy Fran Herschell okazały się bezpodstawne. Niewiele osób mieszkających na wybrzeżu Quarsdale straciło życie z powodu wybuchu *Calaurii*.

Mogły się jednak nie pomylić, gdyby *Calauria* zapaliła się w innych warunkach, z mniejszą ilością balastu czy też z większą ilością gazu zgromadzonego w jej kadłubie. W takim wypadku jej siłę rażenia można byłoby przyrównać do efektów użycia broni nuklearnej.

Ale ponieważ poważne katastrofy tankowców zdarzają się niepokojąco często – mniej więcej czternaście razy w roku – należy założyć, że prawdopodobnie wkrótce coś tak przerażającego przydarzy się gigantycznemu Przewoźnikowi Ropy. Może jutro. Może w bardziej zaludnionym miejscu. A stanie się tak niekoniecznie dlatego, że jakiś VLCC rozpadnie się na kawałki (choć, niestety, nie można wykluczyć takiej okoliczności), lecz tylko dlatego, że ktoś zrobi coś całkiem normalnego w nieodpowiednim miejscu i w nieodpowiednim czasie: upuści metalowy przedmiot, jak na przykład klucz do nakrętek, albo rozdepcze ziarnko piasku. Nawet elektryzująca nylonowa koszula może być przyczyną zagłady. Jedna mała iskra. To wszystko, czego potrzeba. Niezbyt skomplikowana recepta na kataklizm.

Reg Blair zmarł z powodu odniesionych obrażeń i nigdy nie wyjaśnił, dlaczego nie próbował schronić się przed wybuchem, o nadejściu którego doskonale wiedział. Downie uratował się. Zanim fala ciśnienia, która wytworzyła się w momencie detonacji, dotarła ze sztucznej wyspy do masywnego okna pomieszczenia kontrolnego, Downie zdołał schować się częściowo pod konsolą i dzięki temu udało mu się uniknąć losu ekspedytora Blaira. Dlaczego więc nie zrobił tego Reg?

Policjant Lawson, który po katastrofie musiał zająć się wieloma nieprzyjemnymi sprawami, często zastanawiał się nad tym. Czasami przychodziła mu do głowy myśl, że... że może pan Blair wcale nie chciał się schować.

No, ale dwudziestojednoletni policjant Lawson miał prawo do ponurych myśli. Odbił wiele godzin dodatkowej służby w tymczasowej kostnicy utworzonej przez policję w kościele – dokładnie w tym samym miejscu, w którym Peter Caird i Alec Bell bawili się na dyskotecę w piątek wieczorem.

Stary i kompletnie głuchy farmer Meally Dorg, mieszkający w małym domku na tyłach Fariskay, umarł we śnie, gdy ważąca piętnaście ton kotwica *Calaurii* poszybowała w powietrze jak świecący meteor i spadła prosto na jego dom. Kilka osób w Vaila odniosło obrażenia, łącznie z synem Rega, Kenem, z powodu wypadających

z okien szyby. Nikt jednak nie ucierpiał tak poważnie, jak ekspedytor Blair.

Zegar na wieży kościelnej zatrzymał się w momencie ostatniej eksplozji – dziewięć minut przed godziną drugą tego niedzielnego poranka – i wedle sugestii wielebnego Johnsona nigdy go nie naprawiono. Miał spełniać rolę pomnika na cześć pięćdziesięciu osób – włoskich marynarzy i pracowników „Panoco” – które straciły życie w tej katastrofie. Niektórzy twierdzili złośliwie, że było to sprytne posunięcie ze strony wielebnego. Znaczyło to bowiem, że zgodnie z zegarem na wieży od tego momentu każdy dzień był niedzielą.

Nie dane było odpoczywać w spokoju kotu Thomasowi. Kosz na śmieci, do którego tak okrutnie go wrzucono, rozpadł się na kawałki. Ostatecznie po paru godzinach Thomas znalazł się w czeluściach miejskiej śmieciarki.

Holownik *William Wallace* nie dotarł na czas na miejsce katastrofy. Dzięki temu ocalał. W momencie wybuchu zbiorników *Calaurii* był oddalony od niej o całe pół mili. Nie było to winą załogi. Jediną ofiarą był mechanik Burns – fala powietrza zepchnęła go z pokładu piętnaście stóp w dół, prosto do maszynowni.

Gdy Wullie Gibb podniósł go i zapytał, czy nic mu się nie stało, Tam odepchnął Wulliego w napadzie wściekłości i wrzasnął:

– Oczywiście, że nic mi się nie stało. Chryste, człowieku, myślisz, że przejmuję się małym guzem na głowie? Nie jestem, do cholery, hipochondrykiem!

Załogi holowników *Wallace*, *Robert The Bruce*, *The Vian* oraz miejscowi rybacy wyłowili jedną tratwę i trzydzieści dziewięć ciał. W ciągu kolejnych tygodni wody Quarsdale wyrzuciły na brzeg siedem kolejnych ofiar. Większość z topielców ubrana była w kamizelki ratunkowe, co sugerowało, że mogliby się uratować, gdyby tylko mieli dokąd uciekać. Niektórzy z nich udusili się, topiąc w ropie. Większość zmarła z powodu obrażeń odniesionych w momencie wybuchu.

Dla ludzi na pokładach małych, smutnych statków była to bardzo długa niedziela. Po raz pierwszy od wielu miesięcy Wullie Gibb nie przygotował żadnego posiłku. Nikt się tego nie domagał, nawet Eck Dawson.

Ratownicy odnaleźli cztery ciała, których nie udało się zidentyfikować. Jedno z nich – leżące przy wieży kontrolnej – było prawdopodobnie ciałem PCO Trelawneya. Trzy inne – znalezione w okolicach spalonego mostka *Calaurii* – były najpewniej szczątkami kapitana Tommaso Bisaglii, pilota McDonalda i drugiego oficera De Mity. Po tygodniu nurkowie wyłowili z zalanego wodą pomieszczenia kontrolnego ładowni ciało pierwszego oficera. Wydawało się, że Mario Spedini, podobnie jak ekspedytor Blair, wcale nie próbował się ratować.

Nikt się nigdy nie dowie, co stało się z mechanikiem Borgą, z bosmanem Egidim czy ze stewardem Gioią; a już na pewno okoliczności śmierci Petera Cairda i cichego Aleca Bella na zawsze pozostaną okryte tajemnicą. Zatoka Quarsdale istniała od dwóch milionów lat; jeden mały wstrząs to za mało, aby wyjawiała tajemnice, które zamierzała zachować.

Kiedy w maju 1970 roku pięćdziesięcotonowy norweski tankowiec *Polycommander* zapalił się w Muxieirio Point, w okolicach hiszpańskiego portu Vigo, fala gorącego

powietrza była tak silna, że wywołała ogniową burzę: huraganowe wiatry wciągnęły małe cząsteczki ropy do atmosfery, te z kolei uległy skondensowaniu, utworzyły chmury i po paru dniach powróciły nad wybrzeże, by opaść na farmy wiosek Bayona i Panjón.

W pierwszy wtorek po katastrofie w terminalu Rora na Quarsdale zaczął padać czarny deszcz. Zamienił śnieg okrywający górskie szczyty w ohydny maź, zanieczyścił kryształowe wody licznych stawów. Zniszczył zbiory, zatrzał owce i bydło. Skutecznie skaził lasy. Spowodował mnóstwo wypadków samochodowych na śliskich jak lód drogach. Z przerażającą wydajnością uśmiercał ptactwo, insekty i inne małe stworzenia. Na wiele tygodni zamienił Vaila w miejsce, w którym nie dało się żyć.

Sześć tysięcy ton nie spalonej arabskiej ropy opadło na dno zatoki Quarsdale, zanieczyszczając łowiska skorupiaków i mięczaków, niszcząc ławice ryb i przez to uniemożliwiając egzystencję rybaków, którzy protestowali przeciwko takiej ewentualności. Czarna zaraza, przywieziona z Mina al-Ahmadi w Zatoce Perskiej, zalała skały galaretowatą, żrącą mazią, pozbawiając życia cztery tysiące morskich ptaków.

Trzy miesiące później radna McLeish nagle zmarła. Doktor Caird stwierdził, że śmierć nastąpiła w wyniku choroby wieńcowej, ale znaleźli się tacy, którzy uważali, iż zabiło ją to, co wydarzyło się w tragiczny niedzielny poranek. Jesse po prostu pękło serce.

Od autora

O godzinie zero trzydzieści jeden w poniedziałek 8 stycznia 1979 roku francuski supertankowiec *Betelgerse* przełamał się podczas rozładunku stu piętnastu tysięcy arabskiej ropy w porcie naftowym Whiddy Island usytuowanym w Bantry Bay, hrabstwo Cork, w Irlandii.

Tragiczną konsekwencją pożaru i wybuchów była śmierć pięćdziesięciu osób. Nie ocalał nikt z załogi statku. Nie ocalał też nikt z załogi przystani. Po tym wypadku irlandzki minister turystyki i transportu powołał specjalny Trybunał Śledczy. W ciągu 1979 roku Trybunał obradował przez siedemdziesiąt dwa dni, wysłuchał zeznań stu osiemdziesięciu czterech świadków, a w rezultacie sporządził wyczerpujący i niezwykle szczegółowy raport dotyczący okoliczności prowadzących do morskiej katastrofy.

Rozważono opóźnienia we wszczęciu akcji ratunkowej – szczególnie te wynikające z nieobecności pracownika w pomieszczeniu kontrolnym w momencie awarii, z położenia strażackiego holownika, z braku odpowiedniego sprzętu ratunkowego i ze zmian, jakie wprowadzono w przeciwpożarowym systemie zabezpieczenia przystani.

Raport z katastrofy na Whiddy Island został podany do publicznej wiadomości. Nieuczciwie byłoby więc twierdzić, iż nie znam jego treści. Muszę jednak podkreślić, że osoby i wydarzenia opisane w tej powieści są całkowicie fikcyjne i nie było moją intencją nawiązywanie do jakichkolwiek postaci, istniejących organizacji, miejsc czy też do jakiegoś konkretnego statku.

Napisałem ją dla rozrywki. A także prawdopodobnie dlatego, by uświadomić niektórym ryzyko związane z transportem paliw oraz cenę, jaką się czasami za to wszystko płaci.

Brian Callison
Dundee, Szkocja
1986